Zdecydowanie polecam
C.J. TUDOR

Thriller idealny
A J FINN

Wyrafinowany thriller
LEE CHILD

PACJENTKA

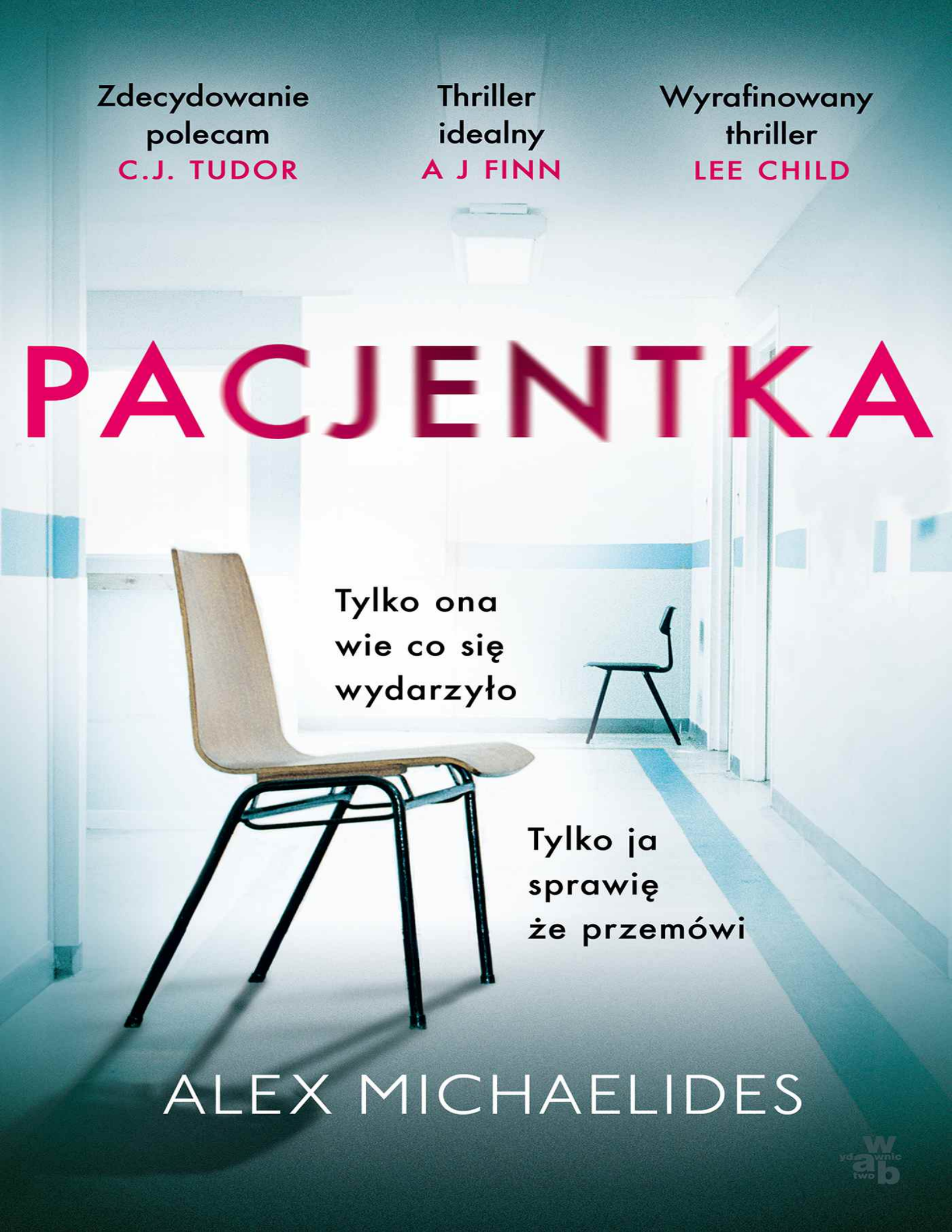

Tylko ona wie co się wydarzyło

Tylko ja sprawię że przemówi

ALEX MICHAELIDES

ALEX

MICHAELIDES

PACJENTKA

przełożyła Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik

Tytuł oryginału: *The Silent Patient*
Copyright © Alex Michaelides 2019
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik, MMXIX
Wydanie I
Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Motto

Prolog. Pamiętnik Alicii Berenson

Część I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Część II

1. Pamiętnik Alicii Berenson

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13. Pamiętnik Alicii Berenson

14

15

16

17

18

19

20

21

22. Pamiętnik Alicii Berenson

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

Część III

Pamiętnik Alicii Berenson

Część IV

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

Część V

1. Pamiętnik Alicii Berenson

2

3

Lecz czemu ona stoi tak, milcząca

Eurypides, *Alkestis*, przeł. Wojciech Łanowski

Prolog. Pamiętnik Alicii Berenson

14 lipca

Nie wiem, dlaczego to piszę.

Nieprawda. Może i wiem, ale nie chcę się do tego przyznać.

Nawet nie wiem, jak nazwać to coś, co piszę. To zdaje się rościć sobie prawo do bycia pamiętnikiem, ale ja, bynajmniej, nie mam nic do powiedzenia. Anne Frank prowadziła pamiętnik, Samuel Pepys – ale nie ktoś taki jak ja. Nazwanie tego „dziennikiem” wydaje się zbyt akademickie. Jakbym musiała pisać coś codziennie, a ja nie chcę – jeśli stanie się to moim obowiązkiem, nie będę nic pisała.

Może nazwę to „niczym”. Czymś bezimiennym, w czym od czasu do czasu coś napiszę. Bardziej mi to odpowiada. Gdy nadasz czemuś nazwę, przestajesz dostrzegać całość tej rzeczy albo jej znaczenie. Skupiasz się na słowie, a to tylko drobna część, naprawdę, zaledwie czubek góry lodowej. Nigdy nie radziłam sobie ze słowami – zawsze myślę obrazami, wyrażam się za ich pomocą, więc nigdy nie podjęłabym się tego pisania, gdyby nie Gabriel.

Czuję się ostatnio przygnębiona, z kilku powodów. Wydawało mi się, że dobrze się maskuję, ale on to dostrzegł – to jasne, on wszystko zauważa. Spytał, jak mi idzie malowanie obrazu, odparłam, że nie idzie. Nalał mi kieliszek wina, siedziałam przy kuchennym stole, a on gotował.

Lubię obserwować, jak Gabriel krząta się po kuchni. Jest kucharzem pełnym gracji – eleganckim, zwinnym, zorganizowanym. W przeciwieństwie do mnie. Ja tylko robię bałagan.

– Odezwij się do mnie – powiedział.

– Nie mam nic do powiedzenia. Czasami zatapiam się w swoich myślach. Czuję się, jakbym brodziła w błocie.

– Czemu nie spróbujesz tego spisać? Prowadzić jakiegoś zapisu myśli? Mogłoby ci to pomóc.

– Przypuszczam, że tak. Spróbuję.

– Nie mów tego, tylko to zrób.

– Dobrze.

Nagabywał mnie w tym temacie, ale nic z tym nie robiłam. Kilka dni później sprezentował mi ten notatnik. Ma czarną skórzaną okładkę i grube, białe, puste kartki. Musnęłam dłonią pierwszą stronę, by poczuć ich gładkość – później naostrzyłam ołówek i zaczęłam.

Oczywiście miał rację. Już się lepiej czuję – to pisanie przynosi mi pewnego rodzaju ulgę, znajduję ujście, przestrzeń, w której mogę się wyrazić. To trochę jak terapia.

Gabriel tego nie powiedział, ale dostrzegłam, że się o mnie martwi. I jeśli mam być szczera – a przecież mogę – zgodziłam się prowadzić ten pamiętnik, żeby go uspokoić – udowodnić mu, że nic mi nie jest. Nie mogę znieść myśli, że się o mnie martwi. Nie chcę przysparzać mu cierpienia, unieszczęśliwiać go, zadawać mu bólu. Tak bardzo go kocham. Jest bez wątpienia miłością mojego życia. Kocham go absolutnie, kompletnie; ta miłość niekiedy niemal mnie przytłacza. Czasami wydaje mi się…

Nie. Nie napiszę tego.

To będzie radosny zapis pomysłów i obrazów, które inspirują mnie artystycznie, które wywierają wpływ na moją twórczość. Będę zapisywała wyłącznie pozytywne, wesołe, normalne myśli.

Żadnych wariactw.

Część I

Kto ma oczy do patrzenia i uszy do słuchania, może się przekonać, że żaden śmiertelnik nie jest w stanie utrzymać niczego w tajemnicy. Kiedy milczą jego usta, gada za pomocą koniuszków palców, zdrada sączy się z niego każdym porem ciała.

Sigmund Freud, *Wstęp do psychoanalizy*, przeł. S. Kempnerówna i W. Zaniewicki

1

Alicia Berenson miała trzydzieści trzy lata, gdy zabiła męża.

Byli małżeństwem od kilku lat. Oboje byli artystami – Alicia malarką, Gabriel zaś uznanym fotografem mody. Cechował go charakterystyczny styl – fotografował na wpół zagłodzone półnagie kobiety pod dziwnym, niekorzystnym dla nich kątem. Śmierć sprawiła, że ceny jego zdjęć astronomicznie wzrosły. Jego prace wydają mi się oślizgłe i płytkie, jeśli mam być szczery. Brakuje im emocjonalności najlepszych dzieł Alicii. Oczywiście za mało wiem o sztuce, żeby móc stwierdzić, czy Alicia Berenson przejdzie pomyślnie próbę czasu jako malarka. Zła sława zawsze będzie kładła się cieniem na jej talencie, więc trudno tu o obiektywizm. Możesz mnie również oskarżyć o stronniczość. Przedstawiam tylko swoją opinię, cokolwiek jest warta. Ale uważam Alicię za geniusza. Pominąwszy umiejętności techniczne, jej obrazy mają niezrównaną zdolność przykuwania uwagi – chwytają cię niemal za gardło i trzymają w kurczowym uścisku.

Gabriel Berenson został zamordowany przed sześcioma laty. Miał czterdzieści cztery lata. Zabito go dwudziestego piątego sierpnia – było niebywale upalne lato, co możesz pamiętać, z najwyższymi temperaturami, jakie kiedykolwiek odnotowano. Gabriel zginął w najgorętszym dniu roku.

Ostatniego dnia swojego życia wstał wcześnie. Samochód przyjechał po niego o piątej piętnaście do domu w północno-zachodnim Londynie, gdzie mieszkał z Alicią na skraju Hampstead Heath. Pojechał do Shoreditch, gdzie spędził dzień na fotografowaniu dla „Vogue'a" modelek na dachu budynku.

Niewiele wiadomo o poczynaniach Alicii. Szykowała się do zbliżającej się wystawy i się nie wyrabiała. Prawdopodobnie spędziła dzień na malowaniu w ogrodowej altanie, którą niedawno przerobiła na pracownię. Sesja fotograficzna Gabriela przeciągnęła się i przywieziono go do domu około dwudziestej trzeciej.

Pół godziny później ich sąsiadka Barbie Hellmann usłyszała kilka strzałów. Zadzwoniła na policję. O dwudziestej trzeciej trzydzieści pięć z posterunku przy Haverstock Hill wysłano radiowóz. Dotarł do domu Berensonów w niecałe trzy minuty.

Drzwi wejściowe były otwarte. W domu panowała ciemność; nie działał żaden włącznik światła. Policjanci pokonali przedpokój i weszli do salonu. Poświecili po nim latarkami, tnąc mrok snopami światła. Alicia stała przy kominku. Jej biała koszula nocna upiornie lśniła. Alicia wydawała się obojętna na obecność funkcjonariuszy. Znieruchomiała, skamieniała niczym lodowy posąg, a na jej twarzy malowało się dziwne przerażenie, jakby zmagała się z panicznym strachem.

Pistolet leżał na ziemi. Obok niego, w cieniu, siedział Gabriel, bez ruchu, przywiązany do krzesła drutem pętającym kostki nóg i nadgarstki. W pierwszej chwili policjanci pomyśleli, że żyje. Głowę miał przechyloną na bok, jakby stracił przytomność. Snop światła pozwolił jednak dostrzec, że strzelono mu kilkakrotnie w twarz. Stracił swe przystojne rysy, a ich miejsce zajęła zwęglona, poczerniała miazga. Ścianę za nim pokrywały fragmenty czaszki, mózgu, włosów – i krew.

Krew była wszędzie – na ścianach i na podłodze. Wiła się ciemnymi strużkami, wypełniając fakturę desek. Było jej jakby za dużo. Wtem coś błysnęło w świetle latarki – u stóp Alicii leżał nóż. Kolejny snop światła pozwolił dostrzec jej nocną koszulę schlapaną krwią. Policjant chwycił Alicię za ręce i przysunął jej nadgarstki do światła. Miała głęboko przecięte żyły – cięcia były świeże i mocno krwawiły.

Alicia opierała się próbom jej ratowania, obezwładniło ją dopiero trzech policjantów. Zabrano ją do Royal Free Hospital oddalonego o kilka minut jazdy. W drodze do szpitala zemdlała. Straciła mnóstwo krwi, ale przeżyła.

Następnego dnia leżała w łóżku, w prywatnej sali. Policja przesłuchiwała ją w obecności adwokata. Alicia zachowywała jednak milczenie. Usta miała blade, sine. Od czasu do czasu drgały, ale nie wydostawało się z nich żadne słowo, żaden dźwięk. Nie odpowiadała na żadne pytanie. Nie mogła lub nie chciała mówić.

Nie odezwała się, kiedy oskarżono ją o zabójstwo Gabriela. Zachowywała milczenie w czasie aresztowania. Odmówiła przyznania się do winy lub zaprzeczenia jej.

Nie przemówiła już nigdy.

Jej milczenie przekształciło tę historię ze zwykłej domowej tragedii w coś znacznie większego: w tajemnicę, zagadkę, która trafiła na pierwsze strony gazet i podsycała wyobraźnię publiki przez kolejne miesiące.

Alicia nie odzywała się – ale złożyła oświadczenie. W formie obrazu. Zaczęła nad nim pracować, gdy wypisano ją ze szpitala i umieszczono w areszcie domowym przed rozprawą. Według wyznaczonej przez sąd pielęgniarki psychiatrycznej Alicia prawie nie jadła i nie spała – tylko malowała.

Zwykle przygotowywała się do nowego obrazu tygodniami, a nawet miesiącami – sporządzała nieskończenie wiele szkiców, ustalała i zmieniała kompozycję, eksperymentowała z kolorami i formą; po długim okresie dojrzewania idea rodziła się z każdym skrupulatnym pociągnięciem pędzla. Tym razem jednak Alicia drastycznie zmieniła proces twórczy i namalowała obraz w ciągu kilku dni po śmierci męża.

Większości ludzi to wystarczyło, by ją obciążyć – tak szybki powrót do pracowni świadczył o nadzwyczajnej niewrażliwości. O monstrualnym braku wyrzutów sumienia bezwzględnej zabójczyni.

Możliwe. Aczkolwiek nie zapominajmy, że o ile Alicia Berenson mogła być morderczynią, była także artystką. Ja przynajmniej dostrzegam jak najbardziej sens w tym, że chwyciła pędzle i farby i przelała skomplikowane emocje na płótno. Nic dziwnego, że obraz wypłynął z niej tak łatwo. O ile smutek jest łatwy.

To był autoportret. W lewym dolnym rogu Alicia wypisała jasnoniebieskimi greckimi literami tytuł.

Jedno słowo: ALKESTIS.

2

Alkestis jest bohaterką greckiego mitu. Najsmutniejszego z romansów. Gotowa była poświęcić życie dla swojego męża Admeta i zginąć za niego, kiedy nikt inny nie chciał. Powiązanie niepokojącego mitu o samopoświęceniu z sytuacją Alicii pozostawało niejasne. Prawdziwe znaczenie aluzji nie docierało do mnie przez jakiś czas. Aż do dnia, gdy prawda wyszła na jaw…

Wyprzedzam wydarzenia. Za bardzo się spieszę. Muszę zacząć od początku i pozwolić mówić faktom. Nie mogę ich koloryzować, wypaczać ani opowiadać kłamstw. Będę szedł krok za krokiem, powoli i ostrożnie. Od czego zacząć? Powinienem się przedstawić, ale może jeszcze nie teraz. Przecież to nie ja jestem bohaterem tej opowieści. To jest historia Alicii Berenson, zacznę więc od niej – i *Alkestis*.

Ten obraz to autoportret przedstawiający Alicię w jej pracowni przy domu w dniach po zabójstwie. Kobieta stoi przed sztalugą z płótnem i trzyma w dłoni pędzel. Jest naga. Jej ciało namalowane jest z niezrównaną szczegółowością: kosmyki długich rudych włosów opadają na kościste barki, pod skórą prześwitują błękitne naczynia krwionośne, na obydwu nadgarstkach widać świeże blizny. Postać ściska palcami pędzel, z którego spływa czerwona farba. A może krew? Malarka ukazana jest w trakcie pracy, a mimo to płótno jest puste, podobnie jak jej wyraz twarzy. Ma odwróconą w naszą stronę głowę i patrzy prosto na nas. Z rozchylonymi wargami. Niema.

W czasie gdy toczył się proces, Jean-Felix Martin, kierujący w Soho małą galerią wystawiającą prace Alicii, podjął kontrowersyjną decyzję, uznaną przez wielu za makabryczną i nastawioną pod publikę, by zaprezentować *Alkestis*. Fakt, że artystka zajmowała miejsce na ławie oskarżonych w związku z zarzutem zamordowania męża, sprawił, że po raz pierwszy w historii przed galerią ustawiały się kolejki.

Stałem w ogonku wraz z innymi żądnymi sensacji miłośnikami sztuki i czekałem na wejście w czerwonej poświacie neonu sąsiadującego z galerią sex-shopu. Wchodziliśmy do środka jeden za drugim. A tam, ponaglani przez obsługę, przesuwaliśmy się w stronę obrazu niczym podekscytowany tłumek w wesołym miasteczku przechodzący przez dom strachu. I wreszcie znalazłem się na początku kolejki – stanąłem twarzą w twarz z *Alkestis*.

Gapiłem się na malowidło, na oblicze Alicii, i próbowałem zinterpretować wyraz jej oczu, starałem się zrozumieć – ale portret mi się opierał. Alicia odwzajemniała moje spojrzenie, a jej niewyrażająca niczego maska pozostawała nieodgadniona, nieprzenikniona. Nie potrafiłem wyczytać z niej ani niewinności, ani winy.

Inni mieli z tym mniejszy problem.

– Czyste zło – szepnęła kobieta stojąca za mną.

– Prawda? – przyznał jej towarzysz. – Bezwzględna suka.

Trochę to niesprawiedliwe, pomyślałem, zważywszy na to, że jeszcze nie udowodniono Alicii winy. Brukowce zrobiły z niej od początku tę złą: *femme fatale*, czarną wdowę. Potwora.

Fakty wydawały się oczywiste: Alicię znaleziono samą wraz z ciałem Gabriela. Na pistolecie widniały wyłącznie jej odciski palców. Nic nie budziło wątpliwości, że zabiła. Dlaczego tego dokonała, pozostawało już tajemnicą.

O zabójstwie dyskutowano w mediach. W prasie i radiu, a także w porannych plotkarskich programach telewizyjnych prezentowano przeróżne teorie. Ściągano ekspertów, którzy mieli wyjaśnić, potępić lub usprawiedliwić czyn Alicii. Na pewno była ofiarą przemocy domowej doprowadzoną do ostateczności i wtedy wybuchła, czyż nie? Inna teoria mówiła o grze seksualnej, która wymknęła się spod kontroli – przecież męża spętano, prawda? Inni podejrzewali, że to staromodna zazdrość doprowadziła Alicię do zabójstwa. Tylko że w czasie rozprawy Gabriel został przedstawiony przez swojego brata jako oddany mąż głęboko kochający żonę. Może chodziło o pieniądze? Ale Alicia raczej niewiele zyskiwała wskutek tej śmierci. To ona miała pieniądze, które odziedziczyła po ojcu.

Tak więc snuto dalsze spekulacje – żadnych odpowiedzi, tylko kolejne pytania – na temat motywu Alicii i jej milczenia. Dlaczego nie chciała nic powiedzieć? Co to oznaczało? Ukrywała coś? Chroniła kogoś? Jeśli tak, kogo? I dlaczego?

Pamiętam, jak wówczas myślałem, że gdy wszyscy rozmawiają, piszą i spierają się na temat Alicii, w samym sercu tej gorączkowej hałaśliwej wrzawy znajdowała się pustka – milczenie. Sfinks.

W czasie procesu sędzia ponuro zinterpretował uparte milczenie Alicii. Niewinni ludzie, zauważył sędzia Alverstone, mówią o swojej niewinności głośno i często. Nie dość, że Alicia się nie odzywała, to jeszcze nie przejawiała oznak skruchy. Ani razu nie zapłakała na sali sądowej – na co zwróciła uwagę prasa – a jej twarz pozostawała niewzruszona, zimna. Lodowata.

Obrona nie miała wyboru i musiała wnosić o uznanie Alicii za częściowo niepoczytalną – kobieta miała podobno długą historię problemów psychicznych sięgających jeszcze dzieciństwa. Sędzia oddalił wiele teorii, ale w końcu dał się przekonać profesorowi Lazarusowi Diomedesowi, psychiatrze sądowemu w Imperial College oraz dyrektorowi kliniki psychiatrii The Grove, ordynatorowi oddziału o wzmocnionym rygorze w szpitalu w północnym Londynie. Profesor Diomedes dowodził, że niechęć Alicii do odezwania się stanowi dowód głębokiego psychologicznego dystresu – i że należy ją stosownie do tego osądzić.

Był to raczej wymijający sposób powiedzenia czegoś, o czym psychiatrzy nie lubią mówić wprost.

Diomedes twierdził, że Alicia była szalona.

Tylko takie wytłumaczenie miało sens. No bo po co przywiązywać ukochanego mężczyznę do krzesła i strzelać mu w twarz z niewielkiej odległości? A potem nie okazywać skruchy, niczego nie wyjaśniać, nawet się nie odzywać? Na pewno była szalona.

Musiała być.

Wreszcie sędzia Alverstone przystał na uznanie Alicii za niepoczytalną i poradził ławie przysięgłych, by to uwzględniła. Alicię skierowano do The Grove, pod opiekę owego profesora Diomedesa, którego ekspertyza tak bardzo wpłynęła na sędziego.

Prawda jest taka, że jeśli Alicia nie była szalona – jeżeli jej milczenie było tylko grą, przedstawieniem na potrzebę procesu – to się jej udało. Ominęła ją kara wielu lat więzienia, a jeżeli uda się ją wyleczyć, będzie mogła za kilka lat wyjść na wolność. Przyszła pora, żeby zacząć udawać dochodzenie do zdrowia, czyż nie? Bąknąć kilka słów tu i tam, potem jeszcze kilka. Powoli okazywać coś na kształt skruchy? Ale nie. Mijały kolejne tygodnie, potem miesiące i lata – Alicia zaś wciąż się nie odzywała.

Po prostu milczała.

Z uwagi na brak dalszych rewelacji rozczarowane media straciły w końcu zainteresowanie Alicią Berenson. Dołączyła do rzeszy pozostałych sławnych przez chwilę morderczyń, osób, których twarze pamiętamy, ale nazwisk już nie.

Muszę stwierdzić, że nie dotyczy to wszystkich. Niektórzy ludzie – w tym ja – dalej fascynowali się mitem Alicii Berenson i jej milczenia. Jestem psychoterapeutą i było dla mnie jasne, że przeżyła traumę w związku ze śmiercią Gabriela, a owo milczenie stanowiło jej przejaw. Nie mogąc pogodzić się z tym, co zrobiła, Alicia zacięła się i zatrzymała, jak zepsuty samochód. Chciałem pomóc znowu ją uruchomić – pomóc jej opowiedzieć swoją historię, uleczyć się. Pragnąłem ją naprawić.

Nie chcę być nieskromny, ale czułem się przygotowany do tego, by pomóc Alicii Berenson. Jestem psychoterapeutą sądowym przywykłym do pracy z najbardziej zniszczonymi i bezbronnymi przedstawicielami społeczeństwa. A w historii Alicii było coś, co poruszyło we mnie osobistą strunę – odczuwałem wobec niej empatię od samego początku.

Niestety, w owym czasie wciąż pracowałem w Broadmoor, więc leczenie Alicii byłoby czystą fantazją, gdyby nie nieoczekiwana interwencja losu.

Blisko sześć lat po skazaniu Alicii w The Grove zwolniło się stanowisko psychoterapeuty. Gdy tylko przeczytałem ogłoszenie, wiedziałem, że nie mam wyboru. Posłuchałem instynktu i zgłosiłem swoją kandydaturę.

3

Nazywam się Theo Faber. Mam czterdzieści dwa lata. Zostałem psychoterapeutą, bo byłem popieprzony. Taka jest prawda – chociaż nie wyjawiłem tego w czasie rozmowy o pracę, gdy mnie o to zapytano.

– Jak się panu wydaje, co przyciągnęło pana do psychoterapii? – spytała Indira Sharma, która zerkała na mnie zza oprawek okularów.

Indira była głównym psychoterapeutą w The Grove. Kobietą przed sześćdziesiątką o atrakcyjnej okrągłej twarzy i kruczoczarnych długich włosach przyprószonych siwizną. Uśmiechnęła się do mnie delikatnie, jakby chciała mnie zapewnić, że to jest proste pytanie, na rozgrzewkę, wprowadzenie do trudniejszych serwów.

Zawahałem się. Czułem, że pozostali członkowie komisji mi się przyglądają. Dbałem o utrzymywanie kontaktu wzrokowego, gdy wygłaszałem przećwiczoną odpowiedź, sympatyczną opowiastkę o dorywczej pracy w domu opieki, gdy byłem nastolatkiem, i o tym, jak zainspirowało mnie to do zainteresowania się psychologią, a w końcu doprowadziło do podjęcia studiów na kierunku psychoterapii i tak dalej.

– Przypuszczam, że chciałem pomagać ludziom – rzuciłem i wzruszyłem ramionami. – To wszystko.

Bzdura.

To znaczy, oczywiście, że chciałem pomagać ludziom. Było to jednak celem drugorzędnym – zwłaszcza wtedy, gdy podjąłem naukę. Kierowała mną czysto egoistyczna motywacja. Dążyłem do tego, by pomóc sobie. I uważam, że dotyczy to większości ludzi, którzy zajmują się zdrowiem psychicznym. Ten konkretny zawód przyciąga nas, bo jesteśmy zepsuci – studiujemy psychologię, by uzdrowić siebie. Czy jesteśmy gotowi się do tego przyznać, to już zupełnie inna sprawa.

Wczesne lata życia człowieka przypadają na okres spoza zasięgu pamięci. Lubimy wyobrażać sobie, że wyłaniamy się z przedwiecznej mgły z w pełni ukształtowanymi charakterami, jak Afrodyta wynurzająca się z fal. Dzięki coraz liczniejszym badaniom rozwoju mózgu wiemy jednak, że tak nie jest. Rodzimy się z na wpół rozwiniętym mózgiem – kojarzącym się bardziej z grudą gliny, a nie z boginią z Olimpu. Jak ujął to psycholog Donald Winnicott: „Nie ma czegoś takiego jak niemowlę". Nasza osobowość nie rozwija się w izolacji, ale w relacji z drugim człowiekiem – kształtują nas i dopełniają niewidzialne, niezapamiętane siły, a konkretniej – nasi rodzice.

To jest przerażające, z oczywistych powodów – kto wie, jakie upokorzenia było nam dane znosić, jakie cierpienia i nadużycia, w owym okresie spoza pamięci? Nasz charakter ukształtował się poza naszą świadomością. Ja dorastałem w poczuciu nerwowości, strachu, lęku. Wydawało się, że ów lęk wyprzedzał moją egzystencję i istniał niezależnie ode mnie. Podejrzewam jednak, że wywodził się z relacji z ojcem, w którego obecności nigdy nie byłem bezpieczny.

Jego nieprzewidywalne i bezwzględne napady wściekłości przekształcały każdą sytuację, choćby nie wiem jak łagodną, w potencjalne pole minowe. Niewinna uwaga lub nuta sprzeciwu w głosie wzniecały jego złość i prowadziły do serii wybuchów, przed którymi nie było schronienia. Dom drżał w posadach od jego krzyku, kiedy gonił mnie po schodach, a ja uciekałem do swojego pokoju. Nurkowałem pod łóżko i przywierałem do ściany. Wciągałem powietrze i modliłem się, żeby cegły mnie wchłonęły, żebym zniknął. Jednak jego ręka chwytała mnie i ciągnęła ku przeznaczeniu. Ojciec wyciągał pas, który gwizdał w powietrzu przed uderzeniem. Każdy kolejny cios przewracał mnie na bok, palił skórę. Wtem bicie ustawało, równie nagle, jak się zaczynało. Lądowałem bezwładnie na podłodze. Szmaciana lalka porzucona przez rozgniewane dziecko.

Nigdy nie wiedziałem, czym wzbudziłem jego gniew i czy zasługiwałem na coś takiego. Pytałem matkę, dlaczego ojciec był na mnie wiecznie zły, a ona z rozpaczą wzruszała ramionami i odpowiadała: „A skąd mam wiedzieć? Jest stuknięty".

I kiedy to mówiła, bynajmniej nie żartowała. Gdyby ojca współcześnie oceniał jakiś psychiatra, podejrzewam, że zdiagnozowałby u niego zaburzenie osobowości – chorobę, na którą go nigdy nie leczono. Rezultatem było moje dzieciństwo i dojrzewanie zdominowane przez histerię i przemoc fizyczną – groźby, łzy i tłuczone szkło.

Zdarzały się chwile szczęścia, naturalnie. Zazwyczaj pod nieobecność ojca. Pamiętam zimę, kiedy wyjechał na miesiąc do Ameryki w interesach. Przez trzydzieści dni matka i ja sprawowaliśmy wyłączne rządy w domu i ogrodzie, bez jego bacznego spojrzenia. Tamtego grudnia intensywnie padał śnieg i cały ogród przykrył gruby biały dywan. Ulepiliśmy z mamą bałwana. Świadomie, albo i nie, zrobiliśmy to, żeby reprezentował nieobecnego pana. Ochrzciłem go „tatą", a on z tym swoim wielkim brzuchem, dwoma czarnymi węgielkami zamiast oczu i przyklejonymi po skosie gałązkami w miejscu brwi naprawdę okazał się niebywale do niego podobny. Wzmocniliśmy złudzenie, dając mu rękawiczki ojca, jego kapelusz i parasol. A potem zaczęliśmy go agresywnie okładać śnieżkami, chichocząc przy tym jak niegrzeczne dzieci.

W nocy była burza śnieżna. Matka poszła spać, a ja udawałem, że śpię, potem wymknąłem się do ogrodu i stałem na śniegu. Wyciągnąłem ręce przed siebie, chwytałem płatki i przyglądałem się, jak znikają na czubkach moich palców. Cieszyło mnie to i równocześnie frustrowało, przemawiało do jakiejś prawdy we mnie, której nie potrafiłem wyrazić. Miałem zbyt ograniczone słownictwo, wyrazy były zbyt luźno powiązane, by dało się je ująć. Łapanie znikających płatków śniegu przypomina trochę chwytanie szczęścia. W miejsce posiadania natychmiast pojawia się pustka. Przypomniało mi to, że poza tym domem istnieje świat, świat ogromu i niewyobrażalnego szczęścia, świat, który, na razie, znajdował się poza moim zasięgiem. To wspomnienie wracało do mnie latami. Jakby nieszczęście otaczające tę chwilę wolności uczyniło ją tym jaśniejszą – drobiną światła zanurzoną w ciemności.

Pojąłem, że jedyną nadzieję na przetrwanie da mi wycofanie się – zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Musiałem się wyrwać, uciec

daleko. Dopiero wtedy będę wolny. I wreszcie w wieku osiemnastu lat dostałem oceny, które zapewniły mi miejsce na uniwersytecie. Opuściłem więzienie w bliźniaku w Surrey – i wydawało mi się, że jestem wolny.

Myliłem się.

Wtedy o tym nie wiedziałem, ale było już za późno – zinternalizowałem ojca, wpisałem w siebie, zakorzeniłem głęboko w nieświadomości. Bez względu na to, jak daleko biegłem, wszędzie nosiłem go w sobie. Gonił mnie piekielny, niezmordowany chór furii, a wszystkie miały jego głos – piszczały, że jestem bezwartościowym, przynoszącym wstyd śmieciem.

W czasie pierwszego semestru na studiach, owej pierwszej mroźnej zimy, chór ten był tak silny, tak obezwładniający, że całkowicie mnie kontrolował. Unieruchomiony przez strach nie potrafiłem wyjść z domu, spotykać się z ludźmi, zawierać przyjaźni. Równie dobrze mogłem zostać w Surrey. Byłem przypadkiem beznadziejnym. Pokonanym, uwięzionym. Zagonionym w kozi róg. Bez wyjścia.

Widziałem tylko jedno rozwiązanie.

Odwiedzałem kolejne apteki i kupowałem paracetamol. Tylko kilka opakowań, żeby nie wzbudzać podejrzeń, ale niepotrzebnie się tak przejmowałem. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Najwyraźniej byłem tak niewidzialny, jak się czułem.

W pokoju panował chłód. Otwierałem opakowania odrętwiałymi, zmarzniętymi palcami. Musiałem się bardzo postarać, żeby połknąć wszystkie tabletki. Zmusiłem się jednak do tego i połykałem jedną po drugiej. Następnie wdrapałem się na niewygodne wąskie łóżko. Zamknąłem oczy i czekałem na śmierć.

Nie przyszła.

Za to moimi wnętrznościami targał przeszywający ból. Zgiąłem się wpół i wymiotowałem; zabrudziłem się żółcią i nadtrawionymi tabletkami. Leżałem w ciemności z szalejącym w brzuchu ogniem. A potem powoli, w tym mroku, zdałem sobie z czegoś sprawę.

Nie chciałem umierać. Nie teraz, kiedy jeszcze nie przeżyłem życia.

To mi dało coś na kształt nadziei, chociaż mętnej i niewyraźnej. Musiałem uznać, że nie poradzę sobie sam. Potrzebowałem pomocy.

Znalazłem ją – w postaci Ruth, psychoterapeutki, do której skierowała mnie poradnia uniwersytecka. Ruth była siwa i pulchna, kojarzyła się z jakiegoś powodu z babcią. Miała sympatyczny uśmiech – chciałem mu wierzyć. Początkowo mówiła niewiele. Słuchała mnie. A ja opowiadałem o dzieciństwie, domu, rodzicach. I kiedy to robiłem, odkryłem, że bez względu na to, jak dramatyczne zdarzenia opisywałem, nic nie czułem. Nie miałem kontaktu z emocjami, jak odcięta od reszty ciała dłoń. Mówiłem o bolesnych wspomnieniach i myślach samobójczych – ale ich nie czułem.

Od czasu do czasu jednak zerkałem na twarz Ruth. I, ku mojemu zaskoczeniu, dostrzegłem łzy zbierające się w jej oczach. Może trudno to pojąć, ale to nie były jej łzy.

Należały do mnie.

Wtedy tego nie rozumiałem, ale tak działa terapia. Pacjent przenosi swoje nieakceptowane uczucia na terapeutę, a on przejmuje wszystko, co pacjent boi się czuć, i odczuwa to za niego. Potem bardzo powoli oddaje mu te uczucia. Tak jak Ruth zrobiła z moimi.

Spotykaliśmy się przez kilka lat. Ruth była jedyną stałą w moim życiu. Z jej pomocą zinternalizowałem inny związek z drugim człowiekiem, oparty na wzajemnym szacunku, szczerości i życzliwości – a nie na oskarżaniu się, gniewie i przemocy. Powoli zacząłem czuć się inaczej – nie tak pusto, bardziej zdolny do odczuwania emocji, mniej zalękniony. Nienawistny wewnętrzny chór nigdy mnie nie opuścił, ale teraz dysponowałem głosem Ruth, którym mogłem mu się przeciwstawić; zwracałem na niego mniej uwagi. W rezultacie głosy w mojej głowie przycichły i na jakiś czas zniknęły. Czułem spokój, a niekiedy nawet szczęście.

Było jasne, że psychoterapia dosłownie uratowała mi życie. I, co ważniejsze, zmieniła jego jakość. Terapia rozmową odegrała centralną rolę dla tego, kim się stałem – w bardzo wielkim stopniu zdefiniowała mnie.

Wiedziałem, że była moim powołaniem.

Po studiach szkoliłem się na psychoterapeutę w Londynie. Przez cały ten czas spotykałem się z Ruth. Wspierała mnie i dodawała mi otuchy, ale też ostrzegała, żebym realistycznie ocenił ścieżkę, na którą wkraczam. „To nie jest spacerek w parku", jak to ujęła. Miała rację. Praca z pacjentami, z ich brudami, okazała się daleka od komfortowej.

Pamiętam swoją pierwszą wizytę w ośrodku dla psychicznie chorych więźniów. Kilka minut po moim przyjściu pacjent ściągnął spodnie, przykucnął i załatwił się przede mną. Postawił śmierdzącego klocka. Kolejne incydenty, nie tak obrzydliwe, ale równie dramatyczne – nieudane próby samobójcze, akty samookaleczenia się, niepohamowane ataki histerii i smutku – wydawały się nie do zniesienia. Za każdym razem jednak odkrywałem w sobie nieznane mi pokłady odporności. Zrobiło się łatwiej.

To dziwne, jak szybko można się przystosować do osobliwego nowego świata zakładu psychiatrycznego. Czujesz się coraz bardziej komfortowo w obliczu obłędu – i to nie tylko cudzego, ale i swojego. Wierzę, że wszyscy jesteśmy wariatami, tylko w różny sposób.

I właśnie dlatego poczułem powinowactwo z Alicią Berenson. Miałem szczęście. Dzięki udanej interwencji terapeutycznej w młodym wieku mogłem uciec znad przepaści psychicznego mroku. W moim umyśle jednak na zawsze zapisała się inna narracja: mogłem zwariować i dożyć swoich dni w zakładzie jak Alicia. Ale na Boga…

Oczywiście, nic z tego nie mogłem powiedzieć Indirze Sharmie, gdy zapytała, dlaczego zostałem psychoterapeutą. Przecież uczestniczyłem w rozmowie o pracę i bardzo dobrze znałem zasady tej gry.

– Uważam, że człowiek staje się psychoterapeutą w czasie szkolenia. Bez względu na intencje.

Indira pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Zgadza się. To prawda.

Dobrze wypadłem. Indira powiedziała, że doświadczenie w Broadmoor dało mi przewagę i pokazało, że potrafię sobie radzić

z ekstremalnym cierpieniem psychicznym. Jeszcze tego samego dnia zaproponowano mi tę pracę, a ja ją przyjąłem.

Miesiąc później byłem w drodze do The Grove.

4

Dotarłem na miejsce naglony przez lodowaty styczniowy wiatr. Nagie drzewa stały wzdłuż ulicy niczym szkielety. Niebo było białe, ciężkie od śniegu, który dopiero miał spaść.

Stałem przed wejściem i sięgnąłem do kieszeni po papierosy. Nie paliłem od tygodnia i obiecałem sobie, że tym razem rzucę nałóg na dobre. Ale oto się złamałem. Przypaliłem papierosa, zły na siebie. Psychoterapeuci dostrzegają w paleniu papierosów nierozwiązany problem – taki, który każdy przyzwoity terapeuta powinien przepracować i pokonać. Nie chciałem wchodzić do środka, cuchnąc papierosami, więc wrzuciłem do ust kilka miętówek i żułem je w czasie palenia. Przeskakiwałem z nogi na nogę.

Trzęsłem się, ale jeśli mam być szczery, to bardziej z nerwów niż z zimna. Miałem wątpliwości. Mój doradca w Broadmoor bez ogródek powiedział, że popełniam błąd. Wspomniał, że moje odejście oznacza przekreślenie obiecującej kariery, i parsknął, mówiąc o The Grove. A w szczególności o profesorze Diomedesie.

– Nieortodoksyjny człowiek. Pracuje sporo z relacjami w grupie. Przez jakiś czas współpracował z Foulkesem. W latach osiemdziesiątych prowadził w Hertfordshire jakąś alternatywną wspólnotę terapeutyczną. Te modele terapii nie są ekonomicznie opłacalne, zwłaszcza dzisiaj… – Wahał się przez moment, po czym dodał ciszej: – Nie próbuję cię przestraszyć, Theo. Ale słyszałem pogłoski, że to miejsce ma iść pod topór. Może się okazać, że za sześć miesięcy będziesz bezrobotny. Na pewno nie chcesz tego przemyśleć raz jeszcze?

Zawahałem się, ale tylko z grzeczności.

– Na pewno.

Pokręcił głową.

– Wygląda mi to na zawodowe samobójstwo. Ale skoro już postanowiłeś…

Nie powiedziałem mu o Alicii Berenson, o moim pragnieniu, by ją leczyć. Mógłbym to ubrać w takie słowa, że by to zrozumiał: praca z nią mogłaby doprowadzić do napisania książki lub innego rodzaju publikacji. Wiedziałem jednak, że to bez sensu, i tak by stwierdził, że popełniam błąd. I może miał rację. Przekonam się o tym.

Zdeptałem niedopałek, uspokoiłem nerwy i wszedłem do budynku.

The Grove znajdował się w najstarszej części szpitala Edgware. Oryginalny wiktoriański budynek z czerwonej cegły już dawno temu otoczono większymi, i najczęściej brzydszymi, dobudówkami. The Grove zajmował samo centrum kompleksu. O tym, jak groźni są jego mieszkańcy, przypominały wyłącznie kamery monitoringu przycupnięte na ogrodzeniu niczym drapieżne ptaki. Dołożono jednak wszelkich starań, by w recepcji stworzyć przyjazną atmosferę – ustawiono tam duże błękitne kanapy, a na ścianach powieszono dziecinne prace pacjentów. Bardziej się to kojarzyło z przedszkolem niż z oddziałem psychiatrycznym o wzmocnionym zabezpieczeniu.

U mojego boku wyrósł wysoki mężczyzna. Uśmiechnął się szeroko i podał mi rękę. Przedstawił się jako Yuri, przełożony pielęgniarek.

– Witaj w The Grove – powiedział. – Obawiam się, że jestem jedynym członkiem komitetu powitalnego.

Był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną przed czterdziestką. Miał ciemne włosy i tatuaż wystający spod kołnierzyka, wijący się na karku. Pachniał tytoniem i przesadnie słodką wodą po goleniu. Mówił po angielsku perfekcyjnie, choć z lekkim akcentem.

– Przyjechałem tu z Łotwy siedem lat temu – wyjaśnił. – Nie znałem wtedy ani słowa po angielsku. Po roku władałem już biegle tym językiem.

– Imponujące.

– Niezupełnie. Angielski to łatwy język. Spróbuj nauczyć się łotewskiego.

Zaśmiał się i sięgnął po brzęczący pęk kluczy przy pasku. Odpiął jeden zestaw i mi podał.

– Klucze do poszczególnych sal. I kody do oddziałów.

– Sporo tego. W Broadmoor miałem mniej kluczy.

– Cóż, ostatnio wzmocniliśmy zabezpieczenia. Odkąd dołączyła do nas Stephanie.

– Kim jest Stephanie?

Yuri nie odpowiedział, tylko skinął głową w kierunku kobiety, która wyszła z gabinetu za recepcją. Była Karaibką po czterdziestce z fryzurą typu bob.

– Stephanie Clarke – odezwała się. – Kierownik The Grove.

Posłała mi nieprzekonujący uśmiech. Gdy podaliśmy sobie ręce, zwróciłem uwagę, że miała mocniejszy uścisk dłoni od Yuriego i nie tak serdeczny.

– Jestem kierowniczką tego oddziału – ciągnęła. – Bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze. Zarówno pacjentów, jak i personelu. Jeżeli wy nie jesteście bezpieczni, pacjenci też nie są. – Dała mi małe urządzenie do sygnalizowania, gdybym został zaatakowany. – Proszę to nosić zawsze przy sobie. A nie zostawiać w gabinecie.

Oparłem się pokusie, by powiedzieć „dobrze, proszę pani". Lepiej jej nie podpadać, jeśli chcę, żeby żyło mi się tu łatwo. Stosowałem tę taktykę wobec poprzednich szefów – unikać konfrontacji i nie znikać z radaru.

– Miło mi cię poznać, Stephanie – powiedziałem z uśmiechem.

Skinęła głową, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

– Yuri zaprowadzi cię do gabinetu. – Odwróciła się i oddaliła, nie patrząc za siebie.

– Za mną – rzucił Yuri.

Poszedłem za nim w kierunku wejścia na oddział – do dużych drzwi ze wzmocnionej stali. Obok nich stał strażnik z wykrywaczem metalu.

– Na pewno znasz zasady – stwierdził Yuri. – Żadnych ostrych przedmiotów, które mogą posłużyć za broń.

– I zapalniczek – dodał strażnik, który wyciągnął mi z kieszeni zapalniczkę i spojrzał na mnie oskarżycielsko.

– Przepraszam. Zapomniałem o niej.

Yuri dał mi znak, żebym za nim poszedł.

– Zaprowadzę cię do twojego gabinetu – poinformował mnie. – Wszyscy są na zebraniu wspólnoty, więc jest dość cicho.

– Mogę do nich dołączyć?

– Na zebraniu wspólnoty? – Yuri wydawał się zaskoczony. – Nie chcesz się najpierw urządzić?

– Mogę to zrobić później. Jeśli tobie to nie robi różnicy.

Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Tędy.

Prowadził mnie korytarzami, w których napotykaliśmy kolejne zamknięte drzwi. Towarzyszył nam rytm przesuwanych zasuw i kluczy obracanych w zamkach. Przemieszczaliśmy się powoli.

Było jasne, że niewiele wydawano na utrzymanie budynku: farba łuszczyła się ze ścian, a korytarze wypełniała słaba piżmowa woń pleśni i rozkładu.

Yuri zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami i skinął głową.

– Są tutaj – powiedział. – Wejdź.

– Okej. Dzięki.

Zawahałem się, zbierając się w sobie. A potem otworzyłem drzwi i wszedłem.

5

Zebranie wspólnoty zorganizowano w długiej sali z wysokimi gołymi oknami z widokiem na mur z czerwonej cegły. W powietrzu unosiła się woń kawy zmieszana ze śladową ilością zapachu wody po goleniu Yuriego. W kręgu siedziało około trzydziestu osób. Większość ściskała w dłoniach papierowe kubeczki z herbatą lub kawą, ziewała i starała się z całych sił obudzić. Ci, którzy już wypili kawę, bawili się pustymi kubeczkami, zgniatali je, rozpłaszczali albo rwali na strzępy.

Takie zebrania urządzano raz lub dwa razy dziennie; było to coś pomiędzy spotkaniem administracyjnym a terapią grupową. Poruszano tematy związane z prowadzeniem ośrodka lub opieką nad pacjentami. Stanowiło to, jak lubił mawiać profesor Diomedes, próbę zaangażowania pacjentów w terapię i zachęcenia ich do przyjęcia odpowiedzialności za własne samopoczucie. Nie muszę chyba mówić, że próby te nie zawsze okazywały się skuteczne. Diomedes zajmował się kiedyś terapią grupową i miał przez to słabość do wszelkiego rodzaju spotkań, dlatego też promował pracę grupową, kiedy tylko się dało. Można powiedzieć, że czuł się najszczęśliwszy, gdy miał publikę. Kiedy wstał, żeby mnie przywitać, wyciągnął w moją stronę ręce i zaprosił mnie do kręgu. Pomyślałem, że ma w sobie coś z teatralnego impresaria.

– Theo. Witaj. Dołącz do nas.

Mówił z lekkim, ledwie słyszalnym greckim akcentem – w zasadzie go stracił, przeżywszy w Anglii ponad trzydzieści lat. Był przystojnym mężczyzną i mimo że przekroczył już sześćdziesiątkę, wyglądał o wiele młodziej – miał w sobie coś młodzieńczego, figlarnego i bardziej kojarzył się z wujkiem niż z psychiatrą. Nie znaczy to, że nie poświęcał się pacjentom, co to, to nie. Przychodził do kliniki jeszcze przed sprzątaczkami, a wychodził z niej długo po tym, jak nocna zmiana przejmowała obowiązki od pracowników dziennych; niekiedy spędzał noc na kanapie w gabinecie.

Dwukrotnie się rozwodził i mawiał, że jego trzecią, najlepszą wybranką okazał się The Grove.

– Siadaj tutaj – powiedział i wskazał mi puste krzesło obok siebie. – No, siadaj, siadaj.

Zrobiłem, o co prosił. Przedstawił mnie z rozmachem:

– Pozwólcie, że przedstawię naszego nowego psychoterapeutę. Theo Faber. Mam nadzieję, że powitacie Theo ze mną w naszej małej rodzinie…

Podczas gdy Diomedes mówił, rozejrzałem się po kręgu w poszukiwaniu Alicii. Nigdzie jej nie widziałem. Profesor miał na sobie nienaganny garnitur i krawat, pozostali zaś koszule z krótkimi rękawami lub koszulki. To utrudniało stwierdzenie, kto był pacjentem, a kto należał do personelu.

Poznałem kilka twarzy – na przykład Christiana. Spotkaliśmy się w Broadmoor. Psychiatra i zawodnik rugby ze złamanym nosem i ciemną brodą. Przystojny na swój poobijany sposób. Opuścił Broadmoor krótko po tym, jak ja się tam pojawiłem. Nie przepadałem za nim, jednak jeśli miałbym być sprawiedliwy, nie znałem go zbyt dobrze, nie pracowaliśmy ze sobą zbyt długo.

Pamiętałem, rzecz jasna, Indirę z rozmowy kwalifikacyjnej. Uśmiechnęła się do mnie, a ja poczułem wdzięczność, bo była tu jedyną przyjazną twarzą. Pacjentki przyglądały mi się z grubiańską nieufnością. Nie miałem im tego za złe. Tyle wycierpiały – fizycznie, psychicznie, seksualnie – potrzebowały więc sporo czasu, żeby mi zaufać. Jeśli w ogóle. Były tu same kobiety, w większości o wulgarnych rysach, pomarszczone, poznaczone bliznami. Miały trudne życie i zaznały okropieństw, przez które wycofały się na ziemię niczyją choroby psychicznej. Ich wędrówka wycisnęła piętno na ich twarzach i nie sposób było tego nie dostrzec.

Ale Alicia Berenson? Gdzież ona się podziewała? Jeszcze raz przyjrzałem się osobom w kręgu i wciąż nie mogłem jej znaleźć. Wtem dotarło do mnie, że patrzę na nią. Siedziała dokładnie naprzeciwko mnie, po drugiej stronie kręgu.

Nie zauważyłem jej, bo była niewidoczna.

Pochylała się do przodu na swoim krześle. Znajdowała się pod działaniem silnych środków uspokajających. W dłoni trzymała

kubek z herbatą, a ręka drżała jej tak bardzo, że wylewała napój cienką strużką na podłogę. Powstrzymałem się przed podejściem do niej i poprawieniem kubka w jej dłoni. Była tak nieobecna, że wątpię, by to zauważyła.

Nie spodziewałem się, że będzie w tak kiepskim stanie. Dawało się jeszcze dostrzec, jak piękną była niegdyś kobietą. Zdradzały to ciemnoniebieskie oczy i twarz o doskonałej symetrii. Była jednak zbyt chuda i wydawała się brudna. Na ramiona opadały jej skołtunione kosmyki przetłuszczonych rudych włosów. Paznokcie miała obgryzione i połamane. Na obydwu nadgarstkach widniały blade blizny – te same, które tak wiernie namalowała na portrecie *Alkestis*. Palce drżały jej bezustannie, co zapewne było skutkiem ubocznym koktajlu narkotyków, którym ją faszerowano – risperidonu i innych mocnych leków przeciwpsychotycznych. Wokół jej otwartych ust gromadziła się lśniąca ślina. Niekontrolowane ślinienie się to kolejny nieprzyjemny skutek uboczny lekarstw.

Zauważyłem, że Diomedes na mnie patrzy. Oderwałem wzrok od Alicii i skupiłem uwagę na nim.

– Jestem pewien, że sam przedstawisz się lepiej, niż gdybym ja to uczynił, Theo – rzekł. – Może powiesz kilka słów?

– Dziękuję. – Skinąłem głową. – W zasadzie nie mam nic do dodania. Cieszę się ogromnie, że tu jestem. Czuję się podekscytowany, zdenerwowany, pełen nadziei. Nie mogę się doczekać, żeby wszystkich poznać, zwłaszcza pacjentów. Jestem…

Przerwało mi nagłe łupnięcie otwieranych drzwi. W pierwszej chwili wydawało mi się, że mam zwidy. Do pomieszczenia wpadła olbrzymka z dwiema drewnianymi włóczniami, które uniosła nad głowę i cisnęła nimi w naszym kierunku. Jedna z pacjentek zasłoniła oczy i krzyknęła.

Spodziewałem się, że włócznie kogoś przebiją, one jednak wylądowały na podłodze pośrodku kręgu. I wtedy dostrzegłem, że to nie włócznie, tylko kij bilardowy złamany na pół. Wielka pacjentka, Turczynka po czterdziestce, krzyknęła:

– Wkurwiacie mnie! Kij jest złamany od tygodnia, a wy go jeszcze nie wymieniliście!

– Pilnuj języka, Elif – odezwał się Diomedes. – Nie będę dyskutował o kiju bilardowym, dopóki nie zdecydujemy, czy pozwolić ci wziąć udział w zebraniu, skoro tak późno do nas dołączasz. – Chytrze przekrzywił głowę i skierował pytanie do mnie: – Jak myślisz, Theo?

Zamrugałem. Odezwałem się dopiero po chwili.

– Uważam, że należy szanować zasady i przychodzić na czas…

– Tak jak ty? – spytał mężczyzna siedzący naprzeciwko.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że to Christian. Zaśmiał się, rozbawiony własnym dowcipem. Zmusiłem się do uśmiechu i odwróciłem się do Elif.

– Ma rację. Też się dzisiaj rano spóźniłem. Może oboje powinniśmy wyciągnąć z tego naukę?

– O czym ty gadasz? – odparła Elif. – I kim ty, kurwa, jesteś?

– Elif, pilnuj języka – wtrącił się Diomedes. – Nie zmuszaj mnie, żebym kazał ci wyjść. Siadaj.

Elif nadal stała.

– I co będzie z kijem bilardowym?

Pytanie było skierowane do Diomedesa, ale on patrzył na mnie i czekał, aż odpowiem.

– Elif, rozumiem, że sprawa kija cię rozzłościła – powiedziałem. – Przypuszczam, że osoba, która go złamała, też była zła. To podsuwa nam pytanie o to, jak radzimy sobie ze złością w takiej instytucji jak ta. Może byśmy przez chwilę porozmawiali o złości? Usiądziesz?

Elif wywróciła oczami, ale usiadła.

Indira przytaknęła. Wyglądała na zadowoloną. Zaczęliśmy rozmawiać o złości, Indira i ja, usiłowaliśmy wciągnąć pacjentki w dyskusję o ich uczuciach. Wydawało mi się, że dobrze nam się współpracowało. Czułem, że Diomedes mnie obserwuje, ocenia. Też zdawał się usatysfakcjonowany.

Zerknąłem na Alicię. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że patrzy na mnie – a przynajmniej w moim kierunku. Jej oczy przysłaniała mgiełka – jakby skupienie wzroku i patrzenie stanowiło dla niej wysiłek.

Gdyby mi ktoś powiedział, że ta zniszczona powłoka była niegdyś błyskotliwą Alicią Berenson, opisywaną przez tych, którzy ją znali,

jako olśniewającą, fascynującą i pełną życia, po prostu bym nie uwierzył. W tym momencie zorientowałem się, że dobrze zrobiłem, przybywając do The Grove. Wyzbyłem się wszelkich wątpliwości. Postanowiłem, że uczynię wszystko, żeby Alicia została moją pacjentką.

Nie było czasu do stracenia: Alicia była zgubiona, a ja zamierzałem ją odnaleźć.

6

Gabinet profesora Diomedesa znajdował się w najbardziej zrujnowanej części szpitala. W rogach wisiały pajęczyny, a na korytarzu świeciły tylko niektóre żarówki. Zapukałem do drzwi i dopiero po chwili usłyszałem dobiegający ze środka głos:

– Proszę.

Nacisnąłem klamkę i drzwi otworzyły się z piskiem. Zaskoczył mnie zapach panujący w tym pomieszczeniu. Nie wyczuwało się w nim odoru środków odkażających ani chloru, raczej woń kojarzącą się z fosą orkiestrową. Czuć tu było drewno, struny, smyczki, politurę i wosk. Moje oczy potrzebowały chwili, by przystosować się do półmroku, a wtedy zauważyłem stojące pod ścianą pianino; dość nietypowy przedmiot w szpitalu. W cieniu majaczyło dwadzieścia parę metalowych stojaków, a na stole piętrzyły się nuty – chybotliwa wieża sięgająca sufitu. Na sąsiednim stole leżały skrzypce w towarzystwie oboju i fletu. Obok stała harfa – wielka rzecz z piękną drewnianą ramą i mnóstwem strun.

Gapiłem się na to wszystko z otwartymi ustami. Diomedes wybuchnął śmiechem.

– Dziwisz się, co robią tu te instrumenty? – odezwał się. Siedział za biurkiem i chichotał.

– Są twoje?

– Tak. Muzyka to moje hobby. Nie, kłamię. To moja pasja. – Z dramatyzmem wystawił palec. Profesor wypowiadał się żywiołowo i wykorzystywał szeroki wachlarz gestów dla ubarwienia i zaakcentowania swoich słów, jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą. – Prowadzę nieformalną grupę muzyczną – ciągnął. – Otwartą dla każdego, kto chce się przyłączyć, zarówno personelu, jak i pacjentów. Uważam, że muzyka jest najbardziej terapeutycznym narzędziem. – Zamilkł, by po chwili wyrecytować melodyjnym głosem: – „Muzyka potrafi ukoić barbarzyńską pierś”, zgodzisz się?

– Na pewno masz rację.

– Hm… – Diomedes przyglądał mi się przez moment. – Grasz?

– Na czym?

– Na czymkolwiek. Można zacząć od trójkąta.

Pokręciłem głową.

– Nie jestem zbyt muzykalny. W szkole grałem trochę na flecie. To wszystko.

– Zatem umiesz czytać nuty? To zaleta. Dobrze. Wybierz sobie jakiś instrument. Będę cię uczył.

Uśmiechnąłem się i znowu pokręciłem głową.

– Obawiam się, że brak mi cierpliwości.

– Tak? Cóż, cierpliwość jest cnotą, a pielęgnowanie jej dobrze by zrobiło psychoterapeucie. Kiedy byłem młody, nie potrafiłem zdecydować, czy powinienem zostać muzykiem, księdzem, czy lekarzem. – Zaśmiał się. – A teraz jestem tym wszystkim.

– Przypuszczam, że to prawda.

– Wiesz – rzucił i bez zająknięcia zmienił temat. – Miałem decydujący głos po twojej rozmowie kwalifikacyjnej. I bardzo cię poparłem. A wiesz dlaczego? Już ci mówię. Dostrzegłem w tobie coś, Theo. Kojarzysz mi się ze mną… Kto wie? Może za kilka lat to ty będziesz kierował tym miejscem? – Pozwolił, by zdanie wybrzmiało, po czym westchnął. – Jeśli będzie nadal istniało, naturalnie.

– Myślisz, że mogłoby nie istnieć?

– Kto wie? Zbyt mało pacjentów, zbyt liczny personel. Współpracujemy z Funduszem, żeby sprawdzić, czy dałoby się znaleźć bardziej „ekonomicznie opłacalny” model. A to znaczy, że jesteśmy pod ciągłym nadzorem, wiecznie oceniani, nawet śledzeni. Mógłbyś zapytać, jak można prowadzić działalność terapeutyczną w takich warunkach. Jak powiedział Winnicott, terapię da się praktykować w płonącym budynku. – Pokręcił głową i nagle wyglądał na swoje lata, taki wyczerpany i znużony. Ściszył głos i przeszedł do konspiracyjnego szeptu: – Uważam, że kierowniczka, Stephanie Clarke, jest z nim w zmowie. Ostatecznie Fundusz płaci jej pensję. Obserwuj ją, a zrozumiesz, co mam na myśli.

Uznałem, że Diomedes ma lekką paranoję, ale może było to zrozumiałe. Nie chciałem powiedzieć nic niewłaściwego, więc przez chwilę milczałem dyplomatycznie. A potem…

– Chciałbym o coś zapytać – odezwałem się. – Na temat Alicii.

– Alicii Berenson? – Diomedes posłał mi dziwne spojrzenie. – O co chodzi?

– Jestem ciekaw, jakiej terapii jest poddana. Ma terapię indywidualną?

– Nie.

– Istnieje po temu powód?

– Próbowaliśmy… ale zrezygnowaliśmy.

– Dlaczego? Kto ją prowadził? Indira?

– Nie. – Diomedes pokręcił głową. – Ja osobiście się z nią spotykałem.

– Rozumiem. Co się stało?

Wzruszył ramionami.

– Nie chciała przychodzić do mojego gabinetu, więc poszedłem do niej. W czasie sesji po prostu siedziała na łóżku i gapiła się przez okno. Nie odzywała się, rzecz jasna. Nawet na mnie nie spojrzała. – Uniósł ręce w geście rozpaczy. – Uznałem, że to tylko strata czasu.

Przytaknąłem.

– Przypuszczam… Cóż, zastanawiam się nad przeniesieniem…

– Tak? – Diomedes przyglądał mi się z zainteresowaniem. – Mów dalej.

– Niewykluczone, że dostrzegała w tobie osobę autorytarną… potencjalnie karzącą? Nie wiem, jakie miała relacje z ojcem, ale…

Diomedes słuchał mnie z lekkim uśmiechem, jakbym opowiadał dowcip, a on czekał na pointę.

– Wydaje ci się, że mogłoby się udać dotrzeć do niej komuś młodszemu? – dokończył za mnie. – Niech zgadnę… Komuś takiemu jak ty? Myślisz, że możesz jej pomóc, Theo? Możesz uratować Alicię? Nakłonić ją do mówienia?

– Nie wiem, czy mógłbym ją uratować, ale chciałbym jej pomóc. Chciałbym spróbować.

Diomedes się uśmiechnął, wciąż tak samo rozbawiony.

– Nie jesteś pierwszy. Wydawało mi się, że sobie poradzę. Alicia jest milczącą syreną, mój drogi, siedzi sobie na skale, o którą nasze terapeutyczne ambicje rozbijają się na drobne kawałeczki. – Posłał mi uśmiech. – Dała mi cenną lekcję na temat porażki. Może potrzebujesz takiej samej.

Spojrzałem na niego buntowniczo.

– Chyba że mi się powiedzie.

Uśmiech Diomedesa zgasł, a jego miejsce zajął wyraz twarzy trudniejszy do odgadnięcia. Milczał przez moment, potem podjął decyzję.

– Przekonajmy się, dobrze? Najpierw musisz poznać Alicię. Nie zostałeś jej przedstawiony, prawda?

– Nie, jeszcze nie.

– Poproś Yuriego, żeby to zorganizował, dobrze? Potem zgłoś się do mnie.

– Dobrze – odparłem i starałem się ukryć ekscytację. – Złożę ci raport.

7

Gabinet psychoterapii był małym, wąskim pomieszczeniem na planie prostokąta; pustym jak więzienna cela albo jeszcze bardziej. W zamkniętym oknie nic nie wisiało. Jaskraworóżowe pudełko chusteczek higienicznych na stoliku wprowadzało fałszywie wesołą nutę – pewnie postawiła je tutaj Indira. Nie wyobrażałem sobie, żeby Christian podsuwał pacjentkom chusteczki.

Usiadłem na jednym ze zniszczonych, wyblakłych foteli. Mijały minuty. Ani śladu Alicii. Może nie przyjdzie? Może odmówiła spotkania się ze mną? Miała do tego prawo.

Niecierpliwy, pełen obaw, nerwowy wstałem, podskoczyłem i podszedłem do okna. Wyjrzałem za kraty.

Podwórko znajdowało się trzy piętra niżej. Miało rozmiary kortu tenisowego. Było otoczone murem z czerwonej cegły, który był zbyt wysoki, żeby się na niego wspinać, choć na pewno ktoś już próbował. Pacjentki każdego popołudnia były wyprowadzane na ten dziedziniec, by zaczerpnęły świeżego powietrza, czy tego chciały, czy nie. A zważywszy na lodowatą pogodę, nie dziwiłem się, że nie chciały. Niektóre stały samotnie i mamrotały do siebie, chodziły w tę i z powrotem, jak niespokojne zombi, donikąd. Inne tworzyły grupki, rozmawiały, paliły papierosy, sprzeczały się. Dotarły do mnie głosy, krzyki i dziwnie podekscytowany śmiech.

W pierwszej chwili nie widziałem Alicii. Potem ją namierzyłem. Stała samotnie w dalekim końcu dziedzińca, przy murze. Idealnie nieruchoma jak posąg. Yuri szedł w jej kierunku. Powiedział coś do pielęgniarki stojącej kilka kroków od Alicii. Pielęgniarka skinęła głową. Yuri podszedł do Alicii ostrożnie, powoli, jakby zbliżał się do nieprzewidywalnego zwierzęcia.

Poprosiłem go, żeby nie wdawał się w szczegóły i powiedział jej tylko, że chciałby się z nią zobaczyć nowy psychoterapeuta. Alicia stała spokojnie, gdy mówił. Ani nie przytaknęła, ani nie pokręciła

przecząco głową, w żaden sposób nie dała znać, że go słyszała. Yuri zrobił krótką przerwę, odwrócił się i zaczął iść.

No to po sprawie, pomyślałem. Nie przyjdzie. Powinienem się domyślić, kurwa mać. Tylko marnuję czas.

Wtem, ku mojemu zaskoczeniu, Alicia zrobiła krok do przodu. Zachwiała się lekko i ruszyła za Yurim, powłócząc nogami. Po chwili zniknęli mi z oczu.

A więc idzie tu. Próbowałem zapanować nad nerwami i się przygotować. Usiłowałem stłumić negatywny głos w głowie – głos ojca – powtarzający mi, że nie nadaję się do tej pracy, że jestem bezużytecznym oszustem. Zamknij się, pomyślałem. Zamknij się, milcz…

Po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziałem.

Drzwi się otworzyły. Alicia stała na korytarzu obok Yuriego. Spojrzałem na nią. Nie patrzyła na mnie, wbiła wzrok w podłogę.

Yuri posłał mi dumny uśmiech.

– Przyszła.

– Widzę. Dzień dobry, Alicio.

Nie odpowiedziała.

Yuri pochylił się, jakby chciał ją ponaglić, ale jej nie dotknął. Szepnął tylko:

– Idź, kochana. Wejdź i usiądź.

Alicia wahała się przez moment. Zerknęła na niego i ostatecznie weszła do pokoju, lekko się chwiejąc. Usiadła na fotelu, cicho jak kot, i złożyła drżące dłonie na kolanach.

Chciałem zamknąć drzwi, ale Yuri nie odchodził. Ściszyłem głos.

– Poradzę sobie, dziękuję.

Yuri zdawał się strapiony.

– Musi być cały czas pod opieką. Profesor powiedział…

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Wszystko jest w porządku. – Wyciągnąłem z kieszeni alarm na wypadek napaści. – Widzisz, mam to. Chociaż nie będzie potrzebne.

Zerknąłem na Alicię. Nic nie wskazywało, żeby mnie słyszała. Yuri wzruszył ramionami, ewidentnie niezadowolony.

– Będę za drzwiami, na wypadek gdybyś mnie potrzebował.

– To nie jest konieczne, ale dzięki.

Yuri wyszedł, a ja zamknąłem drzwi. Położyłem alarm na stoliku. Usiadłem naprzeciwko Alicii. Nie podniosła wzroku. Przyglądałem się jej przez chwilę. Jej twarz niczego nie wyrażała. Leki przyoblekły ją w maskę. Zastanawiałem się, co się pod nią kryło.

– Cieszę się, że zgodziłaś się ze mną zobaczyć – odezwałem się. Czekałem na odpowiedź, choć wiedziałem, że jej nie usłyszę. Ciągnąłem: – Mam tę przewagę, że wiem o tobie więcej niż ty o mnie. Jesteś znana. Jako malarka. Podziwiam twoje prace. – Żadnej reakcji. Zmieniłem pozycję na fotelu. – Poprosiłem profesora Diomedesa o zgodę na tę rozmowę, a on był uprzejmy mi jej udzielić. Dziękuję, że też się na nią zgodziłaś.

Zamilkłem w nadziei na jakąś reakcję – mrugnięcie okiem, skinienie głową, ściągnięcie brwi. Nic. Próbowałem odgadnąć jej myśli. Może była zbyt nafaszerowana lekami, żeby w ogóle myśleć.

Pomyślałem o swojej terapeutce Ruth. Co ona by zrobiła? Mawiała, że składamy się z różnych części, dobrych i złych, i że zdrowy umysł potrafi tolerować tę ambiwalencję i żonglować dobrem i złem. Choroba psychiczna polega na braku umiejętności integracji – tracimy kontakt z nieakceptowanymi częściami siebie. Jeżeli miałbym pomóc Alicii, musielibyśmy zlokalizować owe części, które ukryła przed sobą poza granicami świadomości, połączyć kropki w jej psychicznym krajobrazie. Dopiero wtedy moglibyśmy umieścić w jakimś kontekście potworne wydarzenia z owego wieczoru, gdy zabiła męża. Byłby to powolny i żmudny proces.

Zazwyczaj, kiedy zaczynamy pracę z pacjentem, nie spieszymy się, nie tworzymy żadnego planu. Na początku przez kilka miesięcy rozmawiamy. W świecie idealnym Alicia opowiedziałaby mi o sobie, swoim życiu, dzieciństwie. Ja bym jej słuchał i budował powoli obraz do czasu, aż mógłbym na jego podstawie dokonać trafnej i pomocnej interpretacji. W tym przypadku nie będzie rozmowy. Ani słuchania. Potrzebne mi informacje będę musiał zdobyć z niewerbalnych podpowiedzi, na przykład mojego przeciwprzeniesienia – uczuć, które Alicia wzbudzi we mnie w trakcie sesji – i innych źródeł.

Innymi słowy, rozpocząłem realizację planu pomocy Alicii, chociaż nie wiedziałem, jak tego dokonać. I teraz musiałem działać nie tylko po to, by wykazać się przed Diomedesem, ale też, co ważniejsze, wypełnić swoje obowiązki wobec Alicii i jej pomóc.

Patrzyłem na nią, jak siedzi naprzeciwko mnie otulona niewidzialną mgiełką wywołaną przez leki, ze śliną w kącikach ust, z palcami podrygującymi jak brudne ćmy, i nagle poczułem nieoczekiwany przypływ smutku. Zrobiło mi się rozpaczliwie żal jej i podobnych do niej – nas wszystkich, zranionych i zagubionych.

Naturalnie nie powiedziałem jej niczego z tych rzeczy. Zamiast tego robiłem to, co zrobiłaby Ruth.

I po prostu siedzieliśmy w milczeniu.

8

Otworzyłem teczkę Alicii. Dał mi ją Diomedes.

– Musisz przeczytać moje notatki – powiedział. – Pomogą ci.

Nie miałem ochoty brnąć przez jego zapiski. Znałem już jego zdanie i musiałem odkryć, co ja myślę. Niemniej grzecznie przyjąłem propozycję.

– Dziękuję. Bardzo mi to pomoże.

Gabinet miałem mały i skąpo umeblowany, umieszczony w głębi budynku przy klatce ewakuacyjnej. Wyjrzałem przez okno. Mały kos dziobał zmarzniętą kępkę trawy, bez zaangażowania i większej nadziei.

Wzdrygnąłem się. W pokoju było lodowato. Niewielki kaloryfer pod oknem nie działał – Yuri obiecał go naprawić, ale powiedział, że najlepiej będzie porozmawiać o tym ze Stephanie, a jeśli to nic nie da, poruszyć ten temat na zebraniu wspólnoty. Poczułem nagły przypływ empatii dla Elif i jej walki o wymianę złamanego kija bilardowego.

Kartkowałem akta Alicii bez większych oczekiwań. Znaczna część potrzebnych mi informacji znajdowała się w internetowej bazie danych. Diomedes jednakże, jak wielu starszej daty członków personelu, wolał pisać raporty odręcznie i (ignorując nagabywanie Stephanie, by robić inaczej) upierał się przy tym.

Przeglądałem pobieżnie notatki Diomedesa, bagatelizując jego trochę staromodne psychoanalityczne interpretacje i skupiając się na dziennych raportach pielęgniarek, które informowały o zachowaniu Alicii. Te raporty czytałem uważnie. Chciałem poznać fakty, liczby, szczegóły – musiałem dokładnie wiedzieć, w co się pakowałem, z czym będę musiał się zmierzyć. I czy czekają mnie jakieś niespodzianki.

Niewiele się dowiedziałem. Po przyjęciu do szpitala Alicia podcięła sobie żyły jeszcze dwukrotnie i okaleczała się wszystkim, co wpadło jej w ręce. Przez pierwszych sześć miesięcy znajdowała

się pod nadzorem dwóch osób – to znaczy, że bez przerwy obserwowały ją dwie pielęgniarki – a potem ograniczono to do nadzoru jednej osoby. Alicia nie podejmowała prób nawiązania interakcji z pacjentkami lub personelem i przez cały czas pozostawała wycofana; inne pacjentki najczęściej dawały jej spokój. Jeżeli ktoś nie odpowiada, gdy go zagaisz, i nigdy nie inicjuje rozmowy, niebawem zapominasz o jego istnieniu. Alicia szybko wtopiła się w tło i stała się niewidzialna.

Zwróciłem uwagę tylko na jeden incydent. Wydarzyło się to na stołówce kilka tygodni po przyjęciu Alicii do ośrodka. Elif oskarżyła ją, że zajęła jej miejsce. Trudno powiedzieć, co się dokładnie stało, bo konfrontacja szybko eskalowała. Alicia zrobiła się agresywna – rozbiła talerz i próbowała poderżnąć Elif gardło. Trzeba ją było obezwładnić, podać środki uspokajające i umieścić w izolatce.

Nie wiem, dlaczego ten incydent mnie zainteresował. Coś mi w nim nie pasowało. Postanowiłem porozmawiać o tym z Elif.

Wyrwałem kartkę z notatnika i sięgnąłem po długopis. Stary nawyk jeszcze z czasów uniwersyteckich – coś w procesie przelewania myśli na papier pomaga mi je zorganizować. Zawsze miałem kłopot z formułowaniem opinii do czasu, gdy ją napiszę.

Zacząłem notować pomysły, notatki, cele – opracowywać plan ataku. Aby pomóc Alicii, muszę ją zrozumieć, podobnie jak jej relację z Gabrielem. Kochała go? Nienawidziła? Co ją skłoniło do zabicia go? I dlaczego nie chciała mówić na temat zabójstwa lub jakikolwiek inny? Żadnych odpowiedzi, na razie – same pytania.

Napisałem słowo i podkreśliłem je: ALKESTIS.

Ten autoportret był ważny, wiedziałem o tym, a zrozumienie powodu odegra kluczową rolę w rozgryzieniu zagadki. Obraz był jedynym przejawem komunikacji ze strony Alicii, jej jedynym wyznaniem. Jeszcze nie pojmowałem jego wyrazu. Zanotowałem, że muszę się ponownie udać do galerii, by go obejrzeć.

Napisałem kolejne słowo: DZIECIŃSTWO. Jeżeli miałem zrozumieć zabójstwo Gabriela, musiałem poznać nie tylko wydarzenia z wieczoru, kiedy Alicia go zamordowała, ale też fakty z jej odległej przeszłości. Ziarna tego, co się stało w ciągu tamtych kilku minut, gdy zastrzeliła Gabriela, zasiano prawdopodobnie wiele

lat wcześniej. Zabójcza wściekłość nie rodzi się w teraźniejszości. Wywodzi się z czasów sprzed pamięci, ze świata wczesnego dzieciństwa, z krzywd i złego traktowania we wczesnym życiu, narasta z upływem lat i wreszcie eksploduje – zwykle skierowana na niewłaściwy cel. Musiałem się dowiedzieć, jak dzieciństwo ukształtowało Alicię, a gdyby ona nie mogła lub nie chciała mi tego powiedzieć, musiałem znaleźć kogoś, kto by to zrobił. Kogoś, kto znał ją w czasach przed zabójstwem, kto mógłby mi pomóc zrozumieć jej historię i to, kim była. Oraz dlaczego skończyła w ten sposób.

Z dokumentów dowiedziałem się, że najbliższą krewną Alicii była jej ciotka, Lydia Rose, która ją wychowywała po tym, jak jej matka zginęła w wypadku samochodowym. Taka trauma musiała mocno wpłynąć na dziewczynkę. Miałem nadzieję, że Lydia będzie mi mogła o tym opowiedzieć.

Dysponowałem jeszcze jednym kontaktem. Był to adwokat Alicii, Max Berenson. Max był bratem Gabriela Berensona. I miał doskonałe warunki, by obserwować małżeństwo z bliska. To, czy zgodzi się ze mną rozmawiać, to zupełnie inna historia. Psychoterapeuta, który bez nakazu sądu kontaktuje się z rodziną Alicii, wykazuje, delikatnie mówiąc, dość nowatorskie podejście. Miałem mgliste poczucie, że Diomedes by tego nie popierał. Uznałem, że lepiej będzie nie prosić go o zgodę, na wypadek gdyby jej nie udzielił.

To było moje pierwsze zawodowe wykroczenie w sprawie Alicii – i stworzyło nieszczęśliwe podwaliny pod dalsze wydarzenia. Na tym powinienem poprzestać. Ale nawet wtedy było już za późno. Mój los był pod wieloma względami przesądzony – jak w greckiej tragedii.

Sięgnąłem po telefon. Zadzwoniłem do biura Maxa Berensona, pod numer zamieszczony w aktach Alicii. Odebrano po kilku sygnałach.

– Kancelaria Elliot, Barrow i Berenson – powiedziała mocno przeziębiona sekretarka.

– Z panem Berensonem proszę.

– Mogę spytać, kto mówi?

– Theo Faber. Jestem psychoterapeutą w The Grove. Zastanawiałem się, czy mógłbym zamienić słowo z panem Berensonem na temat jego szwagierki.

Kobieta odpowiedziała po chwili milczenia.

– Rozumiem. Pana Berensona nie będzie w biurze do końca tygodnia. Udał się z wizytą do klienta w Edynburgu. Jeśli zostawi pan numer, oddzwoni po powrocie.

Podałem jej numer i się rozłączyłem.

Wybrałem kolejny numer podany w aktach – ciotki Alicii, Lydii Rose. Tym razem usłyszałem tylko jeden sygnał. Starsza pani była zasapana i raczej poirytowana.

– Tak? Kto mówi?

– Pani Rose?

– Kim pan jest?

– Dzwonię w sprawie pani siostrzenicy, Alicii Berenson. Jestem psychoterapeutą z…

– Pierdol się – warknęła i odłożyła słuchawkę.

Ściągnąłem brwi.

Nie najlepszy początek.

9

Poczułem rozpaczliwą potrzebę, by zapalić. Po wyjściu z The Grove przeszukałem kieszenie, ale nie znalazłem papierosów.

– Szukasz czegoś?

Odwróciłem się. Za mną stał Yuri. Nie słyszałem, jak szedł, i przestraszyłem się, gdy zobaczyłem go tak blisko.

– Znalazłem je w pokoju pielęgniarek – powiedział z szerokim uśmiechem i podał mi paczkę papierosów. – Pewnie wypadły ci z kieszeni.

– Dzięki.

Przypaliłem papierosa. Podsunąłem paczkę Yuriemu. Pokręcił głową.

– Nie palę. Przynajmniej nie papierosy. – Zaśmiał się. – Chyba powinieneś się napić. Chodź, postawię ci piwko.

Zawahałem się. Instynkt podpowiadał mi, żeby odmówić – nigdy nie spotykałem się towarzysko z kolegami z pracy. Poza tym wątpiłem, żebyśmy mieli z Yurim wiele wspólnego. Najprawdopodobniej jednak znał Alicię najlepiej ze wszystkich w The Grove i jego spostrzeżenia mogłyby okazać się pomocne.

– Jasne – odparłem. – Czemu nie?

Poszliśmy do pubu w pobliżu stacji metra, do The Slaughtered Lamb. Mroczny i brudny lokal czasy świetności miał za sobą, podobnie jak starsi faceci drzemiący nad niedopitymi piwami. Yuri kupił nam po kuflu i usiedliśmy przy stoliku w głębi.

Pociągnął spory łyk piwa i otarł usta.

– No to opowiadaj o Alicii – powiedział.

– O Alicii?

– Jak ją znalazłeś?

– Nie jestem pewien, czy ją znalazłem.

Yuri posłał mi pytające spojrzenie i się uśmiechnął.

– Nie chce, by ją znaleziono? To prawda. Ukrywa się.

– Jesteś z nią blisko. Widzę to.

– Troszczę się o nią. Nikt nie zna jej tak dobrze jak ja, nawet profesor Diomedes.

W jego głosie pobrzmiewała chełpliwa nuta. Z jakiegoś powodu mnie drażniła – zastanawiałem się, na ile dobrze naprawdę ją znał i czy się po prostu nie przechwalał.

– Co myślisz o jej milczeniu? Co może oznaczać?

Yuri wzruszył ramionami.

– Znaczy pewnie, że nie jest gotowa mówić. Odezwie się, kiedy będzie gotowa.

– Na co?

– Na prawdę, przyjacielu.

– A co nią jest?

Yuri przekrzywił lekko głowę na bok i przyglądał mi się. Pytanie, które wypłynęło z jego ust, zaskoczyło mnie.

– Jesteś żonaty, Theo?

Przytaknąłem.

– Tak myślałem. Też miałem kiedyś żonę. Emigrowaliśmy tu z Łotwy. Nie zaadaptowała się tak dobrze jak ja. Nie starała się, nie nauczyła angielskiego. W każdym razie nie… Nie byłem szczęśliwy. Zaprzeczałem temu, okłamywałem się… – dopił piwo i dokończył zdanie: – …do czasu aż się zakochałem.

– Domyślam się, że nie w swojej żonie?

Yuri zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie. W kobiecie, która mieszkała nieopodal. Bardzo pięknej. To była miłość od pierwszego wejrzenia… Zobaczyłem ją na ulicy. Dużo czasu upłynęło, zanim odważyłem się do niej odezwać. Śledziłem ją… Czasami ją obserwowałem, kiedy o tym nie wiedziała. Stawałem przed jej domem i patrzyłem, w nadziei że pojawi się w oknie. – Zaśmiał się.

Jego opowieść zaczęła budzić we mnie dyskomfort. Dokończyłem piwo i zerknąłem na zegarek, licząc na to, że Yuri zrozumie aluzję. Nic z tego.

– Pewnego dnia – ciągnął – spróbowałem się do niej odezwać. Nie była mną zainteresowana. Próbowałem kilka razy… Kazała mi przestać się jej narzucać.

Nie zdziwiło mnie to. Chciałem go przeprosić i wyjść, ale mówił dalej:

– Trudno mi było to zaakceptować. Żywiłem przekonanie, że jesteśmy sobie pisani. Złamała mi serce. Bardzo się na nią rozzłościłem. Wściekłem się.

– I co się stało? – spytałem, zainteresowany wbrew sobie.

– Nic.

– Nic? Zostałeś z żoną?

Yuri pokręcił głową.

– Nie. Rozstaliśmy się. Ale musiałem się zakochać w tej kobiecie, żeby przyznać… żeby się zmierzyć z prawdą dotyczącą mojego związku z żoną. Szczerość wymaga niekiedy odwagi i sporo czasu.

– Rozumiem. I uważasz, że Alicia nie jest gotowa zmierzyć się z prawdą dotyczącą jej małżeństwa? O to ci chodzi? Możesz mieć rację.

Yuri wzruszył ramionami.

– Jestem teraz zaręczony z miłą dziewczyną z Węgier. Pracuje w spa. Dobrze mówi po angielsku. Pasujemy do siebie. Świetnie nam razem.

Przytaknąłem i znowu zerknąłem na zegarek. Sięgnąłem po płaszcz.

– Muszę lecieć. Spóźnię się na spotkanie z żoną.

– Nie ma sprawy… Jak ma na imię? Twoja żona?

Z jakiegoś powodu nie chciałem mu tego powiedzieć. Nie chciałem, by Yuri wiedział o niej cokolwiek. To było głupie.

– Kathryn – powiedziałem. – Ma na imię Kathryn… Mówię na nią Kathy.

Yuri uśmiechnął się do mnie dziwnie.

– Dam ci pewną radę – rzucił. – Wracaj do domu, do swojej żony. Wracaj do Kathryn, która cię kocha… I zostaw Alicię za sobą.

10

Poszedłem spotkać się z Kathy w kawiarni Teatru Narodowego w South Bank, gdzie artyści często spotykali się po próbie. Siedziała w głębi sali w towarzystwie kilku aktorek, żywo dyskutowały. Spojrzały na mnie, kiedy się do nich zbliżałem.

– Palą cię uszy? – spytała Kathy i mnie pocałowała.

– A powinny?

– Opowiadam dziewczynom o tobie.

– O. Powinienem wyjść?

– Nie bądź głupi. Siadaj. Przyszedłeś w samą porę. Właśnie mówiłam o tym, jak się poznaliśmy.

Usiadłem, a Kathy kontynuowała swoją historię. Uwielbiała ją opowiadać. Od czasu do czasu zerkała w moją stronę i uśmiechała się, żeby mnie docenić, ale był to symboliczny gest, bo to była jej historia, nie moja.

– Siedziałam przy barze, a on wreszcie się pojawił. Stało się to w czasie, gdy straciłam już nadzieję. Wszedł, mężczyzna moich marzeń. Lepiej późno niż wcale. Myślałam, że wyjdę za mąż przed dwudziestym piątym rokiem życia. Przed trzydziestką miałam mieć dwójkę dzieci, małego psa i wielki kredyt hipoteczny. A oto miałam trzydzieści trzy lata i nie wszystko układało się zgodnie z planem – mówiła Kathy z łobuzerskim uśmiechem i puściła oko do koleżanek. – Spotykałam się wtedy z Australijczykiem, niejakim Danielem. Nie chciał się żenić ani mieć dzieci, więc wiedziałam, że to strata czasu. Spędzaliśmy wieczór poza domem, gdy to się nagle stało. Zobaczyłam tego jedynego… – Kathy popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się i wywróciła oczami – …z jego dziewczyną.

Tę część historii należało przekazać ostrożnie, żeby utrzymać sympatię słuchaczy. Kathy i ja spotykaliśmy się z kimś, kiedy się poznaliśmy. Podwójna zdrada nie jest zbyt atrakcyjnym ani obiecującym początkiem związku, tym bardziej że przedstawili nas sobie nasi ówcześni partnerzy. Znali się z jakiegoś powodu, chociaż

nie pamiętam już szczegółów – być może Marianne spotykała się niegdyś ze współlokatorem Daniela albo odwrotnie. Nie pamiętam, jak nas sobie przedstawiono, za to pamiętam chwilę, kiedy zobaczyłem Kathy. Poczułem się tak, jakby mnie przeszył prąd. Pamiętam jej długie czarne włosy, przeszywające zielone oczy i usta – była piękna, nadzwyczajna. Anioł.

Na tym etapie opowieści Kathy zrobiła przerwę, uśmiechnęła się i chwyciła mnie za rękę.

– Pamiętasz, Theo? Jak rozmawialiśmy? Powiedziałeś, że szkolisz się na psychologa. A ja, że jestem szurnięta, zatem stanowimy dobraną parę.

Dziewczyny zaśmiały się gromko. Kathy też się zaśmiała. Patrzyła na mnie z niepokojem, szukając mojego wzroku.

– Ależ… kochanie… poważnie. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Prawda?

Przyszła pora na moją kwestię. Przytaknąłem i pocałowałem ją w policzek.

– Ależ oczywiście. Prawdziwa miłość.

Nagrodziły mnie pełne aprobaty spojrzenia przyjaciółek. Tylko że ja nie grałem. Moja żona miała rację, to była miłość od pierwszego wejrzenia – a przynajmniej żądza. Mimo że byłem tego wieczoru z Marianne, nie mogłem oderwać wzroku od Kathy. Obserwowałem ją z dystansu, jak prowadziła ożywioną rozmowę z Danielem. I wtedy wyczytałem z ruchu jej warg słowa „pierdol się”. Kłócili się. I to zaciekle. Daniel się odwrócił i wyszedł.

– Milczysz – odezwała się Marianne. – Co się dzieje?

– Nic.

– W takim razie wracajmy do domu. Jestem zmęczona.

– Jeszcze nie – odpowiedziałem, słuchając jej tylko jednym uchem. – Wypijmy jeszcze po drinku.

– Chcę już iść.

– No to idź.

Marianne posłała mi urażone spojrzenie, chwyciła kurtkę i wyszła. Wiedziałem, że następnego dnia czeka mnie awantura, ale nie przejmowałem się tym. Podszedłem do Kathy siedzącej przy barze.

– Daniel wróci? – zagaiłem.

– Nie – odpowiedziała. – A Marianne?

Pokręciłem głową.

– Nie. Masz ochotę na kolejnego drinka?

– Tak, poproszę.

Zamówiliśmy więc po drinku. Staliśmy przy barze i rozmawialiśmy. Dyskutowaliśmy o moim szkoleniu się na psychoterapeutę, a Kathy opowiadała mi o swoim pobycie w szkole aktorskiej – nie spędziła tam dużo czasu, bo pod koniec pierwszego roku podpisała kontrakt z agentem i od tamtej pory występowała zawodowo. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażałem sobie, że pewnie jest dobrą aktorką.

– Nie jestem stworzona do nauki – powiedziała. – Chciałam się stamtąd wyrwać i zająć się… no wiesz…

– Czym? Grą?

– Nie. Życiem. – Przekrzywiła głowę i popatrzyła na mnie spod ciemnych rzęs tymi szmaragdowozielonymi figlarnymi oczami. – Theo, skąd masz cierpliwość, żeby dalej się tym zajmować? To znaczy nauką.

– Może nie chcę jeszcze zacząć „żyć”? Może jestem tchórzem?

– Nie. Gdybyś był tchórzem, poszedłbyś do domu ze swoją dziewczyną.

Kathy zaśmiała się. Jej śmiech zabrzmiał dziwnie szelmowsko. Miałem ochotę przyciągnąć ją do siebie i mocno pocałować. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem tak wszechogarniającego pożądania. Chciałem ją przytulić, poczuć jej usta i ciepło jej ciała przy sobie.

– Przepraszam – odezwała się. – Nie powinnam tak mówić. Zawsze gadam to, co mi przyjdzie do głowy. Wspominałam już, że jestem trochę szurnięta?

Kathy często to robiła, to znaczy twierdziła, że jest szalona – „Jestem szurnięta”, „Jestem stuknięta”, „Wariatka ze mnie” – ale nigdy w to nie wierzyłem. Zbyt swobodnie się śmiała, zbyt często, żebym mógł uwierzyć, że zaznała mroku, jakiego ja doświadczyłem. Miała w sobie spontaniczność, jasność – zachwycała się życiem, bawiło ją ono bezgranicznie. I wbrew temu, co mówiła, wydawała

mi się najmniej szaloną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Przy niej czułem się zdrowy na umyśle.

Kathy była Amerykanką. Urodziła się i wychowała w Upper West Side na Manhattanie. Matka Angielka dała jej podwójne obywatelstwo, ale Kathy nie nosiła w sobie nawet krztyny angielskości. Była z determinacją zdecydowanie nieangielska – nie tylko w sposobie mówienia, ale też w spojrzeniu na świat i stosunku do niego. Taka pewna siebie, żywiołowa. Nigdy wcześniej nie widziałem kogoś takiego.

Wyszliśmy z baru, przywołaliśmy taksówkę i podaliśmy kierowcy adres mojego mieszkania. W czasie krótkiej jazdy milczeliśmy. Gdy dotarliśmy na miejsce, delikatnie przywarła ustami do moich warg. Przełamałem rezerwę i przyciągnąłem ją do siebie. Całowaliśmy się, kiedy usiłowałem otworzyć zamek kluczem. Zaraz po przekroczeniu progu zaczęliśmy się rozbierać. Potykając się, weszliśmy do sypialni i rzuciliśmy się na łóżko.

To była najbardziej erotyczna, najwspanialsza noc w moim życiu. Eksplorowałem ciało Kathy godzinami. Kochaliśmy się przez całą noc, aż do świtu. Pamiętam, że otaczało nas tyle bieli: białe światło słoneczne wkradające się do pokoju zza zasłony; białka jej oczu, zęby, skóra. Nie wiedziałem, że skóra może być taka promienna, prześwitująca; biała jak kość słoniowa poznaczona tu i ówdzie błękitnymi żyłkami widocznymi tuż pod powierzchnią, jak marmur. Kathy przypominała posąg, grecką boginię, która ożyła w moich objęciach.

Leżeliśmy wtuleni w siebie. Kathy była zwrócona w moją stronę, jej oczy znajdowały się tak blisko, że nie widziałem ich ostro. Wpatrywałem się w rozmyte zielone morze.

– A więc? – odezwała się.

– A więc?

– Co z Marianne?

– Marianne?

Przelotny uśmiech.

– To twoja dziewczyna.

– Ach, tak. Tak. – Zawahałem się, niepewny. – Nie wiem, co z Marianne. A co z Danielem?

Kathy wywróciła oczami.

– Zapomnij o nim. Ja już zapomniałam.

– Naprawdę?

W odpowiedzi mnie pocałowała.

Przed wyjściem wzięła prysznic. Ja w tym czasie zadzwoniłem do Marianne. Chciałem się z nią spotkać, powiedzieć jej to w cztery oczy. Ona jednak była wściekła i nalegała, żebyśmy porozmawiali natychmiast, przez telefon. Nie spodziewała się, że z nią zerwę. A ja właśnie to zrobiłem, na tyle delikatnie, na ile mogłem. Zaczęła płakać, zdenerwowała się i rozzłościła. W rezultacie odłożyłem słuchawkę. Wiem, że to brutalne i nieuprzejme. Nie jestem dumny z tamtej rozmowy. Ale w owym czasie wydawało mi się to jedynym szczerym zachowaniem. Wciąż nie wiem, co mógłbym zrobić inaczej.

Na naszą pierwszą randkę z prawdziwego zdarzenia umówiliśmy się w Kew Gardens. To był pomysł Kathy. Zdziwiła się, że nigdy tam nie byłem.

– Żartujesz? Nie byłeś w szklarniach? Przecież tam jest taka wielka sala z orchideami, gdzie jest gorąco jak w piecu. Kiedy uczyłam się w szkole aktorskiej, chodziłam tam, żeby się rozgrzać. Może tam byśmy się spotkali, gdy skończysz pracę? – Wtem zawahała się, nagle tracąc rezon. – A może to dla ciebie za daleko?

– Kochanie, dla ciebie udałbym się jeszcze dalej – zapewniłem ją.

– Głupek – rzuciła i mnie pocałowała.

Kathy czekała na mnie przed wejściem, w swoim wielkim płaszczu i szalu. Machała do mnie jak podekscytowane dziecko.

– Chodź, chodź – powiedziała. – Chodź za mną.

Zaprowadziła mnie przez zamarznięte błoto do wielkiej szklanej konstrukcji z tropikalnymi roślinami, otworzyła drzwi i wpadła do środka. Wszedłem tam za nią i natychmiast uderzyła mnie nagła zmiana temperatury, napastliwa fala gorąca. Zerwałem z siebie szalik i płaszcz. Kathy się uśmiechnęła.

– Widzisz? Mówiłam ci, że jest tu jak w saunie. Czy to nie wspaniałe?

Przechadzaliśmy się ścieżkami, trzymaliśmy się za ręce i oglądaliśmy egzotyczne kwiaty.

W jej towarzystwie czułem nieznane dotąd szczęście, zupełnie jakby otwarto przede mną tajemne drzwi i Kathy wzywała mnie do środka – do magicznego świata ciepła, światła i koloru, setek orchidei tworzących oszałamiającą mozaikę błękitów, czerwieni i żółci.

Czułem, jak rozpływam się w tym upale, mięknę przy krawędziach, jak żółw, który wyszedł na słońce po długim zimowym śnie, mrugający powiekami i budzący się. Kathy tego dokonała! Zaprosiła mnie do życia, a ja chwyciłem się go obiema rękami.

Pamiętam, jak sobie pomyślałem, że to jest to. To była miłość.

Rozpoznałem ją od razu i było dla mnie jasne, że nigdy czegoś takiego nie zaznałem. Moje poprzednie związki były krótkie, niesatysfakcjonujące dla obu stron. Jako student zebrałem się na odwagę, wspomagając się wielką ilością alkoholu, i straciłem dziewictwo z Kanadyjką studiującą socjologię, niejaką Meredith, dziewczyną z aparatem ortodontycznym, który poranił mi wargi w czasie, gdy się całowaliśmy. Potem był szereg nijakich związków. Nie udawało mi się znaleźć wyjątkowej więzi, za którą tęskniłem. Wierzyłem, że jestem zbyt zniszczony, niezdolny do bliskości. Teraz jednak, za każdym razem, gdy słyszałem zaraźliwy śmiech Kathy, przepływała przeze mnie fala ekscytacji. Za sprawą swoistej osmozy chłonąłem jej młodzieńczą żywiołowość, nieskrępowanie i radość. Godziłem się na każdą jej sugestię i zachciankę. Nie poznawałem siebie. Podobał mi się ten nowy gość, nieustraszony mężczyzna, którego obudziła we mnie Kathy. I bezustannie się pieprzyliśmy. Pożerała mnie żądza, wiecznie i gorączkowo jej pragnąłem. Musiałem jej ciągle dotykać; nigdy nie czułem się dość blisko niej.

Kathy zamieszkała ze mną w grudniu, w moim mieszkanku z jedną sypialnią, w Kentish Town. To było zatęchłe mieszkanie z grubymi dywanami i oknami bez widoku. Pierwszą Gwiazdkę postanowiliśmy spędzić jak należy. Kupiliśmy choinkę na stoisku przy stacji metra i udekorowaliśmy ją ozdobami i światełkami z targu.

Pamiętam wyraźnie zapach sosnowych igieł, drewna, płonących świec. I oczy Kathy wpatrzone we mnie, błyszczące, połyskujące jak lampki na choince. Odezwałem się bez zastanowienia. Słowa po prostu ze mnie popłynęły:

– Wyjdziesz za mnie?

Kathy spojrzała na mnie.

– Słucham?

– Kocham cię, Kathy. Wyjdziesz za mnie?

Zaśmiała się. A potem, ku mojej radości i zachwytowi, powiedziała:

– Tak.

Następnego dnia udaliśmy się po pierścionek. I rzeczywistość tej sytuacji dotarła do mnie. Zaręczyliśmy się.

O dziwo, pierwszymi ludźmi, o których pomyślałem, byli moi rodzice. Chciałem im przedstawić Kathy. Pragnąłem pokazać im, jaki byłem szczęśliwy: wreszcie uciekłem, byłem wolny. Pojechaliśmy więc pociągiem do Surrey. Z perspektywy czasu wiem, że to był kiepski pomysł. Od samego początku skazany na porażkę. Ojciec powitał mnie z typową dla niego wrogością:

– Wyglądasz okropnie, Theo. Jesteś za chudy. Masz za krótkie włosy. Przypominasz skazańca.

– Dzięki, tato. Też się cieszę, że cię widzę.

Matka wydawała się bardziej przygnębiona niż zwykle. Cichsza, jakby mniejsza, jakby jej tak naprawdę z nami nie było. Ojciec bardziej zaznaczał swoją obecność, nieprzyjazny, wściekły, nieuśmiechnięty. Nie odrywał zimnych ciemnych oczu od Kathy. Atmosfera była niekomfortowa. Kathy chyba im się nie spodobała, nie wydawali się też cieszyć naszym szczęściem. Nie wiem, dlaczego mnie to zdziwiło.

Po lunchu ojciec zniknął w swoim gabinecie i już z niego nie wyszedł. W czasie pożegnania matka tuliła mnie zbyt długo, zbyt blisko, aż zachwiała się na nogach. Poczułem rozpaczliwy smutek. Kiedy wyszliśmy z Kathy z domu, jakaś część mnie w nim została – na zawsze będąca dzieckiem, uwięziona. Czułem się zagubiony, zdesperowany, bliski łez. I wtedy Kathy mnie zaskoczyła, jak zwykle. Objęła mnie i przyciągnęła do siebie.

– Teraz już rozumiem – szepnęła mi do ucha. – Rozumiem wszystko. I kocham cię jeszcze bardziej.

Nie wyjaśniała nic więcej. Nie musiała.

Pobraliśmy się w kwietniu w małym urzędzie stanu cywilnego przy Euston Square. Nie zaprosiliśmy rodziców. I Boga. Kathy nalegała na brak religijności. Ja jednak zmówiłem potajemnie modlitwę w czasie ceremonii. W milczeniu podziękowałem Mu za obdarzenie mnie takim nieoczekiwanym szczęściem, na które nie zasługiwałem. Teraz patrzyłem na świat wyraźnie, rozumiałem Jego wyższy cel. Bóg nie opuścił mnie w dzieciństwie, kiedy czułem się taki samotny i przerażony. Trzymał Kathy ukrytą w rękawie i czekał tylko, by ją wyciągnąć, jak wprawny magik.

Każda nasza wspólna chwila budziła we mnie pokorę i wdzięczność. Miałem świadomość tego, jak niesamowicie mi się poszczęściło, że poznałem miłość będącą taką rzadkością, innym fortuna tak nie sprzyjała. Większości moich pacjentów nie kochano. Na przykład Alicii Berenson.

Trudno sobie wyobrazić dwie kobiety, które mogłyby się od siebie różnić bardziej niż Kathy i Alicia. Myśląc o Kathy, wyobrażam sobie światło, ciepło, kolor i śmiech. Alicia kojarzy mi się z głębią, ciemnością i smutkiem.

I milczeniem.

Część II

Niewyrażone emocje nigdy nie umierają. Zostają zakopane żywcem, aby powrócić później w znacznie gorszej postaci.

Sigmund Freud

1. Pamiętnik Alicii Berenson

16 lipca

Nie sądziłam, że będę kiedykolwiek tęskniła za deszczem. Tymczasem mamy już czwarty tydzień fali upałów, które kojarzą mi się z próbą wytrzymałości. Każdy dzień jest gorętszy od poprzedniego. Zupełnie jakby to nie była Anglia, tylko jakiś obcy kraj – Grecja albo coś podobnego.

Piszę te słowa przy Hampstead Heath. Cały park jest uścielony czerwonolicymi półnagimi ciałami, jak jakaś plaża albo pole bitwy, rozciągniętymi na kocach, ławkach lub po prostu na trawie. Siedzę pod drzewem, w cieniu. Jest osiemnasta i zaczęło się ochładzać. Słońce stoi nisko, czerwone na tle złotego nieba; wrzosowisko wygląda w tym świetle inaczej – dłuższe cienie, żywsze barwy. Trawa wydaje się stać w ogniu, płomienie tańczą u mych stóp.

W drodze tutaj zdjęłam buty i szłam boso. Skojarzyło mi się to z dzieciństwem i zabawami na dworze. I latem równie upalnym jak to – kiedy zginęła mama. Bawiłam się na zewnątrz z Paulem, jeździliśmy rowerami wśród złotych pól upstrzonych dzikimi margerytkami, zaglądaliśmy do opuszczonych domów i nawiedzonych sadów. W mojej pamięci tamto lato jest wieczne. Pamiętam Mamę i te jej kolorowe bluzki z żółtymi ramiączkami jak makaroniki, takie cienkie i delikatne – zupełnie jak ona. Była taka chuda, jak ptaszek. Włączała radio, brała mnie na ręce i tańczyła ze mną do piosenek pop. Pamiętam, że pachniała mydłem, papierosami i kremem do rąk Nivea, zawsze z nutką wódki. Ile mogła mieć wówczas lat? Dwadzieścia osiem? Dwadzieścia dziewięć? Mniej, niż ja mam obecnie.

Dziwna myśl.

W drodze tutaj widziałam na ścieżce małego ptaka leżącego przy korzeniach drzewa. Pomyślałam, że pewnie wypadł z gniazda. Nie ruszał się, a ja się zastanawiałam, czy nie złamał sobie skrzydeł. Delikatnie pogładziłam go palcem po łebku. Nie zareagował. Odwróciłam go – z drugiej strony już go nie było, został pożarty. Była tylko jama pełna czerwi. Tłustych, białych, oślizgłych czerwi… wijących się, skręcających… Poczułam, że żołądek podchodzi mi do gardła, wydawało mi się, że zwymiotuję. Ten ptak był taki ohydny, odrażający – martwy.

Nie mogę przestać o nim myśleć.

17 lipca

Zaczęłam chować się przed upałem w klimatyzowanej kawiarni – Café de l’Artista, przy głównej ulicy. W środku jest lodowato zimno, jakby się weszło do lodówki. Lubię siadać przy stoliku przy oknie, gdzie sączę mrożoną kawę. Czasami czytam, szkicuję lub sporządzam notatki. Najczęściej pozwalam myślom dryfować i rozkoszuję się chłodem. Piękna dziewczyna za barem wygląda na znudzoną, gapi się w telefon, zerka na zegarek i od czasu do czasu wzdycha. Wczoraj po południu jej westchnienia były wyjątkowo długie – dotarło do mnie, że czeka, aż wyjdę, żeby mogła zamknąć lokal. Wyszłam niechętnie.

Chodzenie w ten upał przypomina brodzenie w błocie. Czuję się zmęczona, znużona, wykończona. Nie jesteśmy do tego przystosowani, nie w tym kraju. Nie mamy z Gabrielem klimatyzacji w domu – no bo kto ją ma? A bez niej nie da się spać. Nocą odrzucamy kołdry i leżymy odkryci, nadzy, zlani potem. Zostawiamy otwarte okna, ale nie czuć nawet najmniejszego powiewu. Tylko gorące martwe powietrze.

Kupiłam wczoraj wiatrak. Postawiłam go w nogach łóżka na komodzie i Gabriel natychmiast zaczął narzekać.

– Strasznie hałasuje. Nie da nam zasnąć.

– I tak nie możemy spać – odparłam. – Przynajmniej nie będziemy leżeli w saunie.

Gabriel pomarudził jeszcze trochę, ale w końcu zasnął przede mną. A ja leżałam i wsłuchiwałam się w pracujący wiatrak: podoba mi się to jego delikatne buczenie. Mogę zamknąć oczy, dostroić się do niego i zniknąć.

Chodzę z wiatrakiem po całym domu, podłączam go i odłączam od prądu. Dzisiaj po południu zabrałam go do pracowni w ogrodzie. Dzięki niemu zrobiło się prawie znośnie. Niemniej nadal jest za gorąco, żebym mogła pracować. Nie wyrabiam się, ale w tym upale przestałam się tym przejmować.

Dokonałam pewnego przełomu – wreszcie zrozumiałam, co jest nie tak z obrazem Jezusa. Dlaczego nie jestem z niego zadowolona. Problem nie dotyczy kompozycji – Jezus na krzyżu – nie dotyczy wręcz samego obrazu Jezusa. Bo on nawet nie wygląda jak On – jakkolwiek wyglądał. Bo to nie jest Jezus.

Tylko Gabriel.

Niesamowite, że wcześniej tego nie dostrzegałam. Jakimś cudem, niezamierzenie, umieściłam na krzyżu Gabriela. To jego twarz namalowałam, jego ciało. Czyż to nie obłęd? Muszę się zatem temu poddać i zrobić to, czego obraz żąda ode mnie.

Już teraz wiem, że kiedy mam plan dotyczący obrazu, założoną z góry ideę, jak powinien wyglądać, nigdy mi się nie udaje. Pozostaje martwy, jak martwa natura. Jeśli jednak naprawdę wytężam uwagę, jestem świadoma, słyszę niekiedy szept nakierowujący mnie we właściwą stronę. I jeśli mu ulegnę, jak w akcie wiary, prowadzi mnie w nieoczekiwane rejony, niezgodne z moją intencją, ale gdzieś, gdzie jest bardzo żywo, wspaniale – a rezultat jest niezależny ode mnie i wypełnia go jego własna siła życiowa.

Chyba przeraża mnie poddanie się nieznanemu. Lubię wiedzieć, dokąd zmierzam. To dlatego sporządzam zawsze tyle szkiców – próbuję kontrolować efekt – nic dziwnego, że

nic nie budzi się do życia – bo nie reaguję tak naprawdę na to, co się dzieje przede mną. Muszę otworzyć oczy i patrzeć – być świadomą życia, które się toczy, a nie takiego, jakie chcę, by było. Skoro już wiem, że to portret Gabriela, mogę do niego wrócić. Zacząć od nowa.

Poproszę, żeby mi pozował. Od dawna już tego nie robił. Mam nadzieję, że pomysł mu się spodoba i nie uzna go za świętokradztwo ani nic z tych rzeczy.

Czasami bywa taki zabawny.

18 lipca

Szłam w dół wzgórza na Camden Market. Nie byłam tam od lat, od czasu, gdy pewnego popołudnia poszliśmy tam z Gabrielem szukać jego utraconej młodości. Chadzał tam jako nastolatek, kiedy wraz z przyjaciółmi przez całą noc tańczyli, pili i rozmawiali. Szli na targ wcześnie rano, przyglądali się handlarzom rozstawiającym stragany i próbowali wyrwać trochę trawki od dealerów rastafarian kręcących się w pobliżu Camden Lock. Kiedy poszliśmy tam z Gabrielem, dealerów już nie było – ku jego zdziwieniu.

– Nie poznaję tego miejsca – stwierdził. – To jest wysterylizowana pułapka dla turystów.

I gdy przechadzałam się tu dzisiaj, zastanawiałam się, czy problem nie polegał na tym, że to nie targ się zmienił, tylko Gabriel. Nadal kręcą się tam szesnastolatki chłonące słońce, rozciągnięte po obydwu stronach kanału – chłopcy w szortach z podwiniętymi nogawkami i gołymi klatami, dziewczyny w bikini lub biustonoszach świecące skórą, poparzonym do czerwoności ciałem. Seksualna energia tego miejsca była wręcz namacalna – ich niecierpliwy głód życia. Poczułam nagle, że pożądam Gabriela – jego ciała i silnych nóg, masywnych ud opasających moje. Kiedy uprawiamy seks, zawsze czuję nienasycony głód jego… swoistego zjednoczenia z nim… czegoś większego ode mnie, od nas, wykraczającego poza słowa… czegoś świętego.

Nagle spostrzegłam bezdomnego mężczyznę siedzącego na chodniku i patrzącego na mnie. Spodnie miał przepasane sznurkiem, buty posklejane taśmą. Skórę poznaczoną czerwonymi rankami i wysypkę na twarzy. Poczułam nagle smutek i odrazę. Cuchnął zatęchłym potem i moczem. Przez moment wydawało mi się, że mówi do mnie, ale on tylko klął pod nosem – „pieprzone” to i „pieprzone” tamto. Wyłowiłam drobniaki z torebki i mu dałam.

Potem wróciłam do domu, pod górę, powoli, krok za krokiem. Nachylenie wydawało się teraz bardziej strome. Trwało to całe wieki w tym upale. Z jakiegoś powodu nie mogłam przestać myśleć o tym bezdomnym. Oprócz żalu zarejestrowałam obecność jeszcze jakiegoś innego uczucia, niedającego się nazwać – swego rodzaju strachu. Wyobraziłam go sobie jako dziecko w ramionach matki. Czy spodziewała się, że jej dziecko skończy jako wariat, brudny i śmierdzący, skulony na chodniku i bełkoczący bluźnierstwa?

Pomyślałam o swojej matce. Czy była szalona? To dlatego to zrobiła? Dlaczego przypięła mnie pasami na siedzeniu pasażera swojego żółtego mini i popędziła ku czerwonej ceglanej ścianie? Zawsze lubiłam ten samochód, jego radosną kanarkową żółć. Taką samą mam w zestawie farb. Teraz nienawidzę tego koloru – za każdym razem, kiedy go używam, myślę o śmierci.

Dlaczego to zrobiła? Przypuszczam, że nigdy się tego nie dowiem. Myślałam, że to było samobójstwo. A teraz myślę, że próba zabójstwa. Bo przecież ja też byłam w tym samochodzie, prawda? Czasami wydaje mi się, że to ja miałam być ofiarą – to mnie usiłowała zabić, nie siebie. To obłęd! Dlaczego miałaby chcieć mnie zabić?

Do oczu napłynęły mi łzy, gdy szłam pod górę. Nie płakałam nad matką – ani nad sobą – ani nawet nad tym bezdomnym biedakiem. Płakałam nad nami wszystkimi. Wszędzie jest tyle bólu, a my tylko zamykamy przed nim oczy. Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy przerażeni.

Boimy się siebie nawzajem. Ja boję się siebie – i swojej matki w sobie. Czy mam obłęd we krwi? Czy tak? Czy i ja…

Nie, przestań. Przestań.

Nie będę o tym pisać. Nie.

20 lipca

Poprzedniego wieczoru poszliśmy z Gabrielem na kolację. Zwykle wychodzimy w piątki. „Randkowy wieczór”, mówi z tym swoim głupim amerykańskim akcentem.

Gabriel zawsze bagatelizuje swoje uczucia i wyśmiewa wszystko, co uważa za „ckliwe”. Lubi postrzegać siebie jako mężczyznę cynicznego i niesentymentalnego. Prawda zaś jest taka, że jest głęboko romantyczny – w sercu, jeśli nie w mowie. Czyny mówią więcej niż słowa, prawda? A jego czyny sprawiają, że czuję się absolutnie kochana.

– Dokąd chcesz iść? – spytałam.

– Masz trzy strzały.

– Do Augusto’s?

– Trafiłaś od razu.

Augusto’s to lokalna włoska restauracja przy naszej ulicy. Nic wyjątkowego – niemniej czujemy się tam jak w domu i spędziliśmy tam wiele szczęśliwych wieczorów. Wyszliśmy około dwudziestej. Klimatyzacja nie działała, więc siedzieliśmy przy otwartym oknie w gorącym, nieruchomym, wilgotnym powietrzu i piliśmy schłodzone wytrawne białe wino. Pod koniec wieczoru czułam się już wstawiona. Dużo się śmialiśmy, praktycznie ze wszystkiego. Potem całowaliśmy się przed restauracją, a po powrocie do domu się kochaliśmy.

Na szczęście Gabriel pogodził się z przenośnym wiatrakiem, przynajmniej wtedy, gdy byliśmy w łóżku. Ustawiłam go naprzeciwko nas, leżeliśmy w chłodnym powiewie i się obejmowaliśmy. Pogładził mnie po włosach i pocałował.

– Kocham cię – szepnął.

Nic nie powiedziałam, nie musiałam. Zawsze wie, co czuję.

Zepsułam nastrój, głupio i niezdarnie, pytaniem o to, czy będzie mi pozował.

– Chcę cię namalować – oznajmiłam mu.

– Znowu? Przecież już mnie malowałaś.

– Cztery lata temu. I chcę to zrobić znowu.

– Aha… – Nie tryskał entuzjazmem. – A jaki masz pomysł?

Zawahałam się, a potem powiedziałam, że to ma być obraz Jezusa. Gabriel usiadł prosto i wydał z siebie zduszony śmiech.

– Daj spokój, Alicio.

– No co?

– Sam nie wiem, kochanie. Raczej nie.

– Dlaczego?

– A jak myślisz? Chcesz mnie namalować na krzyżu? Co ludzie na to powiedzą?

– Od kiedy to się tym przejmujesz?

– Najczęściej w ogóle, ale… Tylko że mogą sobie pomyśleć, że tak mnie widzisz.

– Nie uważam, żebyś był Synem Bożym, jeśli to masz na myśli. To tylko obraz, coś, co zadziało się organicznie w czasie, gdy malowałam. Nie myślałam o tym świadomie.

– To może powinnaś.

– Dlaczego? To nie jest żaden komentarz na temat ciebie lub naszego małżeństwa.

– To co w takim razie?

– A skąd mam wiedzieć?

Gabriel zaśmiał się i wywrócił oczami.

– Dobra – rzucił. – Pieprzyć to. Skoro chcesz, możemy spróbować. Przypuszczam, że wiesz, co robisz.

Nie brzmi to zbyt zachęcająco, ale wiem, że Gabriel wierzy we mnie i mój talent. Nigdy nie zostałabym malarką, gdyby nie on. Gdyby mi nie dogryzał, nie zachęcał mnie i nie tyranizował, nie ciągnęłabym tego w czasie tych pierwszych lat po studiach, kiedy malowałam ściany z Jeanem-Felixem. Zanim poznałam Gabriela, zrezygnowałam z kursu –

zatraciłam się. Nie tęsknię za tymi naćpanymi imprezowiczami, którzy uchodzili za moich przyjaciół, gdy byłam po dwudziestce. Widywałam ich wyłącznie nocami. Znikali o świcie niczym wampiry uciekające przed światłem. A gdy poznałam Gabriela, odeszli w nicość, a ja nawet tego nie zauważyłam. Już ich nie potrzebowałam. Nie potrzebowałam nikogo, odkąd miałam jego. Uratował mnie – jak Jezus. I może o tym właśnie opowiada ten obraz. Gabriel jest całym moim światem – i był nim od pierwszego dnia, odkąd się poznaliśmy. Będę go kochała bez względu na to, co zrobi lub co się stanie. Bez względu na to, jak bardzo mnie zdenerwuje. Bez względu na to, jakim jest bezmyślnym, samolubnym bałaganiarzem. Akceptuję go takiego, jaki jest.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

21 lipca

Dzisiaj Gabriel pozował mi w pracowni.

– Nie będę robił tego znowu całymi dniami – przestrzegł. – Ile czasu potrzebujesz?

– Jedna sesja na pewno nie wystarczy, żebym zrobiła to jak należy.

– To jakiś podstęp, żebyśmy spędzali razem więcej czasu? Jeśli tak, to może darowalibyśmy sobie wstęp i od razu wskoczyli do łóżka?

Zaśmiałam się.

– Może potem. Jeśli będziesz grzeczny i nie będziesz się za bardzo wiercił.

Ustawiłam go naprzeciwko wiatraka. Włosy mu powiewały.

– Jak mam wyglądać? – spytał i przyjął jakąś pozę.

– Nie tak. Bądź sobą.

– Nie mam mieć udręczonego wyrazu twarzy?

– Nie jestem pewna, czy Jezus był udręczony. Nie wyobrażam go sobie takim. Nie rób min, po prostu stój. I nie ruszaj się.

– Ty tu rządzisz.

Wytrzymał dwadzieścia minut. Potem zmienił pozycję, twierdząc, że się zmęczył.

– W takim razie usiądź – powiedziałam. – Tylko się nie odzywaj. Pracuję nad twarzą.

Gabriel usiadł na krześle i milczał, a ja pracowałam. Lubiłam malować jego twarz. Jest dobra. Mocna szczęka, wyraziste kości policzkowe, elegancki nos. Kiedy siedział tak w świetle reflektora, wyglądał jak grecki posąg. Jakiś heros.

Coś jednak było nie tak. Nie wiem co – może za bardzo się starałam. Nie mogłam oddać kształtu jego oczu ani ich koloru. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłam uwagę w przypadku Gabriela, był blask jego oczu – jakby miał brylanty zatopione w tęczówkach. Teraz z jakiegoś powodu nie mogłam tego uchwycić. Może brak mi umiejętności, a może w Gabrielu jest coś więcej, co wymyka się farbie. Oczy pozostały martwe, pozbawione życia. Czułam, że się denerwuję.

– Cholera – burknęłam. – Kiepsko mi idzie.

– Pora na przerwę?

– Zgadza się.

– Pokochamy się?

Rozbawił mnie.

– Dobra.

Gabriel zerwał się z miejsca, chwycił mnie i pocałował. Kochaliśmy się w pracowni, na podłodze.

Przez cały czas zerkałam na pozbawione życia oczy z portretu Gabriela. Wpatrywały się we mnie palącym wzrokiem. Musiałam się odwrócić.

Mimo to wciąż czułam na sobie ich spojrzenie.

2

Poszukałem Diomedesa, żeby złożyć mu raport ze spotkania z Alicią. Znalazłem go w jego gabinecie, gdzie przeglądał sterty nut.

– No i – odezwał się, nie podnosząc wzroku. – Jak ci poszło?

– Nie najlepiej.

Diomedes spojrzał na mnie pytająco, a ja zawahałem się.

– Jeżeli mam z nią do czegokolwiek dojść, Alicia musi móc myśleć i czuć.

– Oczywiście. A trapi cię…?

– Trudno trafić do kogoś, kto znajduje się pod tak silnym działaniem leków. Zupełnie jakby przebywała ze dwa metry pod wodą.

Diomedes ściągnął brwi.

– Nie szedłbym tak daleko – odparł. – Nie znam konkretnie dawki…

– Spytałem Yuriego. Szesnaście miligramów risperidonu. Końska dawka.

Diomedes uniósł brwi.

– Rzeczywiście, sporo. Pewnie można by ją zredukować. Zespołem opiekującym się Alicią zarządza Christian. Powinieneś z nim o tym porozmawiać.

– Lepiej będzie, jeśli to wyjdzie od ciebie.

– Hm… – Diomedes popatrzył na mnie z wahaniem. – Znaliście się już wcześniej z Christianem, prawda? Z Broadmoor?

– Słabo.

Diomedes nie od razu odpowiedział. Sięgnął po naczynko z kandyzowanymi migdałami i poczęstował mnie. Pokręciłem głową. Wrzucił migdała do ust, rozgryzł i przyjrzał mi się.

– Powiedz mi – odezwał się wreszcie – czy jesteście do siebie przyjaźnie nastawieni?

– Dziwne pytanie. Dlaczego pytasz?

– Bo wyczuwam wrogość.

– Nie z mojej strony.

– Z jego?

– Musisz go o to zapytać. Nie mam problemu z Christianem.

– Hm. Może coś sobie wyobrażam, niemniej wyczuwam… Miejmy na to oko. Jakakolwiek agresja lub rywalizacja przeszkadza w pracy. Macie ze sobą współpracować, a nie działać przeciwko sobie.

– Jestem tego świadomy.

– Trzeba uwzględnić Christiana w tej dyskusji. Chcesz, żeby Alicia czuła, owszem. Ale pamiętaj, że silniejszym uczuciom towarzyszy większe zagrożenie.

– Dla kogo?

– Dla Alicii, rzecz jasna. – Diomedes pogroził mi palcem. – Nie zapominaj, że miała silne zapędy samobójcze, gdy ją tu skierowano. Podejmowała liczne próby, by zakończyć żywot. Dzięki lekom jest stabilna. Żyje. Jeżeli obniżymy dawkę, istnieje realne niebezpieczeństwo, że uczucia ją przytłoczą i nie będzie umiała sobie z nimi poradzić. Jesteś gotów podjąć takie ryzyko?

Traktowałem słowa Diomedesa bardzo poważnie. Przytaknąłem.

– Wierzę, że musimy podjąć takie ryzyko, profesorze – rzekłem. – W przeciwnym razie nigdy do niej nie dotrzemy.

Diomedes wzruszył ramionami.

– W takim razie porozmawiam z Christianem w twoim imieniu.

– Dziękuję.

– Zobaczymy, jak zareaguje. Psychiatrzy rzadko dobrze przyjmują to, kiedy im się mówi, jak mają leczyć swoich pacjentów. Oczywiście, mogę mu się przeciwstawić, ale raczej tak nie postępuję. Poprowadzę rozmowę subtelnie. I przekażę ci, co powiedział.

– Może lepiej by było, gdybyś nie wspominał o mnie w tej rozmowie.

– Rozumiem – odparł z dziwnym uśmiechem. – Dobrze, nie wspomnę.

Diomedes wyciągnął z biurka małe pudełko, odsunął wieczko i odsłonił rząd cygar. Zaproponował mi jedno. Pokręciłem głową.

– Nie palisz? – Wydawał się zdziwiony. – Wyglądasz mi na palacza.

– Wypalam od czasu do czasu papierosa. Staram się rzucić.

– To dobrze. – Otworzył okno. – Znasz dowcip o tym, dlaczego nie można być terapeutą i palić? Bo to znaczy, że wciąż jesteś popieprzony. – Zaśmiał się i wetknął cygaro w usta. – Uważam, że każdy z nas tutaj jest lekko stuknięty. Widziałeś kiedyś taką tabliczkę, którą wieszano w biurach? Z napisem: „Nie musisz być wariatem, żeby tu pracować, ale to pomaga”.

Znowu się zaśmiał. Przypalił cygaro, zaciągnął się i wydmuchnął dym. Patrzyłem na niego z zazdrością.

3

Po lunchu kręciłem się po korytarzach. Zamierzałem wymknąć się na zewnątrz, żeby zapalić, ale przy wyjściu ewakuacyjnym nakryła mnie Indira. Pomyślała, że się zgubiłem.

– Nie martw się, Theo – powiedziała i wzięła mnie pod ramię. – Dopiero po kilku miesiącach zaczęłam się orientować w tych korytarzach. Kojarzyły mi się z labiryntem bez wyjścia. Nadal się czasem gubię, a pracuję tu już dziesięć lat. – Zaśmiała się. I zanim zdążyłem zaprotestować, już mnie prowadziła na górę na herbatę w „akwarium złotej rybki". – Wstawię wodę. Co za beznadziejna pogoda, prawda? Wolałabym, żeby spadł wreszcie śnieg i byłoby po sprawie… Śnieg jest bardzo potężnym symbolem, nie sądzisz? Wszystko oczyszcza. Zauważyłeś, jak mówią o nim pacjentki? Zwróć na to uwagę. To interesujące.

I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej gruby kawałek ciasta owinięty folią spożywczą. Wcisnęła mi go do ręki.

– Weź to. Ciasto orzechowe. Piekłam je wczoraj wieczorem. Dla ciebie.

– Dziękuję…

– Wiem, że to niestandardowe zachowanie, ale zawsze osiągam lepsze rezultaty z trudnymi pacjentkami, jeżeli podsuwam im ciasto w trakcie sesji.

Zaśmiałem się.

– Nie wątpię. Jestem trudnym pacjentem?

Indira również się zaśmiała.

– Nie, ale działa to też w przypadku trudnych członków personelu… Chociaż też się do nich nie zaliczasz. Odrobina cukru poprawia nastrój. Kiedyś piekłam ciasta na stołówkę, ale potem Stephanie zaczęła marudzić i wygadywać jakieś nonsensy na temat zagrożeń związanych z przynoszeniem jedzenia z zewnątrz. Jakbym

próbowała przemycić jakieś dokumenty. Mimo to nadal piekę co nieco. W ramach buntu przeciwko dyktaturze. Spróbuj.

To nie była sugestia, tylko rozkaz. Wgryzłem się w ciasto. Było smaczne. Miękkie, orzechowe, słodkie. Usta miałem pełne, więc zasłoniłem je dłonią i powiedziałem:

– Coś takiego z pewnością poprawi nastrój pacjentkom.

Indira zaśmiała się i wyglądała na zadowoloną. Zrozumiałem, dlaczego ją lubiłem – emanowała matczynym spokojem. Kojarzyła mi się z moją dawną terapeutką Ruth. Trudno było wyobrazić ją sobie wzburzoną lub zdenerwowaną.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, gdy przyrządzała herbatę. Pokój pielęgniarek na oddziale psychiatrycznym zawsze jest centrum, sercem: pracownicy zaglądają tu raz po raz, to stąd prowadzi się oddział na co dzień; przynajmniej zapadają tu praktyczne decyzje. Pielęgniarki nazwały go „akwarium złotej rybki", bo jego ściany wykonano ze zbrojonego szkła, dzięki czemu personel mógł obserwować pacjentki przebywające w pokoju rekreacyjnym. Przynajmniej w teorii. W praktyce to pacjentki kręciły się niespokojnie na zewnątrz, gapiły się na nas, przyglądały się nam, więc to my znajdowaliśmy się pod ciągłą obserwacją. Było tu ciasno i brakowało krzeseł – te, które się tu znajdowały, zajmowały pielęgniarki piszące raporty. Dlatego najczęściej stało się pośrodku pokoju lub opierało o biurko, przez co zawsze zdawał się tu panować ścisk, bez względu na to, ilu ludzi tu przebywało.

– Proszę, kochany – powiedziała Indira i podała mi kubek z herbatą.

– Dzięki.

Do środka wpadł Christian i pozdrowił mnie skinieniem głowy. Mocno pachniał gumą miętową, którą wiecznie żuł. Pamiętałem, że w Broadmoor dużo palił. To była jedna z nielicznych rzeczy, które nas łączyły. Potem odszedł stamtąd, ożenił się i urodziła mu się córka. Zastanawiałem się, jakim był ojcem. Nie wydawał mi się szczególnie współczujący. Posłał mi zimny uśmiech.

– Zabawne, że się znowu spotykamy, Theo.

– Świat jest mały.

– W branży zdrowia psychicznego, owszem.

Christian powiedział to tak, jakby sugerował, że istnieją inne, rozleglejsze światy, w których można go spotkać. Próbowałem sobie wyobrazić, jak mogłyby wyglądać. Szczerze mówiąc, wyobraźnia podsuwała mi wyłącznie siłownię lub boisko do rugby.

Gapił się na mnie przez kilka sekund. Zapomniałem o tym jego zwyczaju robienia przydługich przerw i zmuszania rozmówcy do czekania na odpowiedź. Tutaj irytowało mnie to tak samo jak w Broadmoor.

– Dołączasz do zespołu w raczej niefortunnym momencie – powiedział w końcu. – Nad The Grove wisi miecz Damoklesa.

– Myślisz, że jest aż tak źle?

– To tylko kwestia czasu. Fundusz zamknie nas wcześniej czy później. Dlatego zastanawiam się, co ty tu robisz.

– Nie rozumiem?

– No cóż, szczury uciekają z tonącego okrętu. A nie pakują się na pokład.

Zdumiała mnie otwarta agresja Christiana. Postanowiłem nie połykać przynęty. Wzruszyłem ramionami.

– Możliwe – odparłem. – Tylko że nie jestem szczurem.

Zanim Christian zdążył zareagować, podskoczyliśmy z powodu silnego łupnięcia. To Elif stała po drugiej stronie szyby i waliła w nią pięściami. Przyciskała twarz do szkła, rozpłaszczała na nim nos, zniekształcając rysy, i wyglądała niemal monstrualnie.

– Nie będę już brała tego gówna! Nienawidzę tego… Tych pieprzonych pigułek!

Christian otworzył małą szybkę i powiedział przez nią:

– To nie jest czas, by o tym rozmawiać, Elif.

– Mówię wam, że już nie będę ich brała. Niedobrze mi się od nich robi.

– Nie będę teraz o tym rozmawiał. Umów się na spotkanie. A teraz proszę, żebyś się odsunęła.

Elif skrzywiła się i chwilę zwlekała. Wreszcie się odwróciła i odeszła chwiejnym krokiem, zostawiając na szybie słaby ślad pary w miejscu, gdzie przyciskała do niej nos.

– Niezły charakter – zauważyłem.

Christian chrząknął.

– Trudny.

Indira przytaknęła.

– Biedna Elif.

– Za co tu jest?

– Podwójne zabójstwo – poinformował mnie Christian. – Zabiła matkę i siostrę. Udusiła je we śnie.

Spojrzałem za szybę. Elif dołączyła do reszty pacjentek. Górowała nad nimi. Jedna z nich wsunęła jej do ręki pieniądze, które schowała do kieszeni.

Wtedy zauważyłem Alicię w głębi pomieszczenia. Siedziała sama przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Przyglądałem się jej przez chwilę. Christian podążył za moim spojrzeniem.

– Tak przy okazji – odezwał się – rozmawiałem z profesorem Diomedesem na temat Alicii. Chciałbym sprawdzić, jak sobie radzi na niższej dawce risperidonu. Obniżyłem ją do pięciu miligramów.

– Rozumiem.

– Pomyślałem, że możesz chcieć o tym wiedzieć, bo słyszałem, że prowadzisz jej terapię.

– Tak.

– Będziemy musieli ją uważnie obserwować, żeby wiedzieć, jak zareaguje na zmianę. A tak na marginesie, jeśli jeszcze kiedyś będziesz miał problem z tym, jak leczę pacjentki, przyjdź z tym bezpośrednio do mnie. Nie chodź potajemnie do Diomedesa za moimi plecami. – Patrzył na mnie gniewnie, kiedy to mówił.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Nigdzie nie chodziłem potajemnie. Nie mam problemu z rozmową z tobą, Christianie.

Zapadło niezręczne milczenie. Christian kiwnął głową do siebie, jakby właśnie podjął jakąś decyzję.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że Alicia jest pacjentką pograniczną? Nie zareaguje na terapię. Tylko marnujesz czas.

– Skąd wiesz, że jest pacjentką z pogranicza, skoro nie mówi?

– Nie chce.

– Myślisz, że udaje?

– W rzeczy samej.

– Jeśli udaje, to jak może być pograniczna?

Christian wyglądał na zirytowanego. Indira przerwała nam, zanim zdążył odpowiedzieć.

– Z całym szacunkiem, ale nie sądzę, żeby takie szerokie kategorie jak „pacjent pograniczny” były jakoś szczególnie pomocne. Przecież nie podsuwają nam tak naprawdę nic przydatnego. – Zerknęła na Christiana. – Często się z Christianem nie zgadzamy w tym temacie.

– A jakie jest twoje zdanie o Alicii? – spytałem.

Indira zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Budzi we mnie bardzo matczyne uczucia. To jest moje przeciwprzeniesienie, ona to we mnie wzbudza. Czuję, że potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował. – Indira uśmiechnęła się do mnie. – I teraz kogoś takiego ma. Ciebie.

Christian zaśmiał się tym swoim wkurzającym śmiechem.

– Wybaczcie mi moją tępotę, ale jak niby Alicia miałaby skorzystać na terapii, skoro nie mówi?

– Terapia to nie tylko słowa – zauważyła Indira. – Polega na stworzeniu bezpiecznej przystani, sprzyjającego środowiska. Większa część komunikacji odbywa się na poziomie niewerbalnym, o czym zapewne wiesz.

Christian wywrócił oczami w moją stronę.

– Powodzenia, stary – rzucił. – Przyda ci się.

4

– Witaj, Alicio.

Minęło zaledwie kilka dni od zmniejszenia dawki leków, ale zmiana w zachowaniu Alicii była ewidentna. Poruszała się płynniej. Oczy jej pojaśniały. Zniknęła gdzieś otulająca ją mgiełka. Wydawała się inną osobą.

Stała w drzwiach z Yurim. Przyglądała mi się, jakby widziała mnie po raz pierwszy, obserwowała mnie, oceniała. Zastanawiałem się, do jakiego wniosku dochodziła. Uznała najwyraźniej, że jest bezpieczna, i weszła do pokoju. Usiadła bez zaproszenia.

Dałem Yuriemu znak, by się wycofał. Dyskutował jeszcze przez moment, a potem zamknął za sobą drzwi.

Usiadłem naprzeciwko Alicii. Przez chwilę milczeliśmy. Słychać było jedynie niespokojny deszcz na zewnątrz, krople bębniące o szybę. Wreszcie się odezwałem.

– Jak się czujesz? – spytałem.

Żadnej reakcji. Alicja patrzyła na mnie. Oczami jak lampy, bez mrugania.

Otworzyłem usta i zamknąłem je. Postanowiłem oprzeć się pokusie wypełnienia pustki mową. Zamiast tego chciałem milczeć i siedzieć tak, w nadziei że zakomunikuję coś innego, coś natury niewerbalnej: że możemy tak siedzieć, że nie zrobię jej krzywdy, że może mi zaufać. Jeżeli miałem odnieść sukces w nakłonieniu Alicii do mówienia, musiałem zdobyć jej zaufanie. A na to potrzeba czasu – niczego nie da się osiągnąć z dnia na dzień. Proces będzie się posuwał do przodu powoli, jak lodowiec, niemniej będzie postępował.

Kiedy tak siedzieliśmy w milczeniu, poczułem pulsowanie w skroniach. Początek bólu głowy. Wymowny symptom. Pomyślałem o Ruth, która mawiała: „Jeśli chcesz być dobrym terapeutą, musisz się otworzyć na uczucia swoich pacjentów, ale nie możesz ich zatrzymywać. Nie są twoje. Nie należą do ciebie”.

Innymi słowy, to łup, łup, łup w głowie nie było moim bólem, należało do Alicii. I ta nagła fala smutku – pragnienie, by umrzeć, też nie należało do mnie. Było jej, wyłącznie jej. Siedziałem tam i czułem z nią, jak dudni mi w głowie, jak żołądek podchodzi mi do gardła, i wydawało się to trwać godzinami. I w końcu pięćdziesiąt minut minęło. Spojrzałem na zegarek.

– Musimy już kończyć – powiedziałem.

Alicia opuściła głowę i patrzyła na swoje kolana. Zawahałem się. Straciłem panowanie nad swoim dystansem. Ściszyłem głos i powiedziałem od serca:

– Chcę ci pomóc, Alicio. Musisz mi uwierzyć. Chcę ci naprawdę pomóc wszystko jasno widzieć.

W tym momencie Alicia podniosła wzrok. Patrzyła na mnie – przeze mnie.

Nie możesz mi pomóc, krzyczały jej oczy. Spójrz na siebie, ledwie pomagasz sobie. Udajesz, że tyle wiesz i jesteś taki mądry, ale to ty tu powinieneś siedzieć zamiast mnie. Świr. Oszust. Kłamca. Kłamca…

Kiedy tak na mnie patrzyła, uświadomiłem sobie, co mnie trapiło przez całą sesję. Trudno to ubrać w słowa, ale psychoterapeuta szybko się uczy rozpoznawać cierpienie psychiczne w fizycznym zachowaniu, mowie i błysku w oczach – nawiedzonym, przerażonym, szalonym. A mnie zastanawiało to, że pomimo tylu lat przyjmowania leków, tego wszystkiego, co zrobiła i znosiła, błękitne oczy Alicii pozostały przejrzyste i jasne jak letni dzień. Ona nie była szalona. Zatem czym była? Czym był ten wyraz jej oczu? Jak brzmiało właściwe słowo? To był…

Zanim zdążyłem dokończyć myśl, Alicia zerwała się z fotela. Rzuciła się w moją stronę, wyciągając palce jak szpony. Nie miałem czasu wykonać jakiegokolwiek ruchu lub uciec. Wylądowała na mnie, przewróciła mnie i oboje upadliśmy na podłogę.

Z głośnym łupnięciem uderzyłem tyłem głowy w ścianę. Zaczęła mnie drapać, policzkować, szarpać; potrzebowałem całej siły, żeby zrzucić ją z siebie.

Na czworakach dotarłem do stolika i sięgnąłem po alarm. W chwili gdy poczułem go w palcach, Alicia doskoczyła do mnie

i wytrąciła mi urządzenie z ręki.

– Alicio…

Jej palce mocno oplatały moją szyję, dusząc mnie. Próbowałem chwycić alarm, ale nie mogłem go dosięgnąć. Zacisnęła dłonie jeszcze mocniej – nie mogłem oddychać. Rzuciłem się raz jeszcze i tym razem udało mi się złapać urządzenie; wcisnąłem przycisk.

Wycie natychmiast wypełniło mi uszy, ogłuszyło mnie. Dotarł do mnie z oddali odgłos otwieranych drzwi i krzyk Yuriego wzywającego wsparcie. Ściągnięto ze mnie Alicię, która zwolniła uścisk, a ja chwytałem powietrze.

Do obezwładnienia Alicii trzeba było czterech osób. Wiła się, kopała i walczyła jak opętane stworzenie. Przypominała raczej zwierzę, a nie człowieka; coś potwornego. Pojawił się Christian i podał jej środek uspokajający. Straciła przytomność.

Wreszcie zrobiło się cicho.

5

– Trochę zapiecze.

Yuri opatrywał moje krwawiące zadrapania w akwarium. Otworzył flakonik ze środkiem antyseptycznym i nasączył nim wacik. Zapach lekarstwa przeniósł mnie do gabinetu pielęgniarki w szkole, obudził wspomnienia skaleczeń powstałych w czasie walki na boisku, startych kolan i łokci. Pamiętam ciepłe, miłe uczucia towarzyszące temu, jak zajmowała się mną pielęgniarka, bandażowała mnie i dawała mi w nagrodę cukierka za to, że byłem taki dzielny. Wtem pieczenie antyseptyku na skórze przywróciło mnie gwałtownie do teraźniejszości i obrażeń, których nie da się tak łatwo wyleczyć. Skrzywiłem się.

– Mam wrażenie, że waliła mnie po głowie młotkiem.

– Zrobił ci się paskudny siniak. Jutro będziesz miał guza. Trzeba cię obserwować. – Yuri pokręcił głową. – Nie powinienem był zostawiać cię z nią sam na sam.

– Nie dałem ci wyboru.

Chrząknął.

– To prawda.

– Dzięki, że nie powiedziałeś: „A nie mówiłem”. Doceniam to.

Yuri wzruszył ramionami.

– Nie muszę. Profesor zrobi to za mnie. Chce cię widzieć w swoim gabinecie.

– Ach.

– Cieszę się, że nie mnie, zważywszy na to, jak wyglądał.

Zacząłem się podnosić. Yuri obserwował mnie uważnie.

– Nie spiesz się. Daj sobie chwilę. Poinformuj mnie, gdybyś poczuł zawroty albo ból głowy.

– Nic mi nie jest. Serio.

Nie do końca było to prawdą, ale nie czułem się tak źle, jak wyglądałem. Krwawe zadrapania i czarne siniaki na gardle po

duszącym uścisku – wbijała palce w ciało tak głęboko, że te miejsca nabiegły krwią.

Zapukałem do drzwi gabinetu profesora. Diomedes otworzył szeroko oczy na mój widok. Zacmokał.

– No, no, no. Potrzebne były szwy?

– Oczywiście, że nie. Nic mi nie jest.

Diomedes popatrzył na mnie z powątpiewaniem i zaprosił do środka.

– Wejdź, Theo. Usiądź.

Inni już tam byli. Christian i Stephanie stali. Indira siedziała w pobliżu okna. Wyglądało to dość formalnie i zastanawiałem się, czy zostanę zwolniony.

Diomedes usiadł za biurkiem. Wskazał mi jedyne wolne krzesło. Usiadłem. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, bębnił palcami o blat i zastanawiał się, co powiedzieć albo jak to sformułować. Zanim zdążył podjąć decyzję, ubiegła go Stephanie.

– Co za niefortunny incydent – odezwała się. – Wyjątkowo niefortunny. – Odwróciła się w moją stronę. – Naturalnie cieszymy się wszyscy, że jesteś w jednym kawałku, ale to nie zmienia faktu, że mamy wiele pytań. Pierwsze: co robiłeś sam z Alicią?

– To moja wina – odparłem. – Poprosiłem Yuriego, żeby wyszedł. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

– Na jakiej podstawie podjąłeś taką decyzję? Gdyby któreś z was poważnie ucierpiało…

– Nie dramatyzujmy, proszę – przerwał jej Diomedes. – Na szczęście nikomu nic się nie stało. – Machnął lekceważąco dłonią w moim kierunku. – Kilka zadrapań to nie powód, by stawiać kogoś przed sądem.

Stephanie ściągnęła usta.

– Nie wydaje mi się, żeby żarty były tu na miejscu, profesorze. Naprawdę.

– A kto tu żartuje? – odparował Diomedes i popatrzył na mnie. – Jestem śmiertelnie poważny. Theo, powiedz nam, co się wydarzyło.

Poczułem na sobie ich spojrzenia. Mówiłem do Diomedesa. Uważnie dobierałem słowa.

– Zaatakowała mnie. Oto, co się stało.

– To oczywiste. Ale dlaczego? Zakładam, że jej nie sprowokowałeś?

– Przynajmniej nie świadomie.

– A nieświadomie?

– Alicia ewidentnie zareagowała na mnie na jakimś poziomie. Według mnie to pokazuje, jak bardzo chce się z nami skomunikować.

Christian wybuchnął śmiechem.

– Nazywasz to komunikacją?

– Owszem. Złość to bardzo potężny komunikat. Inne pacjentki, te zombi, które tylko siedzą takie nieobecne, puste, poddały się. Alicia nie. Jej napaść mówi nam coś, czego nie może wyrazić wprost, na temat bólu, rozpaczy, cierpienia. Powiedziała mi, żebym z niej nie rezygnował. Jeszcze nie.

Christian wywrócił oczami.

– Mniej poetycka interpretacja sprowadza się do tego, że jest na mniejszej dawce leków i postradała zmysły. Mówiłem, że tak się stanie, profesorze – zwrócił się do Diomedesa. – Ostrzegałem, żeby nie zmniejszać dawki.

– Doprawdy, Christianie? – odezwałem się. – Wydawało mi się, że to był twój pomysł.

Christian zbył mnie ponownym wywróceniem oczami. Był na wskroś psychiatrą, pomyślałem. Psychiatrzy podchodzą dość nieufnie do myślenia psychodynamicznego. Faworyzują bardziej biologiczne, chemiczne, a nade wszystko praktyczne podejście – w postaci kieliszka pigułek, które Alicia dostawała przy każdym posiłku. Nieprzyjazne spojrzenie przymkniętych oczu Christiana mówiło mi, że nie mogę nic wnieść.

Diomedes jednakże przyglądał mi się z większym namysłem.

– To, co się wydarzyło, nie zniechęca cię, Theo? – spytał.

Pokręciłem głową.

– Wręcz przeciwnie. Zachęciło mnie.

Profesor przytaknął. Wyglądał na zadowolonego.

– Dobrze. Zgadzam się, że warto się przyjrzeć tak intensywnej reakcji na ciebie. Uważam, że powinieneś kontynuować.

Słysząc te słowa, Stephanie nie potrafiła się dłużej powstrzymywać.

– To nie wchodzi w grę.

Diomedes mówił dalej, jakby Stephanie się nie odezwała. Wciąż patrzył na mnie.

– Myślisz, że nakłonisz ją do mówienia?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ktoś za mną rzekł:

– Uważam, że może mu się udać.

To była Indira. Prawie zapomniałem o jej obecności. Odwróciłem się.

– W pewnym sensie – ciągnęła – Alicia jakby już zaczęła mówić. Komunikuje się przez Theo. On jest jej adwokatem. To się już zaczęło dziać.

Diomedes przytaknął. Na moment oddał się zadumie. Wiedziałem, co mu chodziło po głowie – Alicia Berenson była sławną pacjentką, potężnym narzędziem w targach z Funduszem. Gdyby udało nam się poczynić wyraźne postępy w jej przypadku, mielibyśmy znacznie większe szanse na uchronienie The Grove przed zamknięciem.

– Kiedy można się spodziewać rezultatów? – spytał.

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – rzekłem. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Potrzeba na to czasu. Sześć miesięcy. Rok. Być może więcej, nawet kilka lat.

– Masz sześć tygodni.

Stephanie wyprostowała się i splotła ręce na piersiach.

– Jestem kierowniczką tej placówki i po prostu nie mogę pozwolić…

– To ja decyduję o kwestiach klinicznych – przerwał jej Diomedes. – Decyzja należy do mnie, nie do ciebie. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za obrażenia doznane przez naszego cierpiącego terapeutę. – Przy tych słowach puścił do mnie oko.

Stephanie już się nie odezwała. Posłała gniewne spojrzenie Diomedesowi, potem mnie. Odwróciła się i wyszła.

– O rety – powiedział Diomedes. – Chyba zrobiłeś sobie ze Stephanie wroga. Co za pech. – Uśmiechnęli się do siebie z Indirą, po czym popatrzył na mnie poważnie. – Sześć tygodni. Pod moim nadzorem. Zrozumiano?

Zgodziłem się, rzecz jasna – nie miałem wyboru.

– Sześć tygodni – powtórzyłem.

– Dobrze.

Christian wstał, wyraźnie zirytowany.

– Alicia nie odezwie się ani za sześć tygodni, ani za sześćdziesiąt lat – oznajmił. – Tylko tracicie czas.

I wyszedł. A ja zastanawiałem się, dlaczego był taki pewien mojej porażki.

To jednak tylko nasiliło moje pragnienie odniesienia sukcesu.

6

Wróciłem do domu wykończony. Siłą zwyczaju chciałem zapalić światło w przedpokoju, mimo że żarówka się przepaliła. Mieliśmy ją wymienić, ale ciągle zapominaliśmy.

Od razu się zorientowałem, że Kathy nie ma. Było zbyt cicho, a ona nie potrafiła siedzieć w ciszy. Nie była hałaśliwa, ale jej świat obfitował w dźwięki – rozmowy telefoniczne, recytowanie tekstu, oglądanie filmów, śpiewanie, nucenie, słuchanie muzyki zespołów, o których nigdy nie słyszałem. A teraz w mieszkaniu panowała grobowa cisza. Zawołałem jej imię. Znowu siłą zwyczaju – a może powodowany poczuciem winy, chciałem się upewnić, że jestem sam, zanim dopuściłem się transgresji.

– Kathy?

Zero odpowiedzi.

Po omacku doszedłem do ciemnego salonu. Włączyłem światło. Pokój zaatakował mnie w sposób, w jaki nowe meble zawsze to robią do czasu, gdy się do nich przyzwyczaisz: nowe fotele, poduszki, kolory, czerwienie i żółcie w miejsce czerni i bieli. Na stole stał wazon z różowymi liliami – ulubionymi kwiatami Kathy. Ich ciężki zapach sprawiał, że trudno się oddychało zgęstniałym od niego powietrzem.

Która to była godzina? Dwudziesta trzydzieści. Gdzie ona się podziewała? Na próbie? Grała w nowej inscenizacji *Otella* w RSC i nie szło im to najlepiej. Niemające końca próby wyciskały na niej piętno. Wyglądała na wyraźnie zmęczoną, była blada i chudsza niż zwykle, zmagała się z przeziębieniem. „Ciągle mi jest niedobrze”, powiedziała. „Jestem wyczerpana”.

I było to prawdą, wracała z prób coraz później i wyglądała okropnie: ziewała i potykając się, szła prosto do łóżka. Pewnie wróci więc do domu dopiero za kilka godzin. Postanowiłem zaryzykować.

Wyciągnąłem z kryjówki trawkę i zacząłem zwijać skręta.

Paliłem marihuanę od czasów studiów. Spróbowałem w trakcie pierwszego semestru, samotny i bez kumpli na imprezie studentów pierwszego roku, zbyt sparaliżowany strachem, by zagaić rozmowę z kimś z atrakcyjnych ludzi wokół mnie. Właśnie zamierzałem dać nogę, gdy stojąca obok mnie dziewczyna coś mi podsunęła. Myślałem, że to papieros; do czasu gdy poczułem ostrą woń czarnego wijącego się dymu. Zbyt nieśmiały, żeby odmówić, wziąłem jointa i przysunąłem do ust. Był kiepsko skręcony i nienabity, rozwijał się przy końcu, mokrym i usmarowanym czerwoną szminką dziewczyny. Smakował inaczej niż tytoń. Miał bogatszy, ostrzejszy, bardziej egzotyczny aromat. Połknąłem gęsty dym i próbowałem nie kasłać. W pierwszej chwil poczułem się tak, jakbym lewitował. Najwyraźniej, wokół marihuany, jak i wokół seksu, robiono więcej szumu, niż było warto. I nagle – mniej więcej po minucie – coś się wydarzyło. Coś niesamowitego. Wydawało mi się, że wchłonęła mnie ogromna fala dobrego samopoczucia. Poczułem się bezpieczny, rozluźniony, całkowicie swobodny, wesołkowaty i nieskrępowany.

I sprawa była przesądzona. Wkrótce potem paliłem trawkę codziennie. Została moją najlepszą przyjaciółką, inspiracją, pocieszeniem. To był niemający końca rytuał zwijania, lizania, przypalania. Czułem się naćpany na sam dźwięk szelestu bibułek i oczekiwania na ciepły odurzający odlot.

Wysnuwano przeróżne teorie na temat źródeł uzależnienia. Mogą być genetyczne, chemiczne, psychologiczne. Marihuana jednakże nie tylko dawała mi ukojenie. Ona zmieniała sposób, w jaki doświadczałem swoich emocji, brała mnie w objęcia, tuliła i zapewniała mi bezpieczeństwo jak kochanemu dziecku.

Innymi słowy, „kontenerowała mnie”.

Określenie „kontenerowania” dla opisania zdolności matki do panowania nad cierpieniem jej dziecka wprowadził do psychoanalizy W.R. Bion. Pamiętajmy, że niemowlęctwo nie jest czasem błogości, tylko przerażenia. Jako małe dzieci jesteśmy uwięzieni w dziwnym obcym świecie, nie widzimy wyraźnie, nasze ciała bezustannie coś zaskakuje – głód, wiatr, praca jelit – przytłaczają nas uczucia. Jesteśmy dosłownie atakowani.

Potrzebujemy, żeby matka osłabiała nasze cierpienie i nadawała sens doznaniom. A kiedy to robi, powoli uczymy się, jak kierować własnymi fizycznymi i emocjonalnymi stanami. Jednak nasza umiejętność „kontenerowania" zależy bezpośrednio od zdolności matki do „pomieszczenia nas w sobie" – jeżeli nigdy nie zaznała czegoś takiego w relacji z własną matką, to jak miałaby nas nauczyć czegoś, czego nie potrafi? Kogoś, kto nie nauczył się „mieścić siebie", do końca życia nękają uczucia lęku. Bion nazwał je trafnie „bezimienną trwogą". Osoba taka nieustannie szuka „kontenera" dla swoich emocji poza sobą – musi się napić albo wypalić skręta, żeby „złagodzić" wieczny lęk. Dlatego uzależniłem się od marihuany.

Dużo o niej mówiłem w czasie swojej terapii. Zmagałem się z pomysłem, by rzucić, i zastanawiałem się, dlaczego ta perspektywa tak bardzo mnie przerażała. Ruth powiedziała, że przymus i ograniczenia nigdy nie prowadzą do niczego dobrego i że zamiast zmuszać się do życia bez trawki, lepiej zrobię, jeśli uznam fakt, że jestem od niej teraz zależny i nie chcę, lub nie mogę, z niej zrezygnować. To, jak marihuana na mnie oddziaływała, nadal się sprawdzało, przekonywała Ruth, i będzie tak do dnia, gdy przestanie być użyteczna i pewnie odejdę od niej z łatwością.

Ruth miała rację. Kiedy poznałem Kathy i się zakochałem, marihuana odeszła w cień. Miłość dawała mi kopa i nie potrzebowałem w sztuczny sposób poprawiać sobie nastroju. Pomogło mi również to, że Kathy nie paliła. Ćpuny były jej zdaniem leniami o słabej woli i żyły w zwolnionym tempie – jednego dnia ich uszczypnąłeś, a po sześciu dniach krzyczeli „aua". Przestałem palić w dniu, w którym Kathy wprowadziła się do mojego mieszkania. I – jak przewidziała Ruth – gdy poczułem się bezpieczny i szczęśliwy, nałóg opuścił mnie naturalnie, odpadł ode mnie niczym suche błoto od buta.

I być może nie zapaliłbym już nigdy więcej, gdyby nie impreza pożegnalna dla przyjaciółki Kathy, Nicole, która wracała do Nowego Jorku. Zaprzyjaźnieni aktorzy zmonopolizowali Kathy i zostałem sam. Niski przysadzisty człowieczek w neonowych różowych okularach zaczepił mnie i spytał, czy zapalę. Podsunął mi skręta. Zamierzałem odmówić, ale coś mnie powstrzymało. Nie jestem

pewien co. Jakiś kaprys? A może nieświadomy atak na Kathy za to, że zmusiła mnie do przyjścia na tę okropną imprezę, a potem mnie porzuciła? Pieprzyć to, pomyślałem. Rozejrzałem się i kiedy nigdzie jej nie zobaczyłem, przystawiłem jointa do ust i zaciągnąłem się.

I tak po prostu wróciłem do punktu wyjścia – zupełnie jakby przerwy nie było. Uzależnienie czekało na mnie cierpliwie przez cały ten czas, jak wierny pies. Nie powiedziałem Kathy, co zrobiłem, i wyparłem to z myśli. Wręcz czekałem na sposobność – i po upływie sześciu tygodni nadarzyła się. Kathy poleciała na tydzień do Nowego Jorku, żeby odwiedzić Nicole. Pozbawiony jej oddziaływania, samotny i znudzony, uległem pokusie. Nie miałem już swojego dealera, więc zrobiłem to, co robiłem jako student – udałem się na Camden Market.

Gdy wyszedłem ze stacji metra, poczułem w powietrzu woń marihuany zmieszaną z zapachem kadzideł i smażonej cebuli. Ruszyłem w stronę mostu przy Camden Lock. Stanąłem tam, zakłopotany, popychany i szturchany przez strumień turystów i nastolatków wchodzących na most i schodzących z niego.

Obserwowałem tłum. Nie było nawet śladu po dealerach, którzy niegdyś stali szeregiem wzdłuż balustrady i nawoływali klientów, kiedy się ich mijało. Zauważyłem parę policjantów – nie sposób ich nie dostrzec, kiedy patrolują ulice w jaskrawożółtych kamizelkach. Oddalili się od mostu i szli w stronę stacji metra. I wtedy usłyszałem cichy głos:

– Szukasz trawki, kolego?

Spojrzałem w dół i zobaczyłem niskiego mężczyznę. W pierwszej chwili pomyślałem, że to dziecko, taki był drobny i szczupły. Jego twarz kojarzyła się jednak z mapą drogową surowego terenu, cała poznaczona zmarszczkami – wyglądał jak przedwcześnie postarzały chłopiec. Brakowało mu dwóch przednich zębów, przez co mówił, lekko poświstując.

– Trawka? – powtórzył.

Przytaknąłem.

Skinął głową, żebym poszedł za nim. Wśliznął się pomiędzy tłum i skręcił za rogiem w boczną uliczkę. Wszedł do starego pubu.

Szedłem za nim. Lokal był pusty, brudny i zniszczony, cuchnęło w nim wymiocinami i zatęchłym dymem tytoniowym.

– Piwo Gissa – rzucił, stanąwszy przy barze.

Ledwie go było znad niego widać. Niechętnie kupiłem mu kufel. Przeniósł go do stolika w rogu. Usiadłem naprzeciwko niego. Rozejrzał się ukradkiem, sięgnął pod stół i podał mi małą paczuszkę owiniętą celofanem. Dałem mu gotówkę.

Poszedłem do domu i otworzyłem zawiniątko – spodziewałem się, że zostałem okantowany – ale do moich nozdrzy dotarł dobrze mi znany zapach trawki. Zobaczyłem zielone pączki nakrapiane złotem. Serce mi waliło, jakbym spotkał dawno utraconego przyjaciela. I pewnie tak było.

Od tej pory upalałem się od czasu do czasu, gdy tylko przebywałem w domu sam przez kilka godzin i kiedy byłem pewien, że Kathy nie przyjdzie szybko.

Także owego wieczoru, gdy wróciłem zmęczony i sfrustrowany i stwierdziłem, że Kathy jest na próbie, szybko zwinąłem skręta. Wypaliłem go przy oknie w łazience. Wypaliłem jednak za dużo i za szybko – odlot był mocny, jak cios pomiędzy oczy. Nawaliłem się tak ostro, aż ciężko mi się chodziło – czułem się, jakbym brodził w błocie. Wykonałem swój rytuał oczyszczania – użyłem odświeżacza powietrza, umyłem zęby, wziąłem prysznic – i ostrożnie udałem się do salonu. Usiadłem ciężko na kanapie.

Szukałem pilota do telewizora, ale nigdzie go nie widziałem. W końcu go dostrzegłem – leżał na stoliku kawowym, za otwartym laptopem Kathy. Sięgnąłem po niego, ale byłem tak najarany, że przy okazji zrzuciłem laptop. Postawiłem go na miejscu i jego ekran ożył. Kathy zostawiła otwartą pocztę. Z jakiegoś powodu gapiłem się na tę stronę. Skamieniałem. Jej poczta wciągała mnie jak wielka dziura. Nie mogłem odwrócić wzroku. Przez głowę przeleciało mi wiele pomysłów, zanim zorientowałem się, co czytam: słowa w rodzaju „seksowna” i „pieprzyć się” w tytułach mejli oraz liczne wiadomości, których nadawcą był „BADBOY22”.

Gdybym na tym poprzestał. Gdybym wstał i odszedł. Nie zrobiłem tego.

Kliknąłem na najnowszą wiadomość i otworzyłem ją:

Subject: RE: małe pieprzonko
From: Katerama_1
To: BADBOY22

Jadę autobusem. Ale jestem na Ciebie napalona. Czuję na sobie Twój zapach. Czuję się jak dziwka. Kxx

Wysłano z: my iPhone

Subject: RE: re: małe pieprzonko
From: BADBOY22
To: Katerama_1

Bo jesteś dziwką! Uwielbiam Cię. To nara? Po próbie?

Subject: RE: re: re: małe pieprzonko
From: BADBOY22
To: Katerama_1

OK. Zorientuję się, kiedy uda mi się wyrwać. Napiszę.

Subject: RE: re: re: re: małe pieprzonko
From: Katerama_1
To: BADBOY22

OK. 20.30? 21? xx

Wysłano z: my iPhone

Ściągnąłem laptopa ze stolika. Postawiłem go sobie na kolanach i gapiłem się na niego. Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Dziesięć minut? Dwadzieścia? Pół godziny? Może dłużej. Czas zdawał się wlec.

Próbowałem przetworzyć to, co widziałem – nadal jednak byłem zbyt nawalony i nie miałem pewności, co widziałem. To było naprawdę? A może to jakieś nieporozumienie – jakiś dowcip, którego nie rozumiałem, bo miałem aż taki odlot?

Zmusiłem się, by przeczytać kolejną wiadomość.

I następną.

W rezultacie przejrzałem całą korespondencją Kathy z BADBOY22. Część mejli była erotyczna, wręcz obsceniczna. Inne były dłuższe, bardziej osobiste, emocjonalne i jakby pisane pod wpływem alkoholu – być może późno w nocy, kiedy ja już spałem. Wyobrażałem sobie siebie śpiącego w sypialni, podczas gdy Kathy pisała intymne wiadomości do tego obcego człowieka. Tego nieznajomego, z którym się pieprzyła.

Czas gwałtownie przyspieszył. Nagle nie byłem już nawalony. Byłem potwornie, dotkliwie trzeźwy.

Czułem w żołądku przejmujący ból – odrzuciłem laptopa. Pobiegłem do łazienki.

Upadłem na kolana przed sedesem i zwymiotowałem.

7

– Mam wrażenie, że jest inaczej niż poprzednio – powiedziałem.

Żadnej reakcji.

Alicia siedziała w fotelu naprzeciwko mnie. Delikatnie skręciła głowę w stronę okna. Siedziała nieruchomo, z kręgosłupem sztywnym i wyprostowanym. Wyglądała jak wiolonczelistka. Albo żołnierz.

– Zastanawiałem się nad tym, jak zakończyła się nasza poprzednia sesja. Kiedy mnie fizycznie zaatakowałaś i trzeba było cię obezwładnić.

Zero odpowiedzi. Zawahałem się.

– Zastanawiam się, czy to był jakiś test? Chciałaś sprawdzić, ile jestem wart? Powinnaś wiedzieć, że nie jest łatwo mnie zastraszyć. Poradzę sobie ze wszystkim, cokolwiek mi zaserwujesz.

Alicia wyglądała przez okno na szare niebo za kratkami. Odczekałem chwilę i ciągnąłem:

– Muszę ci coś powiedzieć, Alicio. Jestem po twojej stronie. Mam nadzieję, że pewnego dnia w to uwierzysz. Oczywiście na nabranie zaufania potrzeba czasu. Moja dawna terapeutka powtarzała, że intymność wymaga wielokrotnego doświadczania, że druga strona na ciebie reaguje, a to się nie dzieje z dnia na dzień.

Alicia wpatrywała się we mnie. Nie mrugała, a jej spojrzenie pozostawało nieodgadnione. Mijały minuty. Bardziej przypominało to próbę wytrzymałości, a nie sesję terapeutyczną.

Wydawało się, że nie robię postępów w żadnym kierunku. Może sytuacja była beznadziejna. Christian miał rację, że szczury uciekają z tonącego okrętu. Dlaczego u diabła pchałem się na pokład tego wraku i przywiązywałem do masztu, by zatonąć razem z nim?

Odpowiedź, naturalnie, siedziała przede mną. Jak ujął to Diomedes, Alicia była milczącą syreną wabiącą mnie ku zagładzie.

Poczułem się nagle zrozpaczony. Chciałem krzyczeć: „Powiedz coś! Cokolwiek! Odezwij się!”.

Nie zrobiłem tego. Natomiast złamałem terapeutyczną tradycję. Przestałem powoli zmierzać do celu i od razu przeszedłem do rzeczy.

– Chciałbym porozmawiać o twoim milczeniu. O jego znaczeniu… Jak je czujesz? A zwłaszcza, dlaczego przestałaś mówić?

Alicia na mnie nie patrzyła. Czy mnie chociaż słuchała?

– Gdy tu z tobą tak siedzę, ciągle wraca do mnie pewien obraz. Przedstawia kogoś, kto zagryza pięść, powstrzymuje się od krzyku, połyka go. Pamiętam, że kiedy zacząłem terapię, trudno mi było płakać. Bałem się, że dam się ponieść fali, że mnie zaleje. Być może czujesz coś podobnego. Dlatego tak ważne jest, abyś się nie spieszyła i poczuła bezpiecznie, zaufała, że w czasie tej powodzi nie będziesz sama, że brnę przez tę wodę razem z tobą.

Cisza.

– Uważam siebie za terapeutę relacyjnego – powiedziałem. – Wiesz, co to znaczy?

Cisza.

– Znaczy to, że według mnie Freud mylił się w kilku kwestiach. Nie wierzę, by terapeuta mógł być kiedykolwiek pustą tablicą, jak chciał. Wbrew naszym intencjom przemycamy przeróżne informacje na swój temat – za pośrednictwem koloru skarpetek, tego, jak siedzimy, mówimy. Sam fakt, że tu z tobą siedzę, wiele o mnie mówi. Pomimo moich starań, by być niewidzialnym, pokazuję ci, kim jestem.

Alicia podniosła wzrok. Wpatrywała się we mnie, lekko wysunęła podbródek – rzucała mi wyzwanie? Przynajmniej przyciągnąłem jej uwagę. Poprawiłem się w fotelu.

– Chodzi o to, co możemy z tym zrobić. Możemy to zignorować, zaprzeczyć temu i udawać, że ta terapia dotyczy wyłącznie ciebie. Albo możemy uznać, że działa w dwie strony, i pracować z tym. A wtedy będziemy mogli naprawdę zacząć do czegoś dochodzić. – Uniosłem dłoń. Ruchem głowy wskazałem na obrączkę. – Ta obrączka o czymś cię informuje, prawda?

Alicia bardzo powoli skierowała na nią wzrok.

– Mówi, że jestem żonaty. Że mam żonę. Jesteśmy małżeństwem od blisko dziewięciu lat.

Żadnej reakcji, ale dalsze wpatrywanie się w obrączkę.

– Wy byliście małżeństwem przez siedem lat, prawda?

Zero odpowiedzi.

– Bardzo kocham swoją żonę. Kochałaś swojego męża?

Oczy Alicii poruszyły się. Przeniosła spojrzenie na moją twarz. Patrzyliśmy na siebie.

– Miłość obejmuje przeróżne uczucia, zgodzisz się? Dobre i złe. Kocham żonę, ma na imię Kathy, ale czasami jestem na nią zły. Niekiedy… nienawidzę jej.

Alicia dalej mi się przyglądała. Czułem się jak zając w świetle reflektorów, sparaliżowany, niezdolny do odwrócenia wzroku lub ruchu. Alarm leżał na stole, w zasięgu ręki. Skupiłem się bardzo, żeby na niego nie zerknąć.

Wiedziałem, że nie powinienem mówić – że powinienem zamilknąć – ale nie potrafiłem się powstrzymać. Ciągnąłem kompulsywnie:

– I kiedy mówię, że jej nienawidzę, nie chodzi mi o to, że nienawidzę jej całym sobą. Nienawidzi jej tylko jakaś część mnie. I chodzi o to, by równocześnie trzymać się obu tych części. Jakaś część ciebie kochała Gabriela… A druga go nienawidziła.

Alicia pokręciła głową: nie. Krótko, ale wyraźnie. Wreszcie udzieliła mi odpowiedzi. Poczułem nagłą radość. Powinienem na tym poprzestać, ale nie zrobiłem tego.

– Jakaś część ciebie go nienawidziła – powtórzyłem, tym razem bardziej stanowczo.

Znowu przeczący ruch głowy. Jej spojrzenie mnie paliło. Zaczyna się złościć, pomyślałem.

– To prawda, Alicio. W przeciwnym razie byś go nie zabiła.

Alicia nagle zerwała się z miejsca. Myślałem, że się na mnie rzuci. Moje ciało się napięło w oczekiwaniu ataku. Ona jednak odwróciła się i podeszła do drzwi. Waliła w nie pięściami.

Rozległ się dźwięk klucza przekręcanego w zamku i Yuri otworzył drzwi. Z ulgą stwierdził, że Alicia nie dusi mnie na podłodze. Przepchnęła się obok niego i wypadła na korytarz.

– Spokojnie, zwolnij, kochana – powiedział Yuri. Spojrzał na mnie. – Wszystko w porządku? Co się stało?

Nie odpowiedziałem. Popatrzył na mnie dziwnie i poszedł. Zostałem sam.

Idioto, pomyślałem. Ty idioto. Coś ty zrobił? Za bardzo na nią naciskałem, za mocno, za szybko. Świadczyło to o potwornym braku profesjonalizmu, że już nie wspomnę o cholernej nieudolności. Sytuacja mówiła o wiele więcej o moim stanie umysłu niż o jej.

Tylko że tak właśnie Alicia działała na ludzi. Jej milczenie było jak lustro – odbijałeś się w nim.

A widok często był paskudny.

8

Nie trzeba być psychoterapeutą, żeby podejrzewać, że Kathy zostawiła otwartego laptopa, bo – przynajmniej na podświadomym poziomie – chciała, żebym się dowiedział o jej zdradzie.

No cóż, teraz już wiedziałem.

Nie rozmawiałem z nią od poprzedniego wieczoru. Kiedy wróciła, udawałem, że śpię, i wyszedłem z mieszkania, zanim się obudziła. Unikałem jej – unikałem siebie. Byłem w szoku. Wiedziałem, że muszę się sobie przyjrzeć albo ryzykuję, że się zatracę. Weź się w garść, mruknąłem do siebie, zwijając skręta. Wypaliłem go za oknem i, odpowiednio najarany, nalałem sobie kieliszek wina w kuchni.

Wysunął mi się z dłoni, kiedy po niego sięgnąłem. Próbowałem go przytrzymać, gdy upadał, ale udało mi się tylko uderzyć dłonią w kawałek szkła, gdy rozbił się na stole, i przeciąć sobie palec.

Nagle wszędzie wokół pojawiła się krew – spływała mi po ręce, poplamiła szkło, mieszała się z białym winem na blacie. Z trudem urwałem kawałek ręcznika papierowego i owinąłem palec. Trzymałem dłoń nad głową i przyglądałem się krwi ściekającej po ramieniu wijącymi się strużkami, naśladującymi wzór żył pod skórą.

Myślałem o Kathy.

To do niej zwracałem się w chwilach kryzysu, kiedy potrzebowałem współczucia albo tego, żeby ktoś poprawił mi nastrój pocałunkami. Chciałem, żeby się o mnie zatroszczyła. Pomyślałem, żeby do niej zadzwonić, tylko że wraz z tą myślą oczami wyobraźni zobaczyłem drzwi zamykające się z trzaskiem i odgradzające mnie od niej. Kathy nie było – straciłem ją. Chciałem się rozpłakać, lecz nie mogłem – byłem zablokowany od środka, zatkany błotem i gównem.

– Kurwa – powtarzałem pod nosem. – Kurwa!

Uświadomiłem sobie tykanie zegara. Wydawało się głośniejsze. Próbowałem się na nim skupić i zakotwiczyć kłębiące się myśli. Tik-

tak, tik-tak – tylko że chór głosów w mojej głowie odzywał się głośniej i nie dał się uciszyć. Oczywiście, myślałem, musiała mnie w końcu zdradzić, to się musiało stać, było nieuniknione – nigdy nie byłem dla niej dość dobry, byłem bezużyteczny, ohydny, bezwartościowy – musiała się wreszcie mną znudzić – nie zasługiwałem na nią, nie zasługiwałem na nic – i tak w koło, raniły mnie kolejne wstrętne myśli.

Jak mało ją znałem. Te mejle pokazywały, że żyłem z nieznajomą. A teraz widziałem prawdę. Kathy mnie nie uratowała – nie potrafiła nikogo uratować. Nie była żadną heroiną godną podziwu, tylko przerażoną, popieprzoną dziewuchą, kłamczuchą. Cała ta mitologia nas, którą stworzyłem, nasze nadzieje i marzenia, upodobania i niechęci, plany na przyszłość; życie, które wydawało się takie bezpieczne, solidne, runęło w ciągu kilku sekund jak domek z kart wskutek podmuchu wiatru.

Wróciłem myślami do tamtego zimnego pokoju z okresu studiów, cofnąłem się o wiele lat do momentu, kiedy otwierałem opakowania paracetamolu odrętwiałymi palcami. Takie samo odrętwienie opanowało mnie teraz, taka sama chęć, by się skulić i umrzeć. Pomyślałem o matce. Mógłbym do niej zadzwonić? Zwrócić się do niej w chwili rozpaczy i potrzeby? Wyobraziłem sobie, jak podnosi słuchawkę i odzywa się drżącym głosem; jego roztrzęsienie zależało od nastroju ojca i tego, czy piła. Mogłaby mnie wysłuchać ze współczuciem, ale myślami byłaby gdzie indziej, jednym okiem obserwując ojca i jego humor. Jak miałaby mi pomóc? Jak jeden tonący szczur może uratować drugiego?

Musiałem się stąd wyrwać. Nie mogłem tu oddychać, w domu z cuchnącymi liliami. Potrzebowałem powietrza. Musiałem odetchnąć.

Wyszedłem z mieszkania. Wsunąłem ręce do kieszeni i spuściłem głowę. Wędrowałem ulicami, szedłem szybko, donikąd. W myślach analizowałem nasz związek, scena po scenie, rozpamiętywałem go, egzaminowałem, obracałem, szukałem wskazówek. Przypomniały mi się niedokończone sprzeczki, niewyjaśnione nieobecności i częste spóźnienia. Ale też drobne akty życzliwości – czułe liściki, które zostawiała mi w nieoczekiwanych miejscach, chwile słodyczy

i z pozoru szczerej miłości. Jak to możliwe? Przez cały czas grała? Czy kiedykolwiek mnie kochała?

Pamiętam chwilę zwątpienia, gdy poznałem jej przyjaciół. Wszyscy byli aktorami, głośnymi, narcystycznymi, mizdrzącymi się, bez końca opowiadającymi o sobie i ludziach, których nie znałem – nagle wróciłem do czasów szkoły, samotnego stania na skraju boiska i obserwowania innych dzieciaków, kiedy się bawiły. Przekonałem się, że Kathy nie była taka jak oni wszyscy, ale najwyraźniej się myliłem. Gdybym poznał ich wszystkich owego pierwszego wieczoru, gdy spotkaliśmy się w barze, zniechęciliby mnie do niej? Wątpię. Nic nie zapobiegłoby naszemu związkowi; w momencie, kiedy ujrzałem Kathy, mój los był przesądzony.

Co mogłem zrobić?

Porozmawiać z nią, rzecz jasna. Powiedzieć jej o wszystkim, co widziałem. Zaprzeczyłaby, a potem, gdyby się zorientowała, że to na nic, wyznałaby prawdę, okazałaby skruchę rażona wyrzutami sumienia. Błagałaby mnie o wybaczenie, prawda?

A jeśli nie? A gdyby mnie wyszydziła? Gdyby się zaśmiała, odwróciła na pięcie i poszła sobie? Co wtedy?

Z nas dwojga to ja miałem więcej to stracenia i to było oczywiste. Kathy sobie poradzi – z upodobaniem powtarzała, że jest twarda jak skała. Pozbierałaby się, strzepnęła kurz i zapomniała o mnie. Ja jednak nie zapomniałbym o niej. Jak mógłbym? Bez Kathy wróciłbym do pustej samotnej egzystencji z czasów sprzed niej. Już nigdy nie poznam kogoś takiego jak ona, nie doświadczę takiego związku, głębi uczuć wobec drugiego człowieka. Była miłością mojego życia – była moim życiem – a ja nie byłem gotów z niej rezygnować. Jeszcze nie teraz. Mimo że mnie zdradziła, wciąż ją kochałem.

Może jednak byłem wariatem.

Przestraszył mnie samotny ptak, który zaskrzeczał mi nad głową. Zatrzymałem się i rozejrzałem. Doszedłem dalej, niż sądziłem. Z pewnym zdumieniem zorientowałem się, dokąd zaniosły mnie nogi – tylko kilka przecznic dzieliło mnie od drzwi domu Ruth.

Bez takiego zamiaru nieświadomie szedłem do swojej byłej terapeutki w trudnym czasie, jak czyniłem to wiele razy

w przeszłości. Świadczyło to o tym, jak bardzo byłem zdenerwowany, skoro rozważałem udanie się do niej, naciśnięcie dzwonka i proszenie o pomoc.

A czemu nie? – pomyślałem nagle. Owszem, było to nieprofesjonalne i wysoce niestosowne, niemniej czułem rozpacz i potrzebowałem pomocy. I zanim się zorientowałem, co robię, stanąłem przed zielonymi drzwiami jej domu i patrzyłem, jak moja dłoń naciska na dzwonek.

Ruth zareagowała po dłuższej chwili. Zapaliła światło w przedpokoju i otworzyła drzwi, nie zdjąwszy łańcucha.

Wyjrzała przez szparę. Wyglądała starzej. Pewnie zbliżała się do osiemdziesiątki. Drobniejsza, bardziej krucha, niż zapamiętałem, i lekko przygarbiona. Narzuciła szary kardigan na bladoróżową koszulę nocną.

– Kto tam? – spytała nerwowo.

– Witaj, Ruth – odezwałem się i stanąłem w świetle.

Rozpoznała mnie i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Theo? Co też… – Jej wzrok spoczął na niezdarnie zaimprowizowanym opatrunku na moim palcu, przez który przesączała się krew. – Nic ci nie jest?

– Niezupełnie. Mogę wejść? Muszę… porozmawiać.

Ruth nie wahała się ani chwili. Na jej twarzy malowała się troska. Przytaknęła.

– Oczywiście. Wchodź. – Odpięła łańcuch i otworzyła drzwi.

Wszedłem do środka.

9

– Napijesz się herbaty? – spytała, gdy już zaprowadziła mnie do salonu.

Wyglądał tak jak zawsze, jak go zapamiętałem – dywan, ciężkie zasłony, srebrny zegar tykający na półce nad kominkiem, fotel, wyblakła błękitna kanapa. Od razu poczułem się bezpieczniej.

– Jeśli mam być szczery, przydałoby mi się coś mocniejszego.

Ruth posłała mi przeszywające spojrzenie, ale nic nie powiedziała. I nie odmówiła, a tego się po części spodziewałem.

Nalała kieliszek sherry i podała mi. Usiadłem na kanapie. Siłą nawyku usiadłem tam, gdzie zawsze w czasie terapii, przy lewym krańcu, i oparłem rękę na podłokietniku. Poczułem pod palcami cienki materiał wytarty przez pocierających go licznych pacjentów, w tym i mnie.

Pociągnąłem łyk sherry. Była ciepła, słodka i trochę mdła, ale piłem ją, świadomy, że Ruth mnie przez cały czas obserwuje. Jej spojrzenie było oczywiste, ale nie ciężkie ani nieprzyjemne. Jeszcze nigdy w ciągu dwudziestu lat nie poczułem się u niej niekomfortowo. Odezwałem się dopiero po wypiciu całego kieliszka.

– Dziwnie się czuję, kiedy tu tak siedzę z kieliszkiem w ręku. Wiem, że nie masz w zwyczaju proponować pacjentom alkoholu.

– Nie jesteś już moim pacjentem, tylko przyjacielem. A sądząc po tym, jak wyglądasz – dodała delikatnie – przyjaciel ci się przyda.

– Wyglądam aż tak źle?

– Obawiam się, że tak. I musi chodzić o coś poważnego, bo nie przyszedłbyś bez zaproszenia. A już na pewno nie o dwudziestej drugiej.

– Masz rację. Czułem, że nie miałem wyboru.

– O co chodzi, Theo? Co się dzieje?

– Nie wiem, jak ci powiedzieć. Nie wiem, od czego zacząć.

– Może od początku?

Przytaknąłem. Zaczerpnąłem powietrza i zacząłem mówić. Powiedziałem jej o wszystkim, co się wydarzyło; że zacząłem znowu palić marihuanę i że robię to potajemnie; i o tym, jak doprowadziło to do tego, że przeczytałem mejle Kathy i dowiedziałem się o jej romansie. Mówiłem szybko, jednym tchem, żeby zrzucić to z siebie. Czułem się jak na spowiedzi. Ruth wysłuchała mnie do końca, nie przerywając mi. Trudno było rozszyfrować jej wyraz twarzy. Wreszcie powiedziała:

– Przykro mi, że to się stało, Theo. Wiem, jak wiele Kathy dla ciebie znaczy. Jak bardzo ją kochasz.

– Owszem, kocham… – Nie potrafiłem wypowiedzieć jej imienia. Głos mi zadrżał.

Ruth spostrzegła to i podsunęła mi pudełko z chusteczkami. Wściekałem się na nią, kiedy robiła tak podczas sesji. Wypominałem jej, że chce mnie skłonić do łez. I zwykle jej się to udawało. Ale nie dzisiaj. Tego wieczoru łzy nie popłynęły. Zamieniły się w lód.

Chodziłem do Ruth na długo przed poznaniem Kathy i kontynuowałem terapię przez pierwsze trzy lata naszego związku. Pamiętam radę, jaką Ruth mi dała, kiedy się zeszliśmy z Kathy. „Wybór ukochanej osoby przypomina wybór terapeuty. Musimy siebie zapytać, czy ten ktoś będzie z nami szczery, wysłucha krytyki, przyzna się do popełnienia błędu i nie będzie obiecywał niemożliwego”.

Powtórzyłem te słowa Kathy, a ona zasugerowała, żebyśmy zawarli pakt. Przysięgliśmy sobie nigdy się nie okłamywać. Nigdy niczego nie udawać. Zawsze być szczerymi.

– Co się stało? – spytałem. – Co poszło nie tak?

Ruth zwlekała z odpowiedzią. Jej słowa mnie zaskoczyły.

– Podejrzewam, że już znasz odpowiedź. Tylko musisz ją uznać.

– Nie znam – odparłem, kręcąc głową. – Nie znam jej.

Zapadłem w pełne oburzenia milczenie, ale nagle stanęła mi przed oczami Kathy pisząca te wszystkie mejle. Pomyślałem o tym, jakie były pełne namiętności, naładowane; jakby upajała się ich pisaniem i potajemną naturą jej związku z tym mężczyzną. Uwielbiała kłamać i knuć; przypominało to aktorstwo, choć działo się poza sceną.

– Myślę, że się znudziła – odezwałem się w końcu.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo potrzebuje ekscytacji. Dramatyzmu. Zawsze tak było. Narzekała już od pewnego czasu, że brakuje nam zabawy. Jestem wiecznie zestresowany, za ciężko pracuję. Pokłóciliśmy się ostatnio o to. Co rusz używała słowa „fajerwerki".

– Fajerwerki?

– I że ich nie ma. Między nami.

– Rozumiem. – Ruth przytaknęła. – Rozmawialiśmy o tym. Prawda?

– O fajerwerkach?

– O miłości. O tym, jak często błędnie uznajemy ją za fajerwerki, dramatyzm, dysfunkcję. Tymczasem prawdziwa miłość jest bardzo cicha, spokojna. Nudna, jeśli patrzy się na nią z perspektywy dramatyzmu. Miłość jest głęboka i spokojna. I trwała. Wyobrażam sobie, że darzysz Kathy miłością w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Czy ona potrafi to odwzajemnić, to już zupełnie inna historia.

Gapiłem się na pudełko chusteczek na stoliku. Nie podobało mi się, do czego Ruth zmierzała. Próbowałem zbić ją z tropu.

– Obie strony mają za uszami – powiedziałem. – Też ją okłamałem. W związku z trawką.

Ruth uśmiechnęła się delikatnie.

– Nie jestem pewna, czy regularną seksualną i emocjonalną zdradę można porównać z upalaniem się od czasu do czasu. Do tej pierwszej zdolny jest zupełnie inny rodzaj człowieka, ktoś, kto potrafi kłamać raz po raz, i to dobrze, kto potrafi zdradzić partnera bez wyrzutów sumienia…

– Nie wiesz tego – zaoponowałem równie żałośnie, jak się czułem. – Mogła się czuć okropnie.

Nie wierzyłem w te słowa nawet wtedy, gdy je wypowiadałem. Ruth też nie.

– Nie sądzę – rzekła. – Jej zachowanie sugeruje, że jest zniszczoną osobą. Brakuje jej empatii, integralności, zwykłej życzliwości, a ty masz ich aż w nadmiarze.

Pokręciłem głową.

– To nieprawda.

– Ależ to jest prawda, Theo. – Zamilkła na chwilę. – Nie sądzisz, że znalazłeś się już kiedyś w podobnej sytuacji?

– Z Kathy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie o to mi chodziło. Z rodzicami. Gdy byłeś młodszy. Może odtwarzasz jakąś dynamikę z dzieciństwa?

– Nie – zaprzeczyłem nagle poirytowany. – To, co się dzieje z Kathy, nie ma nic wspólnego z moim dzieciństwem.

– Doprawdy? – Ruth zdawała się wątpić. – Starasz się zadowolić kogoś nieprzewidywalnego, emocjonalnie niedostępnego, obojętnego, nieprzyjaznego. Starasz się tego kogoś uszczęśliwić, zdobyć jego miłość… Czy to nie przypomina starej historii, Theo? Znanej ci?

Zacisnąłem pięści, ale się nie odezwałem. Ruth ciągnęła z wahaniem:

– Wiem, jak ci jest smutno. Chciałabym jednak, abyś rozważył potencjalną możliwość, że czułeś ten smutek na długo przed poznaniem Kathy. Nosisz go w sobie od wielu lat. Wiesz, Theo, jedną z najtrudniejszych rzeczy do przyznania jest to, że nie kochano nas wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowaliśmy. To okropne uczucie, ten ból wynikający z braku miłości.

Naturalnie miała rację. Szukałem właściwych słów dla wyrażenia owego mrocznego poczucia zdrady, które nosiłem w sobie, potwornego bólu; i kiedy usłyszałem, jak Ruth go nazywa – „ból wynikający z braku miłości” – dostrzegłem, jak bardzo zawładnął całą moją świadomością, że stanowił melodię przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie chodziło wyłącznie o Kathy, ale też o mojego ojca i dziecięce poczucie porzucenia; żal z powodu wszystkiego, czego nigdy nie miałem i czego, jak wierzyłem w głębi serca, nigdy nie będę miał. Według Ruth właśnie z tego powodu wybrałem Kathy. Czy znajdę lepszy sposób, by udowodnić, że mój ojciec miał rację – że jestem bezwartościowy i niegodny miłości – od zabiegania o kogoś, kto nigdy mnie nie pokocha?

Objąłem głowę rękami.

– A więc to wszystko było nieuniknione? Do tego zmierzasz? Sam się w to wpakowałem? Sytuacja jest beznadziejna?

– Nie jest beznadziejna. A ty nie jesteś już chłopcem zdanym na łaskę swojego ojca. Jesteś dojrzałym mężczyzną i możesz dokonać wyboru. Wykorzystaj to jako kolejne potwierdzenie tego, jaki jesteś bezwartościowy, albo zerwij z przeszłością. Uwolnij się od ciągłego jej odtwarzania.

– Jak mam tego dokonać? Myślisz, że powinienem ją zostawić?

– Uważam, że jest to bardzo trudna sytuacja.

– Ale uważasz, że powinienem ją rzucić?

– Za daleko zaszedłeś i zbyt ciężko pracowałeś, żeby wrócić do życia w nieuczciwości, zaprzeczaniu i pozwalaniu na emocjonalną przemoc. Zasługujesz na kogoś, kto będzie cię traktował lepiej, o wiele lepiej…

– Powiedz to, Ruth. Powiedz. Uważasz, że powinienem odejść.

Ruth popatrzyła mi w oczy. Wytrzymała moje spojrzenie.

– Myślę, że musisz odejść – powiedziała. – I nie mówię tego jako twoja dawna terapeutka, ale jako przyjaciel. Nie sądzę, żebyś mógł wrócić, nawet gdybyś chciał. Być może trwałoby to przez jakiś czas, ale za kilka miesięcy wydarzyłoby się coś innego i znowu byś wylądował na tej kanapie. Bądź ze sobą szczery, Theo, odnośnie do Kathy i tej sytuacji – a wszystko, co opiera się na kłamstwie i nieprawdzie, opuści cię. Pamiętaj, że miłość bez uczciwości nie zasługuje na miano miłości.

Westchnąłem zniechęcony, przygnębiony i bardzo zmęczony.

– Dziękuję, Ruth. Za szczerość. Wiele dla mnie znaczy.

Ruth uściskała mnie, zanim wyszedłem. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Poczułem, jaka jest krucha, jakie ma delikatne kości. Wciągnąłem do płuc jej lekko kwiatowy zapach i woń wełnianego swetra i znowu zachciało mi się płakać. Ale nie zrobiłem tego, nie mogłem.

Zamiast tego wyszedłem, nie oglądając się za siebie.

Wsiadłem do autobusu, który miał zawieźć mnie do domu. Siedziałem przy oknie, wyglądałem na zewnątrz i myślałem o Kathy, jej białej skórze, pięknych zielonych oczach. Wypełniała mnie taka

tęsknota – za słodkim smakiem jej ust, jej miękkością. Ruth miała jednak rację. Miłość bez uczciwości nie zasługuje na miano miłości.

Musiałem jechać do domu i stawić czoło Kathy.

Musiałem od niej odejść.

10

Kathy była już w domu. Siedziała na kanapie i pisała wiadomość.

– Gdzie byłeś? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Na spacerze. Jak wypadła próba?

– Dobrze. Była męcząca.

Patrzyłem, jak pisze, i zastanawiałem się, do kogo. Wiedziałem, że to jest odpowiedni moment, żeby powiedzieć: Wiem, że masz romans. Chcę się rozwieść. Otworzyłem usta, żeby to zrobić. I stwierdziłem, że nie mogę mówić. Zanim zdążyłem odzyskać głos, Kathy mnie ubiegła. Przerwała pisanie i odłożyła telefon.

– Theo, musimy porozmawiać.

– O czym?

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

W jej głosie pobrzmiewała surowa nuta. Unikałem jej wzroku, na wypadek gdyby potrafiła odgadnąć moje myśli. Czułem się zawstydzony i podejrzany – jakbym to ja miał na sumieniu grzeszną tajemnicę.

I miałem, przynajmniej jej zdaniem. Sięgnęła za kanapę i coś podniosła. Serce mi zamarło. Trzymała słoiczek, w którym przechowywałem trawkę. Zapomniałem go schować po tym, jak skaleczyłem palec.

– Co to jest? – spytała, podsuwając mi go.

– Trawka.

– Tyle wiem. A co ona tu robi?

– Kupiłem ją. Bo miałem ochotę.

– Na co miałeś ochotę? Naćpać się? Poważnie?

Wzruszyłem ramionami. Nie patrzyłem jej w oczy, jak niegrzeczny dzieciak.

– Co jest, do cholery? To znaczy, Jezu… – Kathy z oburzeniem kręciła głową. – Czasami wydaje mi się, że w ogóle cię nie znam.

Miałem ochotę ją uderzyć. Rzucić się na nią i okładać ją pięściami. Chciałem zdemolować pokój, roztrzaskać meble.

Chciałem szlochać, wyć i rzucić się w jej objęcia.

Nie zrobiłem nic z tych rzeczy.

– Chodźmy spać – powiedziałem i wyszedłem.

Poszliśmy do łóżka w milczeniu. Leżałem w ciemnościach obok niej, ale nie mogłem zasnąć. Przez wiele godzin czułem ciepło jej ciała, przyglądałem się jej, gdy spała.

Dlaczego do mnie nie przyszłaś, chciałem zapytać. Dlaczego ze mną nie porozmawiałaś? Byłem twoim najlepszym przyjacielem. Gdybyś powiedziała chociaż słowo, moglibyśmy to przepracować. Dlaczego ze mną nie porozmawiałaś? Przecież tu jestem. Jestem tutaj.

Zapragnąłem przyciągnąć ją do siebie. Przytulić. Ale nie mogłem. Kathy nie było – osoba, którą tak bardzo kochałem, zniknęła na zawsze, a na jej miejscu pojawiła się ta nieznajoma.

W gardle wezbrał mi szloch. I wreszcie łzy popłynęły mi po policzkach.

Po cichu, pod osłoną ciemności, załkałem.

Następnego ranka wstaliśmy i działaliśmy zgodnie z rutyną – ona poszła do łazienki, a ja zaparzyłem kawę. Podałem jej kubek, gdy weszła do kuchni.

– Wydawałeś w nocy dziwne odgłosy – powiedziała. – Mówiłeś przez sen.

– A co mówiłem?

– Nie wiem. Nic. Coś bez sensu. To pewnie przez to, że byłeś naćpany. – Posłała mi miażdżące spojrzenie i zerknęła na zegarek. – Muszę lecieć, bo się spóźnię.

Wypiła kawę i wstawiła kubek do zlewu. Dała mi całusa w policzek. Na dotyk jej ust niemal się wzdrygnąłem.

Po jej wyjściu poszedłem pod prysznic. Zwiększałem temperaturę wody, aż prawie zaczęła mnie parzyć. Ukrop chłostał mnie po twarzy, kiedy łkałem – wypalał rzewne dziecinne łzy. Gdy się wycierałem, dostrzegłem swoje odbicie w lustrze. Byłem w szoku – poszarzałem, skurczyłem się; w ciągu nocy przybyło mi trzydzieści lat. Byłem stary i wyczerpany, młodość gdzieś się ulotniła.

W tym momencie podjąłem decyzję.

Porzucenie Kathy byłoby jak oderwanie sobie kończyny. Po prostu nie byłem gotów na takie okaleczenie. Bez względu na to, co mówiła Ruth. Przecież Ruth nie była nieomylna. Kathy to nie mój ojciec. Nie byłem skazany na odtwarzanie przeszłości. Mogłem zmienić przyszłość. Byliśmy z Kathy szczęśliwi. I znowu możemy tacy być. Pewnego dnia ona może się otworzyć, wyznać mi wszystko, a ja jej wybaczę.

Nie odejdę od Kathy. Zamiast tego nic nie powiem. Będę udawał, że nigdy nie czytałem jej mejli. I jakoś uda mi się zapomnieć. Zakopię to. Nie miałem wyboru i musiałem żyć dalej. Postanowiłem temu nie ulegać. Nie załamię się i nie rozpadnę na kawałeczki.

Przecież odpowiadałem nie tylko za siebie. Co z moimi pacjentami? Zależeli ode mnie ludzie.

Nie mogłem ich zawieść.

11

– Szukam Elif – powiedziałem. – Wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

Yuri popatrzył na mnie pytająco.

– Dlaczego jej szukasz?

– Chcę z nią zamienić słowo. Chciałbym poznać wszystkie pacjentki, przedstawić im się.

Yuri zdawał się mieć wątpliwości.

– Okej. Nie bierz tego do siebie, jeśli nie będzie zbyt otwarta. – Zerknął na zegar na ścianie. – Minęło już wpół do, więc właśnie skończyła terapię sztuką. Pewnie jest w sali rekreacyjnej.

– Dzięki.

Sala rekreacyjna była dużym pomieszczeniem na planie okręgu; stały tam zniszczone kanapy, stoliki, regał z wyświechtanymi książkami, których nikt nie chciał czytać, i czuło się odór zatęchłej herbaty i dymu papierosowego, który wgryzł się w poplamioną tapicerkę. Kilka pacjentek grało pod ścianą w tryktraka. Elif stała sama przy stole bilardowym. Podszedłem do niej z uśmiechem.

– Witaj, Elif.

Popatrzyła na mnie przerażonymi nieufnymi oczami.

– Słucham?

– Spokojnie, nic się nie dzieje. Chciałem tylko zamienić z tobą słowo.

– Nie jesteś moim lekarzem. Mam już lekarza.

– Nie jestem lekarzem, tylko psychoterapeutą.

Elif chrząknęła lekceważąco.

– Też mam.

Uśmiechnąłem się, w duszy czując ulgę, że to Indira ją prowadziła. Z bliska Elif onieśmielała mnie jeszcze bardziej. I to nie tylko z powodu ogromnych rozmiarów, ale też wściekłości malującej się na twarzy – chodziła wiecznie skrzywiona, a gniewne czarne oczy wyrażały wzburzenie. Cuchnęła potem i skrętami, które non

stop paliła, przez co miała czarne czubki palców, pożółkłe paznokcie i ciemnożółte zęby.

– Chciałem zadać ci kilka pytań – powiedziałem. – Jeśli bym mógł. Na temat Alicii.

Elif skrzywiła się i walnęła kijem o stół. Zaczęła ustawiać kule do kolejnej partii. Wtem zatrzymała się. I tak stała, roztargniona, w milczeniu.

– Elif?

Nie odpowiedziała. Z jej miny domyśliłem się, co się działo.

– Słyszysz głosy, Elif?

Podejrzliwe spojrzenie. Wzruszenie ramion.

– Co mówią?

– „Nie jesteś bezpieczna". Każą mi uważać.

– Rozumiem. No tak. Nie znasz mnie i rozsądnie jest mi nie ufać. Jeszcze nie teraz. Może to się z czasem zmieni.

Elif posłała mi spojrzenie, które sugerowało, że w to wątpi.

Skinieniem głowy wskazałem stół bilardowy.

– Zagramy?

Wzruszyła ramionami.

– Drugi kij jest złamany. Jeszcze go nie wymienili.

– Ale przecież moglibyśmy się podzielić twoim, prawda?

Kij leżał na stole. Podszedłem, żeby go dotknąć – a ona przesunęła go tak, żebym nie mógł go dosięgnąć.

– To mój pieprzony kij! Załatw sobie swój!

Cofnąłem się, zaniepokojony jej reakcją. Rozbiła bile ze sporą siłą. Przez chwilę przyglądałem się jej grze. Po czym podjąłem kolejną próbę.

– Zastanawiałem się, czy mogłabyś mi powiedzieć coś na temat tego, co się wydarzyło po przybyciu Alicii do The Grove. Pamiętasz?

Elif pokręciła głową. Kontynuowałem:

– Czytałem w jej aktach, że pokłóciłyście się w stołówce. Zdaje się, że zostałaś zaatakowana. Czy tak?

– A tak, tak. Próbowała mnie zabić. Chciała mi, kurwa, poderżnąć gardło.

– Pielęgniarka napisała w raporcie dziennym, że widziała, jak szepnęłaś coś Alicii do ucha, zanim cię zaatakowała. Tak się

zastanawiałem, co to było.

– Nie. – Elif gwałtownie pokręciła głową. – Nic nie powiedziałam.

– Nie próbuję powiedzieć, że ją sprowokowałaś. Po prostu jestem ciekaw. Co to było?

– Zapytałam ją o coś. I co, kurwa, z tego?

– O co?

– Spytałam, czy zasługiwał.

– Kto?

– On. Jej facet. – Elif się uśmiechnęła, chociaż to raczej nie był uśmiech, tylko zniekształcony grymas.

– Masz na myśli jej męża? – Zawahałem się, niepewny, czy dobrze zrozumiałem. – Zapytałaś Alicię, czy jej mąż zasługiwał na śmierć?

Elif przytaknęła i uderzyła w bile.

– Spytałam też, jak wyglądał. Kiedy do niego strzeliła i rozwaliła mu czaszkę, aż mózg mu wypłynął na zewnątrz. – Zaśmiała się.

Poczułem nagły przypływ obrzydzenia – wyobraziłem sobie, że podobne uczucia Elif obudziła w Alicii. Przy Elif człowiek czuł odrazę i nienawiść – na tym polegała jej patologia, bo takimi uczuciami darzyła ją matka, kiedy Elif była małą dziewczynką. Zawsze czuła się znienawidzona i odrażająca. Dlatego teraz nieświadomie prowokowała w ludziach nienawiść – najczęściej z powodzeniem.

– A jak jest teraz? – dopytywałem. – Dogadujecie się z Alicią?

– O tak. Jesteśmy bardzo zżyte. Najlepsze z nas kumpelki.

Elif znowu się zaśmiała. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, poczułem, że telefon wibruje mi w kieszeni. Sprawdziłem, kto to. Nie rozpoznałem numeru.

– Muszę odebrać. Dziękuję. Bardzo mi pomogłaś.

Elif wybełkotała coś niewyraźnie i wróciła do gry.

Wyszedłem na korytarz i odebrałem połączenie.

– Halo? – odezwałem się.

– Theo Faber?

– Przy telefonie. A kto mówi?

– Max Berenson. Oddzwaniam na pańską prośbę.

– A tak, witam. Dziękuję, że pan oddzwania. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy porozmawiać na temat Alicii?

– Dlaczego? Co się stało? Coś złego?

– Nie. To znaczy niezupełnie. Prowadzę jej terapię i chciałem zadać panu kilka pytań na jej temat. W dogodnym dla pana momencie.

– Domyślam się, że nie możemy tego załatwić przez telefon? Jestem dość zajętym człowiekiem.

– Wolałbym w miarę możliwości porozmawiać osobiście.

Max Berenson westchnął i mruknął coś do kogoś znajdującego się blisko niego.

– Jutro wieczorem o dziewiętnastej w moim gabinecie.

Już miałem poprosić o adres, ale się rozłączył.

12

Recepcjonistka Maxa Berensona miała potworne przeziębienie. Sięgnęła po chusteczkę, wyczyściła nos i pokazała mi, żebym poczekał.

– Rozmawia przez telefon. Za chwilkę do pana wyjdzie.

Przytaknąłem i usiadłem w poczekalni. Kilka niewygodnych krzeseł z prostymi oparciami, stolik kawowy ze stosem przeterminowanych czasopism. Wszystkie poczekalnie tak wyglądają, pomyślałem. Równie dobrze zamiast na spotkanie z adwokatem mógłbym czekać na wizytę u lekarza lub przedsiębiorcy pogrzebowego.

W drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich Max Berenson, skinął na mnie ręką, po czym zniknął z powrotem w swoim gabinecie. Wstałem i poszedłem do niego.

Spodziewałem się najgorszego, zważywszy na jego obcesowy sposób rozmowy przez telefon. Ku mojemu zaskoczeniu zaczął od przeprosin.

– Przepraszam, jeśli byłem nieprzyjemny – powiedział. – To był ciężki tydzień i mam kiepski nastrój. Zechce pan usiąść?

Usiadłem na krześle po drugiej stronie biurka.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

– W pierwszej chwili nie byłem tego taki pewien. Myślałem, że jest pan dziennikarzem, który chce mnie w ten sposób podejść. Ale zadzwoniłem do The Grove i sprawdziłem, czy pan tam pracuje.

– Rozumiem. Często się tak zdarza? Pytam o dziennikarzy.

– Ostatnio już nie, ale kiedyś, owszem. Nauczyłem się mieć na baczności…

Chciał powiedzieć coś więcej, ale przeszkodziło mu kichnięcie. Sięgnął po pudełko chusteczek.

– Przepraszam. W rodzinie panuje przeziębienie.

Wyczyścił nos. Przyjrzałem mu się uważniej. W przeciwieństwie do swojego młodszego brata Max Berenson nie był atrakcyjny. Był

potężnej budowy, łysiejący, a twarz miał upstrzoną głębokimi bliznami po trądziku. Używał korzennej staromodnej wody kolońskiej, takiej w stylu mojego ojca. Jego gabinet był podobnie tradycyjny i pachniało w nim skórzanymi meblami, drewnem i książkami. Trudno o większy kontrast dla świata zamieszkiwanego przez Gabriela: krainy koloru i piękna dla samego piękna. Najwyraźniej nie łączyło ich żadne podobieństwo.

Na biurku stało oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające Gabriela. Nieupozowane – możliwe, że zrobione przez samego Maxa. Gabriel siedział na ogrodzeniu na polu, miał włosy rozwiane przez wiatr i aparat fotograficzny zawieszony na szyi. Kojarzył się bardziej z aktorem niż z fotografem. Albo aktorem obsadzonym w roli fotografa.

Max spostrzegł, że przyglądam się zdjęciu, i przytaknął, jakby czytał mi w myślach.

– Mój brat miał włosy i urodę, ja mózg. – Zaśmiał się. – Żartuję. Adoptowano mnie. Nie byliśmy spokrewnieni.

– Nie wiedziałem. Obydwu was adoptowano?

– Nie, tylko mnie. Rodzicom się wydawało, że nie mogą mieć dzieci. A krótko po tym, jak mnie adoptowali, udało im się począć własne dziecko. Podobno zdarza się to dość często. Ma to jakiś związek ze spadkiem poziomu stresu.

– Byliście z Gabrielem zżyci?

– Bardziej niż inni. Chociaż to on zajmował środek sceny, rzecz jasna. Znajdowałem się w jego cieniu.

– Dlaczego?

– Trudno, żeby było inaczej. Gabriel był wyjątkowy nawet jako dziecko.

Max miał zwyczaj bawić się obrączką. Obracał ją na palcu w czasie rozmowy.

– Wszędzie chodził z aparatem i robił zdjęcia. Ojciec uważał, że był wariatem. A okazało się, że geniuszem. Zna pan jego prace?

Uśmiechnąłem się dyplomatycznie. Nie zamierzałem rozmawiać o wartości Gabriela jako fotografa. Skierowałem rozmowę na temat Alicii.

– Na pewno znał ją pan dość dobrze?

– Alicię? Doprawdy?

Na dźwięk jej imienia coś się w nim zmieniło. Zniknęła jego serdeczność. Ton brzmiał zimno.

– Nie wiem, czy mogę panu pomóc – ciągnął. – Nie reprezentowałem Alicii w sądzie. Mogę pana skontaktować z moim kolegą, Patrickiem Dohertym, jeśli chce pan poznać szczegóły procesu.

– Nie na takich informacjach mi zależy.

– Nie? – Przyjrzał mi się z zainteresowaniem. – Czy psychoterapeuci często się spotykają z adwokatami swoich pacjentów?

– Nie, jeżeli pacjent mówi.

Max zdawał się nad tym zastanawiać.

– Rozumiem. Jak już powiedziałem, nie wiem, czy zdołam panu pomóc, więc…

– Mam kilka pytań.

– Bardzo dobrze. Proszę strzelać.

– Pamiętam, że w tamtym czasie czytałem w gazecie, że spotkał się pan z Gabrielem i Alicią na kolacji dzień przed zabójstwem.

– Zgadza się.

– Jak się zachowywali?

Oczy Maxa zrobiły się szkliste. Prawdopodobnie zadawano mu to pytanie setki razy i odpowiadał automatycznie, bez zastanowienia.

– Normalnie. Jak najbardziej normalnie.

– A Alicia?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami. – No, może była trochę bardziej nerwowa niż zwykle, ale…

– Ale?

– Nic.

Czułem, że było coś więcej. Czekałem. I po chwili Max kontynuował:

– Nie wiem, jak dużo pan wie o ich związku.

– Tylko to, co przeczytałem w prasie.

– A co pan czytał?

– Że byli szczęśliwi.

– Szczęśliwi? – Max uśmiechnął się zimno. – Och tak, byli szczęśliwi. Gabriel robił wszystko, co w jego mocy, żeby ją uszczęśliwić.

– Rozumiem.

Tylko że nie rozumiałem. Nie wiedziałem, do czego zmierzał. Musiałem wyglądać na zaskoczonego, bo wzruszył ramionami i powiedział:

– Nie będę się rozwodził na ten temat. Jeżeli zależy panu na plotkach, proszę porozmawiać z Jeanem-Felixem, nie ze mną.

– Z Jeanem-Felixem?

– Jeanem-Felixem Martinem. Wystawcą Alicii. Znali się od lat. Jak łyse konie. Nigdy za nim nie przepadałem, jeśli mam być szczery.

– Nie interesują mnie plotki – odparłem i zapamiętałem, żeby porozmawiać z tym Jeanem-Felixem jak najszybciej. – Bardziej mnie interesuje pańska osobista opinia. Mogę zadać bezpośrednie pytanie?

– Wydawało mi się, że już pan to zrobił.

– Lubił pan Alicię?

Spojrzenie Maxa nic nie wyrażało, kiedy rzekł:

– Ależ oczywiście, że tak.

Nie uwierzyłem mu.

– Odnoszę wrażenie, że występuje pan w dwóch rolach. Adwokata, który ze zrozumiałych powodów zachowuje dyskrecję. I brata. Przyszedłem na spotkanie z bratem.

Zapadło milczenie. Zastanawiałem się, czy Max poprosi mnie, żebym wyszedł. Chyba chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Nagle wstał zza biurka i podszedł do okna. Otworzył je i do środka wpadło zimne powietrze. Max oddychał głęboko, jakby dusił się w pomieszczeniu. Wreszcie odezwał się cichym głosem:

– Tak naprawdę… nienawidziłem jej… nie znosiłem.

Nic nie mówiłem. Czekałem, żeby kontynuował. Dalej wyglądał przez okno. Ciągnął powoli:

– Gabriel był nie tylko moim bratem, ale też najlepszym przyjacielem. Najżyczliwszym człowiekiem, jakiego znałem. Zbyt dobrym. Cały jego talent, dobroć, pasja życia zgasły z powodu tej

suki. Zniszczyła nie tylko jego życie, ale i moje. Dzięki Bogu, że rodzice nie dożyli, by być tego świadkami… – uwiązł mu głos z powodu nagłego przypływu emocji.

Trudno było nie poczuć bólu Maxa. Współczułem mu.

– Na pewno było panu wyjątkowo trudno zorganizować obrońcę dla Alicii – powiedziałem.

Max zamknął okno i wrócił za biurko. Odzyskał panowanie nad sobą. Znowu był adwokatem. Neutralnym, zrównoważonym, wyzutym z emocji. Wzruszył ramionami.

– Gabriel by tego chciał. Zawsze chciał dla Alicii jak najlepiej. Szalał za nią. A ona tylko była szalona.

– Myśli pan, że była obłąkana?

– Niech pan mi to powie, pan jest psychologiem.

– A jak pan myśli?

– Wiem, co widziałem.

– Co takiego?

– Zmiany nastroju. Napady wściekłości. Agresji. Rzucała przedmiotami, rozbijała je. Gabriel powiedział mi, że kilkakrotnie groziła mu śmiercią. Powinienem był go wysłuchać, zrobić coś. Trzeba było interweniować po tym, jak próbowała się zabić. Powinienem nalegać, żeby zwróciła się po pomoc. Ale nie zrobiłem tego. Gabriel tak bardzo chciał ją chronić, a ja, jak ten idiota, pozwoliłem mu na to.

Westchnął i zerknął na zegarek – to był znak, że mamy kończyć rozmowę. Ale ja tylko gapiłem się na niego.

– Alicia próbowała się zabić? Jak to? Kiedy? Po zabójstwie?

Max pokręcił głową.

– Kilka lat wcześniej. To pan nie wie? Myślałem, że pan wie.

– Kiedy to było?

– Po śmierci jej ojca. Przedawkowała jakieś pigułki. Nie pamiętam dokładnie. Przeżyła swego rodzaju załamanie.

Już miałem na niego nacisnąć, ale drzwi się otworzyły. Stanęła w nich recepcjonistka i powiedziała przez nos:

– Kochanie, powinniśmy iść. Spóźnimy się.

– Tak – odezwał się Max. – Już idę, skarbie.

Drzwi się zamknęły. Max wstał i popatrzył na mnie przepraszająco.

– Mamy bilety do teatru. – Wyglądałem chyba na zaskoczonego, bo wybuchnął śmiechem. – My, Tanya i ja, pobraliśmy się rok temu.

– Och, rozumiem.

– Zbliżyła nas śmierć Gabriela. Nie przetrwałbym bez niej.

Zadzwonił telefon Maxa i rozproszył jego uwagę. Ruchem głowy dałem znać, żeby odebrał.

– Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł – powiedziałem.

Wyszedłem z gabinetu. Przyjrzałem się uważniej tej Tanyi z recepcji – śliczna blondynka, raczej drobna. Wyczyściła nos, a ja spostrzegłem duży brylant na palcu serdecznym.

Ku mojemu zdumieniu wstała i podeszła do mnie ze ściągniętymi brwiami. Mówiła szybko ściszonym głosem:

– Jeśli chce pan dowiedzieć się więcej o Alicii, proszę porozmawiać z jej kuzynem, Paulem. On zna ją najlepiej ze wszystkich.

– Próbowałem dzwonić do jej ciotki, Lydii Rose – odparłem. – Nie była zbyt otwarta.

– Niech pan zapomni o Lydii. Proszę jechać do Cambridge. Porozmawiać z Paulem. Zapytać go o Alicię, wieczór po wypadku i…

Otworzyły się drzwi gabinetu. Tanya natychmiast zamilkła. Max stanął w progu, a ona pospieszyła do niego z szerokim uśmiechem.

– Jesteś gotów, kochany? – spytała.

Uśmiechała się, ale jej głos brzmiał nerwowo. Boi się Maxa, pomyślałem. Ciekawe dlaczego.

13. Pamiętnik Alicii Berenson

22 lipca

Nie podoba mi się to, że trzymamy w domu pistolet.

Wczoraj wieczorem znowu się o to pokłóciliśmy. A przynajmniej tak mi się wydaje, że o to – teraz już nie jestem tego pewna.

Gabriel powiedział, że to przeze mnie się kłócimy. I prawdopodobnie tak było. Nie znoszę, kiedy jest taki zdenerwowany i patrzy na mnie z pokrzywdzonym wyrazem oczu. Nienawidzę zadawać mu bólu – a mimo to czasami rozpaczliwie pragnę go skrzywdzić, nie wiem dlaczego.

Powiedział, że wróciłam do domu w potwornym nastroju. Wtargnęłam na górę i zaczęłam na niego krzyczeć. Może i tak. Przypuszczam, że byłam zirytowana. Nie do końca jestem pewna tego, co się wydarzyło. Wróciłam właśnie z wrzosowiska. Nie pamiętam dobrze drogi powrotnej – śniłam na jawie, myślałam o pracy, o obrazie Jezusa. Pamiętam, że minęłam po drodze dom. Dwóch chłopców bawiło się szlauchem. Mogli mieć co najwyżej siedem lub osiem lat. Starszy skierował na młodszego strumień wody – w świetle połyskiwała tęcza. Doskonała tęcza. Młodszy chłopiec rozłożył ramiona i się śmiał. Minęłam ich i zorientowałam się, że policzki mam mokre od łez.

Wtedy to zlekceważyłam, ale gdy myślę o tym teraz, wydaje mi się to oczywiste. Nie chcę przyznać się przed samą sobą do prawdy – straciłam znaczną część życia. Przeczyłam, że chcę mieć dzieci, i udawałam, że mnie nie interesują, że dbam tylko o sztukę. To nieprawda. To tylko wymówka – boję się mieć dzieci. Nie można mi ich bezpiecznie powierzyć.

Ze względu na krew matki krążącą w moich żyłach.

I właśnie o tym myślałam, świadomie lub nie, kiedy wróciłam do domu. Gabriel miał rację, że byłam w złym stanie.

Jednak nie wybuchłabym, gdybym nie zobaczyła, że czyści broń. Bardzo mnie to denerwuje, że ją ma. I boli mnie, że się jej nie pozbędzie, bez względu na to, ile razy go błagam. Zawsze powtarza to samo – to był jeden ze starych pistoletów ojca i dostał go na farmie od niego, gdy skończył szesnaście lat, dlatego ma wartość sentymentalną i tak dalej, bla, bla, bla. Nie wierzę mu. Według mnie trzyma go z innego powodu. Powiedziałam to. Na co Gabriel odparł, że nie ma nic złego w dbałości o bezpieczeństwo oraz chęci chronienia domu i żony. A gdyby ktoś się włamał?

– Wówczas zadzwonimy na policję – stwierdziłam. – Nie będziemy do nikogo strzelać!

Podniosłam głos, ale on mówił jeszcze głośniej i zanim się zorientowałam, co się dzieje, krzyczeliśmy do siebie. Może i straciłam panowanie nad sobą, ale tylko reagowałam na niego – Gabriel ma swoją agresywną stronę, którą sporadycznie przede mną odsłania, a gdy ją widzę, czuję przerażenie. Przez tę krótką chwilę wydaje mi się, że żyję z nieznajomym. Boję się tego.

Nie odzywaliśmy się do siebie do końca wieczoru. I położyliśmy się spać w milczeniu.

Dzisiaj rano kochaliśmy się i pogodziliśmy. Zawsze rozwiązujemy problemy w łóżku. Kiedy leżysz pod kołdrą półnagi i na poły jeszcze śpiący, jest wtedy jakoś łatwiej szepnąć szczerze „przepraszam”. Pozbywasz się wszelkich mechanizmów obronnych i lichych usprawiedliwień i leżysz na podłodze na walających się po niej ubraniach.

– Może powinniśmy wprowadzić zasadę, że zawsze będziemy prowadzili kłótnie w łóżku. – Pocałował mnie. – Kocham cię. Pozbędę się broni. Obiecuję.

– Nie – odparłam. – To bez znaczenia, zapomnij o tym. Naprawdę.

Gabriel pocałował mnie znowu i przyciągnął do siebie. Przytuliłam się do niego i położyłam się naga na nim. Zamknęłam oczy, wyciągnęłam się na przyjaznej skale dostosowanej do moich kształtów. I wreszcie poczułam spokój.

23 lipca

Piszę te słowa w Café de L'Artista. Przychodzę tutaj prawie każdego dnia. Wciąż czuję potrzebę, by wyrwać się z domu. W towarzystwie ludzi, nawet jeśli jest to tylko znudzona kelnerka, czuję się związana ze światem, jak człowiek. W przeciwnym razie grozi mi zniknięcie. Mogę przestać istnieć.

Czasami chciałabym zniknąć – na przykład dzisiaj. Gabriel zaprosił brata na kolację. Uraczył mnie tą informacją rano.

– Wieki całe nie widzieliśmy się z Maxem – powiedział. – Od czasu parapetówki Joela. Przygotuję barbecue. – Popatrzył na mnie dziwnie. – Chyba nie masz nic przeciwko?

– A dlaczego miałabym mieć?

Zaśmiał się.

– Kiepska z ciebie kłamczucha, wiesz? Potrafię czytać w twojej twarzy jak w księdze.

– I co widzisz?

– Że nie lubisz Maxa. Nigdy go nie lubiłaś.

– To nieprawda. – Poczułam, że się czerwienię, wzruszyłam ramionami i odwróciłam wzrok. – Oczywiście, że lubię Maxa – upierałam się. – Miło będzie się z nim zobaczyć… Kiedy znowu będziesz mi pozował? Muszę skończyć obraz.

Gabriel się uśmiechnął.

– Może w ten weekend? A co do obrazu, wyświadcz mi przysługę. Nie pokazuj go Maxowi, dobrze? Nie chcę, by widział mnie jako Jezusa. Nigdy bym tego nie naprawił.

– Max go nie zobaczy – zapewniłam go. – Nie jest jeszcze gotowy.

A nawet gdyby obraz był gotowy, Max jest ostatnią osobą, którą chcę widzieć w swojej pracowni. Pomyślałam to, ale nie powiedziałam.

Boję się wracać do domu. Chcę zostać w tej klimatyzowanej kawiarni i ukryć się w niej do czasu wyjścia Maxa. Tylko że kelnerka wydaje już ciche odgłosy świadczące o zniecierpliwieniu i zerka na zegarek. Niebawem mnie stąd wykopie. A to znaczy, że o ile nie będę się włóczyła po ulicach jak jakaś wariatka, będę musiała wrócić do domu i zmierzyć się z sytuacją. Oraz z Maxem.

24 lipca

Wróciłam do kawiarni. Ktoś usiadł przy moim stoliku i kelnerka posłała mi współczujące spojrzenie – przynajmniej tak mi się wydaje, że chciała mi zakomunikować coś na kształt solidarności, ale mogę się mylić. Usiadłam przy innym stoliku, z widokiem na lokal, a nie ulicę, przy nawiewie klimatyzacji. Mało tu światła, ale ten chłód i mrok odpowiadają mojemu nastrojowi.

Poprzedni wieczór był okropny. Gorszy, niż mogłabym oczekiwać.

Nie poznałam Maxa, kiedy przyszedł. Chyba nigdy nie widziałam go ubranego inaczej niż w garnitur. W szortach prezentował się trochę głupio. Spocił się potwornie w czasie marszu od stacji – jego łysa głowa połyskiwała czerwienią, pod pachami miał ciemne plamy. Nie od razu na mnie popatrzył. A może to ja na niego nie patrzyłam?

Rozwodził się na temat domu i tego, jak inaczej wygląda, że tak dawno go nie zapraszaliśmy, że już zaczął się bać, że nigdy go nie zaprosimy. Gabriel go przepraszał, mówił o tym, jacy jesteśmy zapracowani, że ja mam przed sobą wystawę, a on swoją pracę i z nikim się nie widujemy. Uśmiechał się, ale czułam, jak bardzo go zdenerwowało to, że Max robił wokół tego tyle szumu.

Na początku udawało mi się zachowywać pozory. Czekałam na właściwy moment. I znalazłam go. Max i Gabriel wyszli do ogrodu i zajęli się grillowaniem. Czekałam w kuchni pod pretekstem, że szykuję sałatkę. Wiedziałam, że Max znajdzie jakąś wymówkę i do mnie przyjdzie. I nie myliłam się. Po blisko pięciu minutach usłyszałam jego ciężkie dudniące kroki. Nie porusza się jak Gabriel – ten jest cichy jak kot i nigdy nie słyszę, jak chodzi po domu.

– Alicio – odezwał się Max.

Zorientowałam się, że ręce mi się trzęsły, gdy kroiłam pomidory. Odłożyłam nóż. Odwróciłam się w jego stronę.

Max uniósł pustą butelkę po piwie i się uśmiechnął. Wciąż na mnie nie patrzył.

– Przyszedłem po następne – powiedział.

Przytaknęłam. Wciąż nic nie mówiłam. Otworzył lodówkę i wyciągnął butelkę z piwem. Rozejrzał się za otwieraczem. Wskazałam na blat.

Posłał mi dziwny uśmieszek, gdy otwierał piwo. Jakby chciał coś powiedzieć, ale ubiegłam go.

– Zamierzam powiedzieć Gabrielowi, co się stało – poinformowałam go. – Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Max przestał się uśmiechać. Po raz pierwszy spojrzał na mnie swoimi wężowymi oczkami.

– Co takiego?

– Powiem Gabrielowi. O tym, co się stało u Joela.

– Nie wiem, o czym ty mówisz.

– Naprawdę?

– Nie pamiętam. Obawiam się, że się upiłem.

– Bzdura.

– To prawda.

– Nie pamiętasz, że mnie całowałeś? Obłapiałeś?

– Alicio, przestań.

– Co mam przestać? Robić z igły widły? Zaatakowałeś mnie.

Czułam, że zaczynam wpadać w złość. Z trudem panowałam nad głosem, żeby nie zacząć krzyczeć. Wyjrzałam przez okno. Gabriel stał przy końcu ogrodu, nad grillem. Dym i gorące powietrze zniekształcały jego obraz; widziałam go niewyraźnie.

– Jest w ciebie wpatrzony – rzuciłam. – Jesteś jego starszym bratem. Poczuje się taki zraniony, kiedy mu powiem.

– To tego nie rób. Nie ma o czym mówić.

– Musi poznać prawdę. Dowiedzieć się, jaki jego brat jest naprawdę. Ty…

Zanim zdążyłam skończyć, Max chwycił mnie mocno za ramię i przyciągnął do siebie. Straciłam równowagę i upadłam na niego. Uniósł pięść, jakby chciał mnie uderzyć.

– Kocham cię – powiedział. – Kocham cię, kocham, kocham…

Zanim zdążyłam zareagować, pocałował mnie. Próbowałam mu się wyrwać, ale mnie nie puszczał. Czułam jego gwałtowne usta na całym ciele, jego język wciskający się w moje usta. Instynkt przeważył.

Ugryzłam go z całych sił.

Max krzyknął i odepchnął mnie. Kiedy podniósł głowę, zobaczyłam, że ma usta pełne krwi.

– Pieprzona dziwka! – Głos miał zmieniony, zęby czerwone. Patrzył na mnie jak ranne zwierzę.

Nie mogę uwierzyć, że Max jest bratem Gabriela. Brakuje mu jego delikatnych cech, przyzwoitości, życzliwości. Żywię do niego odrazę i powiedziałam to.

– Alicio, nie mów nic Gabrielowi – wycedził. – Nie żartuję. Ostrzegam cię.

Nie odezwałam się ani słowem. Czułam jego krew na języku, więc odkręciłam kran i płukałam usta tak długo, aż wyszedł. Wtedy i ja udałam się do ogrodu.

Od czasu do czasu czułam, że Max gapił się na mnie podczas kolacji. Gdy spoglądałam mu w oczy, odwracał

spojrzenie. Nic nie jadłam. Na samą myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze. Wciąż czułam w ustach smak jego krwi.

Nie wiem, co robić. Nie chcę okłamywać Gabriela. I nie chcę utrzymywać tej tajemnicy. Tylko że jeśli powiem Gabrielowi, on już nigdy nie odezwie się do Maxa. Załamie się, kiedy się dowie, że niesłusznie zaufał bratu. Bo on ufa Maxowi. Idealizuje go. A nie powinien.

Nie wierzę, że Max mnie kocha. Uważam, że nienawidzi Gabriela, to wszystko. Jest o niego wściekle zazdrosny i chce zagarnąć wszystko, co do niego należy, ze mną włącznie. Teraz, kiedy mu się sprzeciwiłam, chyba już nie będzie mnie nachodził – taką mam nadzieję. A przynajmniej przez jakiś czas.

Na razie więc zachowam milczenie.

Oczywiście Gabriel potrafi czytać ze mnie jak z księgi. A może nie jestem najlepszą aktorką. Wieczorem, gdy szykowaliśmy się do snu, powiedział, że przez całą wizytę Maxa byłam jakaś dziwna.

– Jestem zmęczona.

– Nie. To było coś więcej. Nie było cię z nami. Mogłabyś się bardziej postarać. Prawie się z nim nie spotykamy. Nie wiem, dlaczego masz z nim taki problem.

– Nie mam. To nie miało związku z Maxem. Byłam rozkojarzona, bo myślałam o pracy. Nie wyrabiam się przed wystawą i tylko o tym myślę – powiedziałam to z największym przekonaniem, na jakie było mnie stać.

Gabriel spojrzał na mnie z powątpiewaniem, ale dał mi spokój – na razie. Będę musiała się z tym zmierzyć po kolejnej wizycie Maxa lecz coś mi podpowiada, że nie nastąpi ona szybko.

Czuję się lepiej, gdy to napisałam. Jakby bezpieczniej po tym, jak przelałam to na papier. To znaczy, że mam jakiś dowód.

Jeżeli kiedykolwiek do tego dojdzie.

26 lipca

Dzisiaj mam urodziny. Kończę trzydzieści trzy lata.

To dziwne – nie przypuszczałam, że przeżyję tyle lat; wykraczało to poza możliwości mojej wyobraźni. Przeżyłam swoją matkę. To we mnie budzi niepewne uczucia, ten fakt, że jestem starsza od niej. Przeżyła trzydzieści dwa lata, a potem przestała istnieć. A ja ją przeżyłam i nie przestanę istnieć. Będę się starzeć coraz bardziej – a ona nie.

Gabriel był dzisiaj rano taki uroczy – obudził mnie pocałunkami i podarował mi trzydzieści trzy czerwone róże. Były piękne. Ukłuł się kolcem. Na palcu zebrała się krwistoczerwona kropla. Idealna.

A potem zabrał mnie w ramach śniadania na piknik na wrzosowisku. Słońce dopiero co wstało, więc upał był do zniesienia. Od wody wiał chłodny wiatr, a powietrze pachniało skoszoną trawą. Leżeliśmy nad stawem pod wierzbą płaczącą, na błękitnym kocu kupionym w Meksyku. Gałęzie wierzby układały się nad nami w baldachim i promienie słońca przesączały się mgiełką przez liście. Piliśmy szampana i jedliśmy słodkie pomidorki z wędzonym łososiem i kawałkami pieczywa. Gdzieś z tyłu głowy miałam wrażenie, że już coś takiego widziałam, nachodziło mnie poczucie déjà vu, którego nie potrafiłam zlokalizować. Być może było to tylko wspomnienie opowieści z dzieciństwa, bajek o magicznych drzewach będących przejściami do innych światów. A może coś bardziej prozaicznego. Wtem wróciło do mnie wspomnienie.

Ujrzałam siebie bardzo młodą siedzącą pod gałęziami wierzby w naszym ogrodzie w Cambridge. Ukrywałam się tam godzinami. Może nie byłam szczęśliwym dzieckiem, ale w czasie, który spędzałam pod wierzbą, czułam podobne zadowolenie jak teraz, kiedy leżałam tu z Gabrielem. Odniosłam wrażenie, że przeszłość i teraźniejszość współistnieją w jednej doskonałej chwili. Chciałam, by owa chwila trwała wiecznie. Gabriel zasnął, a ja go szkicowałam

i próbowałam uchwycić plamy słońca na jego twarzy. Tym razem oczy lepiej mi wyszły. Zadanie ułatwił mi fakt, że były zamknięte – ale przynajmniej oddałam właściwie ich kształt. Gabriel kojarzył się z małym chłopcem skulonym we śnie i oddychającym łagodnie, z okruszkami chleba na ustach.

Zwinęliśmy piknik, wróciliśmy do domu i kochaliśmy się. Gabriel tulił mnie w objęciach i powiedział coś zdumiewającego.

– Alicio, kochanie, posłuchaj. Chodzi mi po głowie coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

Powiedział to tak, że natychmiast się zdenerwowałam. Przygotowałam się na najgorsze.

– Mów.

– Chciałbym, żebyśmy mieli dziecko.

Odezwałam się dopiero po chwili. Tak mnie zaskoczył, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Ale… nie chciałeś mieć dzieci. Powiedziałeś…

– Zapomnij o tym. Chcę, żebyśmy mieli dziecko. No? Co ty na to?

Gabriel patrzył na mnie z nadzieją, niecierpliwie, czekając na odpowiedź. Poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

– Tak – powiedziałam. – Tak, tak, tak…

Obejmowaliśmy się, płakaliśmy i śmialiśmy.

On teraz leży w łóżku i śpi. Musiałam się wymknąć, żeby to wszystko napisać – chcę pamiętać ten dzień do końca życia. Każdą jego sekundę.

Czuję radość. Rozpiera mnie nadzieja.

14

Wracałem myślami do tego, co powiedział Max Berenson – do próby samobójczej Alicii, którą podjęła po śmierci ojca. W jej aktach nie było o tym wzmianki i zastanawiałem się dlaczego.

Zadzwoniłem do Maxa następnego dnia. Złapałem go, gdy wychodził z gabinetu.

– Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań, jeśli pan pozwoli.

– Dosłownie stoję w progu.

– To nie potrwa długo.

Max westchnął, zasłonił słuchawkę i powiedział coś niewyraźnie do Tanyi.

– Pięć minut – rzucił. – Więcej panu nie poświęcę.

– Dzięki, doceniam to. Wspomniał pan o próbie samobójczej Alicii. Zastanawiam się, w którym szpitalu ją leczono.

– Nie była w szpitalu.

– Nie?

– Nie. Dochodziła do siebie w domu. Brat się nią opiekował.

– Na pewno widział ją jakiś lekarz. Mówił pan, że przedawkowała, czy tak?

– Tak. I oczywiście Gabriel wezwał lekarza do domu. A on, lekarz, zgodził się nic nie mówić.

– Co to był za lekarz? Pamięta pan jego nazwisko?

Zapadło milczenie. Max się zastanawiał.

– Przykro mi, nie powiem panu. Nie mogę sobie przypomnieć.

– To był ich lekarz rodzinny?

– Na pewno nie. Mieliśmy tego samego lekarza rodzinnego. I pamiętam, że Gabriel prosił mnie, żebym mu o niczym nie wspominał.

– I nie przypomni pan sobie tego nazwiska?

– Przykro mi. To wszystko? Muszę już iść.

– Jeszcze jedno. Jestem ciekaw, jakie były warunki testamentu Gabriela.

Max wciągnął powietrze i natychmiast zaostrzył ton.

– Testamentu? Nie widzę żadnego związku…

– Czy Alicia była jego głównym beneficjentem?

– Przyznam, że jest to dość dziwne pytanie.

– Próbuję zrozumieć…

– Co pan próbuje zrozumieć? To ja byłem głównym beneficjentem – dodał Max, nie czekając na moją odpowiedź. Brzmiał na zirytowanego. – Alicia odziedziczyła spore pieniądze po ojcu, więc Gabriel uznał, że jest zabezpieczona. Dlatego większą część nieruchomości pozostawił mnie. Oczywiście nie miał pojęcia, że osiągnie taką wartość po jego śmierci. To wszystko?

– A testament Alicii? Kto będzie po niej dziedziczył?

– Tego – powiedział Max stanowczo – nie mogę panu powiedzieć. I naprawdę mam nadzieję, że będzie to nasza ostatnia rozmowa.

Rozłączył się bez pożegnania. Coś mi jednak mówiło, że to nie były ostatnie słowa Maxa Berensona.

Nie musiałem długo czekać.

Diomedes wezwał mnie do gabinetu po lunchu. Spojrzał na mnie, gdy wszedłem, ale się nie uśmiechnął.

– Co się z tobą dzieje?

– Ze mną?

– Nie udawaj idioty. Wiesz, kto do mnie dzwonił dzisiaj rano? Max Berenson. Podobno kontaktowałeś się z nim dwukrotnie i zadawałeś mnóstwo osobistych pytań.

– Prosiłem go o informacje na temat Alicii. Nie wydawał się niezadowolony.

– To już jest niezadowolony. Nazwał to napaścią.

– Daj spokój…

– Grymaszący adwokat to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy. Wszystkie twoje działania mają odbywać się w obrębie szpitala i pod moim nadzorem. Zrozumiano?

Byłem wściekły, ale przytaknąłem. Gapiłem się na podłogę jak nadąsany nastolatek. Diomedes zareagował stosownie do tego i poklepał mnie po ojcowsku po ramieniu.

– Theo, dam ci pewną radę. Podchodzisz do tego ze złej strony. Zadajesz pytania, szukasz wskazówek, jakby to była jakaś zagadka kryminalna. – Zaśmiał się i pokręcił głową. – W ten sposób do tego nie dojdziesz.

– Do czego?

– Do prawdy. Pamiętaj Biona: „bez pamięci, bez pragnień”. Żadnego planu. Twoim jedynym celem jako terapeuty jest być obecnym i wyczulonym na swoje uczucia w czasie przebywania z nią. To ci wystarczy. Reszta sama zajmie się sobą.

– Wiem – powiedziałem. – Masz rację.

– Owszem, mam. I nie chcę słyszeć, że składasz wizyty jakimś kolejnym krewnym Alicii, zrozumiano?

– Masz moje słowo.

15

Tego wieczoru pojechałem do Cambridge, żeby odwiedzić kuzyna Alicii, Paula Rose'a.

Gdy pociąg zbliżał się do dworca, teren zrobił się bardziej płaski, a pola zalewało zimne niebieskie światło. Cieszyłem się, że wyrwałem się z Londynu – niebo było tu mniej przytłaczające i mogłem swobodniej oddychać.

Wysiadłem z pociągu wraz z rzeszą studentów i turystów. Posługiwałem się mapą w telefonie. Na ulicach było cicho, słyszałem własne kroki odbijające się echem od chodnika. Droga nagle się skończyła. Przed sobą widziałem nieużytki, błotnistą ziemię i trawę, a za nimi rzekę.

Nad rzeką stał tylko jeden dom. Nieustępliwy i imponujący, jak wielka czerwona cegła rzucona w błoto. To był ohydny budynek, wiktoriański potwór. Jego ściany porastał bluszcz, w ogrodzie panoszyły się rośliny, głównie chwasty. Odniosłem wrażenie, że natura próbuje odzyskać terytorium, które do niej kiedyś należało. To w tym domu urodziła się Alicia. Tutaj spędziła pierwsze osiemnaście lat życia. Pośród tych ścian kształtowała się jej osobowość – korzenie jej dorosłego życia, wszystkie cele i późniejsze wybory wywodziły się stąd. Czasami trudno jest pojąć, że odpowiedzi dla teraźniejszości leżą w przeszłości. Może w tym pomóc prosta analogia: wiodący psychiatra zajmujący się nadużyciami seksualnymi powiedział mi kiedyś, że w ciągu trzydziestu lat pracy z pedofilami nigdy nie poznał takiego, który by nie został wykorzystany w dzieciństwie. To nie znaczy, że wszystkie wykorzystywane dzieci wyrastają na zboczeńców; niemniej nie jest możliwe, by ktoś, kto nie był wykorzystywany, wykorzystywał innych. Nikt nie rodzi się zły. Jak ujął to Winnicott: „Dziecko nie może nienawidzić matki, jeśli matka nie nienawidziła go jako pierwsza". Jako dzieci jesteśmy niewinnymi gąbkami, czystymi tabliczkami – mamy tylko podstawowe potrzeby jedzenia,

załatwiania się, kochania i bycia kochanymi. Coś jednak może pójść nie tak i zależy od okoliczności, w jakich się urodziliśmy, i domu, w jakim się wychowaliśmy. Udręczone wykorzystywane dziecko nie zdoła się nigdy zemścić w rzeczywistości, bo jest bezradne i bezbronne, ale może – i musi – fantazjować o zemście. Wściekłość, podobnie jak strach, ma naturę reaktywną. Coś spotkało Alicię, prawdopodobnie we wczesnym dzieciństwie, co po tylu latach obudziło w niej mordercze instynkty. Cokolwiek ją sprowokowało – nie każdy byłby gotów chwycić pistolet i strzelić Gabrielowi w twarz – większość ludzi by się na to nie zdobyła. Fakt, że Alicia się tego dopuściła, sugeruje coś szalonego w jej wewnętrznym świecie. I dlatego tak ważne było, abym zrozumiał, jak wyglądało jej życie w tym domu, jakie wydarzenia ją ukształtowały, uczyniły ją taką, a nie inną osobą – zdolną do zabójstwa.

Zapuściłem się głębiej w zarośnięty ogród, przedzierałem się przez chwasty i dzikie kwiaty i szedłem wzdłuż ściany szczytowej domu. Z tyłu rosła duża wierzba płacząca – piękne drzewo, majestatyczne, o długich nagich gałęziach muskających ziemię. Wyobraziłem sobie Alicię bawiącą się w dzieciństwie przy tym drzewie, w magicznym świecie pod jego konarami. Uśmiechnąłem się.

Wtem poczułem się skrępowany. Czułem na sobie czyjś wzrok.

Spojrzałem na dom. W oknie na piętrze zobaczyłem twarz. Ohydną twarz starej kobiety przyciśniętą do szyby i patrzącą prosto na mnie. Przeszył mnie dziwny, niewytłumaczalny dreszcz strachu.

Nie usłyszałem kroków za sobą, a kiedy było już za późno, poczułem ciężkie łupnięcie i przeszywający ból z tyłu głowy.

I wszystko spowiła czerń.

16

Obudziłem się na twardej zimnej ziemi. Leżałem na plecach. W pierwszej kolejności poczułem ból. Pulsował mi w skroniach, kłuł mnie, jakbym miał pękniętą czaszkę. Podniosłem rękę i ostrożnie dotknąłem tyłu głowy.

– Nie ma krwi – odezwał się głos. – Ale jutro pojawi się paskudny siniak. Że już nie wspomnę o bólu głowy.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem Paula Rose'a. Stał nade mną z kijem baseballowym w dłoni. Był mniej więcej w moim wieku, ale wyższy, a przy tym szeroki. Miał chłopięcą twarz i burzę rudych włosów, w takim samym kolorze jak Alicia. Cuchnął whiskey.

Próbowałem usiąść, ale mi się to nie udało.

– Lepiej chwilę poleżeć. I dojść do siebie.

– Chyba mam wstrząśnienie mózgu.

– Możliwe.

– Dlaczego pan to, do cholery, zrobił?

– A czego się pan spodziewał, kolego? Myślałem, że jest pan włamywaczem.

– Nie jestem. – Teraz już to wiem. Przejrzałem pańskie dokumenty. Jest pan psychoterapeutą.

Sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągnął portfel i rzucił mi go. Wylądował mi na klatce piersiowej. Sięgnąłem po niego.

– Widziałem pańską przepustkę – powiedział. – Pracuje pan w szpitalu The Grove?

Przytaknąłem i od razu łupnęło mi w czaszce.

– Tak.

– W takim razie wie pan, kim jestem.

– Kuzynem Alicii?

– Paul Rose. – Wyciągnął rękę. – Pomogę panu wstać.

Postawił mnie na nogi z zaskakującą łatwością. Był silny. Chwiałem się.

– Mógł mnie pan zabić – burknąłem.

Paul wzruszył ramionami.

– A pan mógł być uzbrojony. Wtargnął pan na teren prywatny. Czego się pan spodziewał? Po co pan tu przyjechał?

– Żeby się z panem zobaczyć. – Skrzywiłem się z bólu. – Już tego żałuję.

– Posiedź pan przez chwilę.

Za bardzo cierpiałem, żeby nie pójść tam, dokąd mnie prowadził. W głowie mi pulsowało przy każdym kroku. Weszliśmy do domu tylnymi drzwiami.

Wnętrze prezentowało się tak samo kiepsko jak podwórko. Na ścianach w kuchni zobaczyłem geometryczny pomarańczowy wzór mniej więcej sprzed czterdziestu lat. Tapeta łuszczyła się ze ściany całymi płatami; poskręcana, powywijana i poczerniała przy krawędziach, jakby się tliła. Truchła owadów wisiały na pajęczynach w rogach pod sufitem. Kurzu na podłodze leżało tyle, że wyglądał jak brudny dywan. Woń kocich siusiek sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. Naliczyłem w kuchni co najmniej pięć kotów – spały na krzesłach i blatach. Na podłodze walały się otwarte plastikowe worki, z których wypadały cuchnące puszki po kocim jedzeniu.

– Siadaj – odezwał się Paul. – Zrobię herbatę.

Oparł kij baseballowy o ścianę przy drzwiach. Zerkałem na niego. Nie czułem się bezpiecznie w jego pobliżu.

Paul podał mi wyszczerbiony kubek pełen herbaty.

– Wypij to – polecił.

– Masz coś przeciwbólowego?

– Mam gdzieś aspirynę. Będę musiał poszukać. Proszę… – Podniósł butelkę whiskey. – To pomoże.

Nalał trochę trunku do kubka. Pociągnąłem łyk. Herbata była gorąca, słodka i mocna. Nastała chwila ciszy, kiedy Paul pił herbatę i przyglądał mi się – przypomniała mi się Alicia i to jej przeszywające spojrzenie.

– Jak ona się miewa? – spytał w końcu. I zanim zdążyłem odpowiedzieć, kontynuował: – Nie byłem u niej. Nie jest mi łatwo się wyrwać. Mama kiepsko się czuje. Nie lubię zostawiać jej samej.

– Rozumiem. Kiedy widziałeś Alicię ostatnio?

– Lata temu. Krótko. Straciliśmy ze sobą kontakt. Byłem na ich ślubie i widziałem ją potem jeszcze kilka razy, ale… Gabriel był dość zaborczy, jak myślę. Przestała dzwonić, gdy wyszła za mąż. Przestała nas odwiedzać. Mama czuła się urażona, jeśli mam być szczery.

Nie odzywałem się. Nie mogłem myśleć, tak mi pulsowało w głowie. Czułem, że Paul mnie obserwuje.

– Po co chciałeś się ze mną spotkać? – spytał.

– Mam kilka pytań… Chciałem zapytać o Alicię. O… jej dzieciństwo.

Paul przytaknął i nalał sobie do kubka więcej whiskey. Wydawało się, że się rozluźnił; alkohol działał też na mnie, osłabił ból i myślało mi się trochę lepiej. Nie zejdź z kursu, upomniałem się. Zdobądź jakieś fakty. A potem wynoś się stąd.

– Dorastaliście razem?

Paul przytaknął.

– Wprowadziliśmy się tu z mamą, kiedy tata umarł. Miałem osiem lub dziewięć lat. Mieliśmy tu mieszkać tylko przez jakiś czas, ale potem matka Alicii zginęła w wypadku… Więc mama została, żeby zaopiekować się Alicią i wujkiem Vernonem.

– Vernonem Rose'em? Ojcem Alicii?

– Tak.

– Vernon zmarł tutaj kilka lat temu?

– Tak. Kilka lat temu. – Ściągnął brwi. – Zabił się. Powiesił. Na górze, na strychu. Znalazłem ciało.

– To musiało być okropne.

– Owszem. Najbardziej przeżyła to Alicia. Zdaje się, że wtedy widziałem ją po raz ostatni. Na pogrzebie wujka Vernona. Była w kiepskim stanie. – Paul wstał. – Napijesz się jeszcze?

Próbowałem odmówić, ale on mówił dalej i wlał mi więcej whiskey.

– Nigdy w to nie wierzyłem. Że zabiła Gabriela. To nie miało sensu.

– Dlaczego?

– W ogóle taka nie była. Nigdy nie była agresywna.

Teraz już jest, pomyślałem. Ale nic nie powiedziałem. Paul sączył trunek.

– Nadal nic nie mówi?

– Wciąż się nie odzywa.

– To nie ma sensu. Nic z tego nie ma sensu. Według mnie…

Przeszkodziło nam dudnienie. Ktoś walił w podłogę na piętrze. Dało się słyszeć zniekształcony kobiecy głos, ale słowa były niezrozumiałe.

Paul zerwał się na równe nogi.

– Sekundkę – rzucił i wyszedł z kuchni. Popędził ku schodom. – Wszystko w porządku, mamo? – spytał głośno.

Nie zrozumiałem bełkotliwej odpowiedzi z góry.

– Słucham? A tak. Chwileczkę. – Paul wydawał się skrępowany. Zerknął na mnie ze ściągniętymi brwiami. Przywołał mnie ruchem głowy. – Chce, żebyś wszedł na górę.

17

Stałem już mocniej na nogach, ale wciąż było mi niedobrze. Ruszyłem po zakurzonych schodach za Paulem.

Lydia Rose czekała na górze. Rozpoznałem wykrzywioną twarz z okna. Kobieta miała długie siwe włosy opadające na ramiona jak pajęczyna. Miała też potworną nadwagę – napuchniętą szyję, masywne przedramiona, nogi jak pnie drzew. Opierała się ciężko na lasce, która uginała się pod jej ciężarem, jakby miała w każdej chwili pęknąć.

– Kto to jest? Kto to jest?

Piskliwe pytanie było skierowane do Paula, chociaż kobieta patrzyła na mnie. Nie odrywała ode mnie wzroku. To było znowu to samo spojrzenie co u Alicii.

Paul odezwał się cicho:

– Mamo, nie denerwuj się. To terapeuta Alicii. Ze szpitala. Przyjechał ze mną porozmawiać.

– Z tobą? A o czym chce rozmawiać? Co zrobiłeś?

– Chce się dowiedzieć czegoś o Alicii.

– To dziennikarz, ty pieprzony idioto. – Jej głos przeszedł w pisk. – Wyrzuć go!

– To nie jest dziennikarz. Widziałem jego przepustkę. Mamo, proszę, wróć do łóżka.

Burcząc coś, kobieta pozwoliła się zaprowadzić z powrotem do sypialni.

Paul dał mi znak, żebym szedł za nim.

Lydia opadła na łóżko z głośnym łoskotem. Mebel zachwiał się pod jej ciężarem. Paul poprawił jej poduszki. W nogach spał stary jak świat kot. Najohydniejszy, jakiego widziałem – poznaczony bliznami, plackami łysiny, z odgryzionym uchem. Warczał przez sen.

Rozejrzałem się po pokoju. Pełno w nim było śmieci: sterty starych czasopism i pożółkłych gazet, starych ubrań. Pod ścianą stał

zbiornik z tlenem, na szafce nocnej pudełko po ciastkach wypełnione lekarstwami.

Przez cały czas czułem na sobie wrogie spojrzenie Lydii. Zabarwione obłędem, tego byłem pewien.

– Czego on chce? – spytała. Jej wzrok przesuwał się po mnie gorączkowo w górę i w dół. – Kto to jest?

– Już ci mówiłem. Chce poznać przeszłość Alicii, żeby jej pomóc. Jest jej psychoterapeutą.

Lydia nie pozostawiła mi żadnej wątpliwości co do jej opinii o psychoterapeutach. Odwróciła głowę, odchrząknęła i splunęła na podłogę tuż przede mną.

Paul jęknął.

– Mamo, proszę…

– Milcz. – Lydia patrzyła na mnie gniewnie. – Alicia nie zasługuje na to, by być w szpitalu.

– Nie? – odezwałem się. – A gdzie powinna przebywać?

– A jak pan myśli? W więzieniu. – Lydia popatrzyła na mnie karcącym wzrokiem. – Chce się pan o niej czegoś dowiedzieć? To mała suka. Zawsze taka była, nawet jako dziecko.

Słuchałem, a w głowie mi pulsowało. Lydia mówiła dalej, z coraz większą złością.

– Mój biedny brat Vernon. Nigdy nie doszedł do siebie po śmierci Evy. Zaopiekowałam się nim. Zaopiekowałam się Alicią. I jak mi się za to odwdzięczyła?

Było jasne, że nie liczyła na odpowiedź. I nie czekała na nią.

– Wie pan, jak mi się odpłaciła? Za całą moją dobroć? Wie pan, jak mnie potraktowała?

– Mamo, proszę…

– Zamknij się, Paul! – Lydia odwróciła się do mnie. Zaskoczył mnie ładunek złości w jej głosie. – Ta suka mnie namalowała. Namalowała mnie bez mojej wiedzy lub pozwolenia. Poszłam na jej wystawę i zobaczyłam siebie. Wstrętną, obrzydliwą, obscenicznie wykpioną.

Lydia drżała z wściekłości, a Paul wydawał się zatroskany. Popatrzył na mnie zbolałym wzrokiem.

– Może będzie lepiej, jeśli sobie pójdziesz, kolego. Mama nie powinna się tak denerwować.

Przytaknąłem. Lydia Rose nie była w najlepszym stanie, co do tego nie miałem wątpliwości. Uciekłem stamtąd z ogromną ochotą.

Wyszedłem z domu i ruszyłem na dworzec z opuchniętą głową rozsadzaną bólem. Co za pieprzona strata czasu. Niczego się nie dowiedziałem – oprócz tego, że stało się jasne, dlaczego Alicia uciekła stamtąd jak najprędzej. Skojarzyło mi się to z moją ucieczką z domu w wieku osiemnastu lat, ucieczką od ojca. I oczywiste było, przed kim Alicia uciekała – przed Lydią Rose.

Pomyślałem o obrazie Lydii namalowanym przez Alicię. Kobieta uznała, że została obscenicznie wykpiona. Pora odwiedzić galerię z dziełami Alicii i dowiedzieć się, dlaczego obraz tak rozjuszył ciotkę.

Gdy wyjeżdżałem z Cambridge, pomyślałem o Paulu. Było mi go żal, bo musiał żyć z tą potworną kobietą i być jej nieopłacanym służącym. Wiódł samotne życie – nie wyobrażałem sobie, żeby miał wielu przyjaciół. Albo dziewczynę. Wręcz nie zdziwiłbym się, gdyby nadal okazał się prawiczkiem. Wydawał się pod pewnym względem upośledzony, coś utrudniało mu rozwój.

Natychmiast i gwałtownie znielubiłem Lydię – prawdopodobnie dlatego, że kojarzyła mi się z ojcem. Skończyłbym jak Paul, gdybym został w domu, gdybym został z rodzicami w Surrey, na posyłki szaleńca.

W drodze do Londynu czułem przygnębienie i zmęczenie; byłem bliski łez. Nie potrafiłem stwierdzić, czy ten smutek należał do Paula, czy do mnie.

18

Gdy wróciłem, Kathy nie było w domu.

Otworzyłem jej laptopa i próbowałem dobrać się do poczty, ale bez powodzenia. Wylogowała się.

Musiałem pogodzić się z możliwością, że już nigdy nie powtórzy swojego błędu. Będę sprawdzał do znudzenia, stanie się to moją obsesją, doprowadzę się do obłędu? Miałem wystarczająco wysoką samoświadomość, żeby dostrzec, jaki zrobiłem się banalny – zazdrosny mąż – a ironia, że Kathy brała obecnie udział w próbach jako Desdemona w *Otellu*, nie umknęła mojej uwadze.

Trzeba było przesłać te mejle do siebie tamtego wieczoru, kiedy je przeczytałem. Miałbym wówczas fizyczny dowód. Popełniłem błąd. Zacząłem nawet kwestionować to, co widziałem. Czy można było ufać mojej pamięci? Byłem przecież potwornie naćpany – może coś źle zrozumiałem? Zorientowałem się, że tworzę teorie nie z tej ziemi, byle udowodnić niewinność Kathy. Może to było jakieś aktorskie ćwiczenie – wczuwała się w rolę w ramach przygotowywania się do gry w *Otellu*? Gdy szykowała się do *All My Sons*, przez sześć tygodni mówiła z amerykańskim akcentem. Być może działo się tu coś podobnego. Tylko że mejle podpisywała jako Kathy, a nie Desdemona.

Gdybym sobie to wszystko wyobraził, mógłbym o tym zapomnieć, tak jak zapomina się o śnie – obudziłbym się i obraz by zbladł. Tymczasem tkwiłem w więzieniu niemającego końca koszmaru braku zaufania, podejrzliwości i paranoi. Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Nadal chodziliśmy na wspólny spacer w niedzielę. Wyglądaliśmy jak każda inna para w parku. Może milczeliśmy dłużej niż zwykle, ale nie budziło to dyskomfortu. Pod osłoną milczenia w mojej głowie odbywała się jednak gorączkowa rozmowa z samym sobą. Odgrzewałem milion pytań. Dlaczego to zrobiła? Jak mogła? Po co mówiła, że mnie kocha, potem wyszła za mnie, pieprzyła się ze mną i spała w jednym łóżku, a potem

okłamywała w żywe oczy, rok po roku? Od jak dawna to trwa? Czy kochała tamtego mężczyznę? Zamierzała do niego odejść?

Kilkakrotnie przejrzałem jej telefon, kiedy była pod prysznicem, szukałem esemesów, ale niczego nie znalazłem. Jeśli dostawała jakieś obciążające ją wiadomości, usuwała je. Najwyraźniej nie była głupia. Tylko zdarzyło jej się być nieostrożną.

Możliwe, że nigdy nie dowiem się prawdy. Mogę jej nigdy nie poznać.

I w pewnym sensie taką miałem nadzieję.

Kathy zerknęła na mnie, gdy siedzieliśmy na kanapie po spacerze.

– Dobrze się czujesz?

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Wydajesz się wykończony.

– Dzisiaj?

– Nie tylko dzisiaj. Ostatnio.

Nie patrzyłem jej w oczy.

– To przez pracę. Mam sporo na głowie.

Kathy przytaknęła. Ze współczuciem ścisnęła moją dłoń. Była dobrą aktorką. Mógłbym prawie uwierzyć, że się przejmowała.

– A jak twoje próby? – spytałem.

– Lepiej. Tony ma kilka fajnych pomysłów. W przyszłym tygodniu będziemy pracowali do późna, żeby je wypróbować.

– Rozumiem.

Nie wierzyłem już w żadne jej słowo. Analizowałem każde zdanie, jakbym analizował wypowiedzi pacjenta. Doszukiwałem się podtekstów, czytałem między wierszami z pozawerbalnych wskazówek – subtelnych błędów fleksyjnych, uników, pominięć. Kłamstw.

– Jak się miewa Tony? – zainteresowałem się.

– Dobrze – odparła ze wzruszeniem ramion, by zasugerować, że jej to ani trochę nie interesuje.

Nie wierzyłem w to. Idealizowała Tony'ego, swojego reżysera, i zawsze o nim mówiła – przynajmniej niegdyś, bo ostatnio rzadko o nim wspominała. Rozmawiali o sztukach, grze, teatrze – świecie, na którym się nie znałem. Słyszałem o Tonym wiele, ale tylko raz widziałem go przelotnie, gdy poszedłem po Kathy po próbie.

Zdziwiło mnie, że nas sobie nie przedstawiła. Facet miał żonę, aktorkę. Wyczuwałem, że Kathy za nią nie przepadała. Może jego żona była zazdrosna o ich związek tak samo jak ja. Zaproponowałem, żebyśmy się wybrali w czwórkę na kolację, ale Kathy nie podchwyciła pomysłu. Czasami zastanawiałem się, czy nie starała się nas odseparować.

Przyglądałem się, jak otwiera laptopa. Ustawiła go tak, żebym nie widział nic na monitorze. Słyszałem stukanie klawiatury. Do kogo pisała? Do Tony'ego?

– Co robisz? – spytałem i ziewnąłem.

– Piszę do kuzynki. Jest w Sydney.

– Tak? Pozdrów ją ode mnie.

– Dobrze.

Pisała jeszcze przez chwilę, po czym odstawiła laptop.

– Pójdę się wykąpać.

Kiwnąłem głową.

– Okej.

Popatrzyła na mnie rozbawiona.

– Rozchmurz się, kochanie. Na pewno nic ci nie jest?

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem. Wstała i wyszła. Poczekałem do chwili, aż zamknęła za sobą drzwi łazienki i odkręciła kran. Przesunąłem się na jej miejsce na kanapie. Sięgnąłem po laptopa. Otworzyłem go drżącymi palcami. Uruchomiłem przeglądarkę i przeszedłem na stronę jej poczty.

Wylogowała się.

Odepchnąłem laptopa zdegustowany. To się musi kiedyś skończyć. Przecież to doprowadzi mnie do obłędu. A może już oszalałem?

Kiedy leżałem w łóżku i naciągałem na siebie kołdrę, Kathy weszła do sypialni ze szczoteczką do zębów w ustach.

– Zapomniałam ci powiedzieć. Nicole wraca w przyszłym tygodniu do Londynu.

– Nicole?

– Chyba ją pamiętasz? Byliśmy na jej imprezie pożegnalnej.

– A, tak. Wydawało mi się, że przeprowadziła się do Nowego Jorku.

– Owszem. Ale wróciła. – Chwila milczenia. – Chce, żebym spotkała się z nią w czwartek.… W czwartek wieczorem, po próbie.

Nie wiem, co obudziło moje podejrzenia. Może to, że Kathy patrzyła w moim kierunku, ale unikała kontaktu wzrokowego? Wyczułem, że kłamie. Nic nie powiedziałem. Ona też nie. Zniknęła za drzwiami. Słyszałem, jak się krząta w łazience, wypluwa pastę i płucze usta.

Być może to nic groźnego. Może to było coś niewinnego i Kathy rzeczywiście zamierzała spotkać się w czwartek z Nicole.

Być może.

Mogłem to sprawdzić tylko w jeden sposób.

19

Tym razem przed galerią nie wiła się kolejka jak tamtego dnia przed sześcioma laty, gdy poszedłem obejrzeć *Alkestis*. W oknie wystawowym zawieszono pracę innego artysty – i choć był utalentowany, brakowało mu sławy Alicii, która przyciągała tłumy.

Wszedłem do środka i wzdrygnąłem się; było tu jeszcze zimniej niż na ulicy. W atmosferze też panowało coś lodowatego; pachniało tu gołymi stalowymi belkami i betonową podłogą. Ta przestrzeń wydała mi się bezduszna. Pusta.

Właściciel galerii siedział za biurkiem. Wstał, gdy do niego podszedłem.

Jean-Felix Martin był przystojnym mężczyzną krótko po czterdziestce, z czarnymi oczami i włosami, ubranym w obcisłą koszulkę z wizerunkiem czerwonej czaszki. Powiedziałem mu, kim jestem i dlaczego przyszedłem. Ku mojemu zaskoczeniu wydawał się z chęcią rozmawiać o Alicii. Mówił z lekkim akcentem. Zapytałem, czy jest Francuzem.

– Oryginalnym. Prosto z Paryża. Mieszkam tu jednak od czasu studiów, przynajmniej od dwudziestu lat. Obecnie bardziej czuję się Brytyjczykiem. – Uśmiechnął się i machnął ręką w stronę zaplecza. – Zapraszam. Napijemy się kawy. – Dzięki.

Jean-Felix zaprowadził mnie do gabinetu, który przypominał raczej magazyn zapełniony stojącymi obrazami.

– Jak się miewa Alicia? – spytał, obsługując wyglądający na skomplikowany ekspres do kawy. – Nadal się nie odzywa?

Pokręciłem głową.

– Milczy.

Przytaknął i westchnął.

– Jakie to smutne. Może pan usiądzie? Co chce pan wiedzieć? Postaram się odpowiadać zgodnie z prawdą. – Posłał mi figlarny uśmieszek zaprawiony ciekawością. – Chociaż nie do końca wiem, dlaczego pan tu przyszedł.

– Byliście z Alicią zżyci, prawda? Nie tylko z racji kontaktów zawodowych…

– Kto tak powiedział?

– Brat Gabriela, Max Berenson. Zasugerował, żebym z panem porozmawiał.

Jean-Felix wywrócił oczami.

– Widział się pan z Maxem? Co za nudziarz.

Powiedział to z takim potępieniem w głosie, że musiałem się zaśmiać.

– Zna pan Maxa Berensona?

– Dość dobrze. Lepiej, niżbym chciał. – Podał mi małą filiżankę kawy. – Byliśmy z Alicią bardzo zżyci. Bardzo. Znamy się od lat. Znaliśmy się na długo przed tym, jak poznała Gabriela.

– Nie wiedziałem.

– O tak. Studiowaliśmy razem. Po studiach razem malowaliśmy.

– Wspólne obrazy?

– Niezupełnie. – Jean-Felix się zaśmiał. – Malowaliśmy ściany. Pracowaliśmy jako malarze pokojowi.

Uśmiechnąłem się.

– Rozumiem.

– Okazało się, że w tym jestem lepszy niż w malowaniu obrazów. Poddałem się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Alicia zaczęła się naprawdę rozwijać. A gdy otworzyłem tę galerię, wydało mi się sensowne, żeby prezentować dzieła Alicii. Był to bardzo naturalny, organiczny proces.

– Na to wygląda. Jak było z Gabrielem?

– Nie rozumiem.

Wyczułem, że się najeżył; jego defensywna reakcja podpowiedziała mi, że warto pójść tym torem.

– Zastanawiam się, jak on pasował do tego układu. Prawdopodobnie dobrze go pan znał?

– Niezupełnie.

– Nie?

– Nie. – Jean-Felix wahał się przez chwilę. – Gabriel nie poświęcił czasu na to, by mnie poznać. Był bardzo… zaabsorbowany sobą.

– Odnoszę wrażenie, że pan za nim nie przepadał.

– Nie za bardzo. Uważam, że mnie nie lubił. Nawet to wiem.

– A dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Myśli pan, że był zazdrosny? O pański związek z Alicią?

Jean-Felix sączył kawę i kiwał głową.

– Tak, tak. Możliwe.

– Uważał pana za zagrożenie?

– Niech pan mi to powie. Zdaje się, że zna pan wszystkie odpowiedzi.

Zrozumiałem aluzję i nie naciskałem na niego mocniej. Zastosowałem inne podejście.

– Widział się pan z Alicią na kilka dni przed zabójstwem?

– Tak. Odwiedziłem ją w jej domu.

– Może mi pan o tym opowiedzieć?

– Szykowała się do wystawy i miała opóźnienia. Martwiła się, i słusznie.

– Nie widział pan jej nowych prac?

– Nie. Zwodziła mnie całe wieki, dlatego postanowiłem do niej zajrzeć. Spodziewałem się, że będzie w pracowni w głębi ogrodu. Nie zastałem jej tam.

– Nie?

– Nie. Znalazłem ją w domu.

– Jak pan tam wszedł?

Jean-Felix wydawał się zaskoczony pytaniem.

– Słucham?

Widziałem, że zastanawia się nad odpowiedzią. Wtem skinął głową.

– Och, już rozumiem – rzekł. – Do ogrodu za domem można było wejść przez furtkę znajdującą się przy ulicy. Zwykle była otwarta. A z ogrodu wszedłem do kuchni tylnymi drzwiami. Też były otwarte. – Uśmiechnął się. – Bardziej mi się pan kojarzy z detektywem niż z psychiatrą.

– Jestem psychoterapeutą.

– To się czymś różni?

– Staram się zrozumieć stan psychiczny Alicii. Jak odebrał pan jej nastrój?

Jean-Felix wzruszył ramionami.

– Wydawała się czuć normalnie. Trochę się stresowała pracą.

– To wszystko?

– Nie wyglądała na kogoś, kto miałby za kilka dni zastrzelić męża, jeśli o to panu chodzi. Wydawała się czuć dobrze. – Dopił kawę i zawahał się, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl. – Chciałby pan zobaczyć jej obrazy? – I nie czekając na odpowiedź, wstał, wyszedł z pomieszczenia i pokazał mi, żebym szedł za nim. – Chodźmy.

20

Wszedłem za Jeanem-Felixem do magazynu. Podszedł do dużej skrzyni, otworzył wieko zamontowane na zawiasach i wyciągnął trzy obrazy owinięte kocami. Oparł je o ścianę. Ostrożnie odwinął każdy z nich. Odsunął się i zaprezentował pierwszy.

– Voilà.

Popatrzyłem na obraz. Cechowała go taka sama fotorealistyczna jakość jak pozostałe dzieła Alicii. Przedstawiał scenę wypadku samochodowego, w którym zginęła jej matka. Ciało kobiety znajdowało się we wraku, oparte o kierownicę. Było skrwawione i ewidentnie martwe. Jej dusza wychodziła z niego jak wielki ptak z żółtymi skrzydłami i szybowała ku niebu.

– Czyż nie jest wspaniały? – odezwał się Jean-Felix, wpatrzony w płótno. – Wszystkie te żółcie, czerwienie i zielenie… Można się w nich zatracić. Jest radosny.

Nie użyłbym tego słowa. Powiedziałbym może, że jest niepokojący. Nie byłem pewien uczuć, jakie we mnie budził.

Przeszedłem do drugiego obrazu. Przedstawiał Jezusa na krzyżu. Czyżby?

– To Gabriel – poinformował mnie Jean-Felix. – Świetne podobieństwo.

To był Gabriel, tylko że przedstawiony jako Jezus, ukrzyżowany, z krwią spływającą z ran i koroną cierniową na głowie. Nie spuścił wzroku, tylko patrzył na wprost – szeroko otwartymi oczami, udręczonymi, bezwstydnie pełnymi wyrzutów. Miałem wrażenie, że jego spojrzenie mnie pali. Przyjrzałem się obrazowi bliżej – i osobliwemu przedmiotowi przywiązanemu do jego tułowia. Pistoletowi.

– To z tego pistoletu go zabito?

Jean-Felix przytaknął.

– Tak, zdaje się, że należał do niego.

– Namalowała to przed zabójstwem?

– Mniej więcej miesiąc wcześniej. To pokazuje, co jej chodziło po głowie, prawda? – Jean-Felix przeszedł do trzeciego obrazu. To płótno było większe od pozostałych. – Ten jest najlepszy. Proszę się cofnąć, żeby lepiej widzieć.

Zrobiłem, co mi kazał, i odsunąłem się o kilka kroków. Następnie odwróciłem się, popatrzyłem na obraz i mimowolnie się zaśmiałem.

Przedstawiał ciotkę Alicii, Lydię Rose. Nie dziwiłem się już, dlaczego oburzył kobietę do tego stopnia. Lydia była naga i leżała na malutkim łóżku, które uginało się pod jej ciężarem. Była ogromnie, potwornie wręcz gruba – lawa z ciała wylewała się z łóżka, spływała na podłogę i rozchodziła się po całym pokoju, pomarszczona i pofalowana jak szare ciasto.

– Jezu – rzuciłem. – Ależ to okrutne.

– Według mnie urocze. – Jean-Felix przyjrzał mi się z zainteresowaniem. – Zna pan Lydię?

– Tak, odwiedziłem ją.

– Rozumiem – powiedział z uśmiechem. – Odrobił pan pracę domową. Nigdy nie poznałem Lydii. Alicia jej nienawidziła, wie pan?

– Tak – odparłem, wpatrzony w obraz. – Teraz to widzę.

Jean-Felix zaczął powoli owijać obrazy.

– A *Alkestis*? – zagaiłem. – Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście. Proszę za mną.

Jean-Felix zaprowadził mnie wąskim korytarzem do końca galerii. Tam *Alkestis* miała ścianę wyłącznie dla siebie. Obraz był tak piękny i tajemniczy, jak go zapamiętałem. Naga Alicia stała w pracowni przed pustym płótnem i malowała pędzlem ociekającym krwistoczerwoną farbą. Przyglądałem się jej twarzy. Wciąż wymykała się interpretacji. Ściągnąłem brwi.

– Nie sposób ją rozszyfrować.

– O to chodzi. Nie chce wygłosić komentarza. To jest obraz o milczeniu.

– Chyba nie rozumiem.

– W sercu każdego dzieła sztuki leży tajemnica. Milczenie Alicii jest jej tajemnicą, zagadką w religijnym tego słowa znaczeniu. To dlatego obraz nosi tytuł *Alkestis*. Czytał pan ten dramat Eurypidesa?

– Zerknął na mnie z zaciekawieniem. – Niech go pan przeczyta. Wówczas pan zrozumie.

Przytaknąłem – i wtedy spostrzegłem na obrazie coś, czego wcześniej nie widziałem. Pochyliłem się do przodu, żeby się bliżej przyjrzeć. Na stole w tle stała misa z owocami – jabłkami i gruszkami. Na czerwonych jabłkach widniały białe plamki – białe oślizgłe plamki pełzające po owocach i wijące się w nich. Wskazałem na nie.

– Czy to są…?

– Czerwie? Tak.

– Fascynujące. Jestem ciekaw, co oznaczają.

– Są fantastyczne. To jest arcydzieło. Naprawdę. – Jean-Felix westchnął i zerknął na mnie. Ściszył głos, jakby Alicia mogła nas usłyszeć. – Jaka szkoda, że jej pan wtedy nie znał. Była najbardziej interesującą osobą, jaką poznałem. Większość ludzi nie żyje tak naprawdę; kroczy przez życie jak lunatycy. Alicia zaś żyła intensywnie… Trudno było oderwać od niej wzrok. – Jean-Felix odwrócił głowę w stronę obrazu i przyjrzał się nagiemu ciału Alicii. – Była taka piękna.

Też na nią spojrzałem. Tam, gdzie Jean-Felix dostrzegał piękno, ja widziałem wyłącznie ból; widziałem rany i blizny po samookaleczeniach.

– Rozmawiała z panem kiedykolwiek o próbie samobójczej?

Zarzuciłem przynętę na oślep, a Jean-Felix ją pochwycił.

– Och, wie pan o tym? Tak, oczywiście.

– Po śmierci jej ojca?

– Kompletnie się załamała. – Przytaknął. – Prawda jest taka, że Alicia była ostro popieprzona. Nie jako artystka, ale jako człowiek, wyjątkowo bezbronna. Kiedy jej ojciec się powiesił, przerosło ją to. Nie umiała sobie poradzić.

– Pewnie bardzo go kochała.

Jean-Felix wydał z siebie zduszony śmiech. Popatrzył na mnie, jakbym był szaleńcem.

– O czym pan mówi?

– Jak to?

– Alicia go nie kochała. Nienawidziła ojca. Szczerze go nie znosiła.

Zaskoczył mnie.

– Powiedziała to panu?

– Oczywiście. Nienawidziła go od dziecka, od śmierci matki.

– Dlaczego zatem próbowała popełnić samobójstwo po jego śmierci? Z poczucia smutku? O co chodziło?

Jean-Felix wzruszył ramionami.

– Z poczucia winy? Kto wie?

O czymś mi nie mówił, pomyślałem. Coś tu nie pasowało. Coś było nie tak.

Zadzwonił jego telefon.

– Przepraszam na chwilę – powiedział. Odwrócił się do mnie tyłem, żeby odebrać. Usłyszałem kobiecy głos. Rozmawiali krótko i ustalili godzinę spotkania. – Oddzwonię do ciebie, kochanie – zapewnił i się rozłączył. Odwrócił się znowu do mnie. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. Dziewczyna?

Uśmiechnął się.

– Przyjaźnimy się… Mam wiele przyjaciółek.

Nie wątpię, pomyślałem. Poczułem ukłucie niechęci, nie byłem pewien dlaczego. Gdy odprowadzał mnie do wyjścia, zadałem mu ostatnie pytanie:

– Jeszcze jedno. Czy Alicia wspominała coś o lekarzu?

– Lekarzu?

– Musiał ją widzieć jakiś lekarz po próbie samobójczej. Próbuję go zlokalizować.

– Hmm… – Jean-Felix ściągnął brwi. – Możliwe… że ktoś był…

– Pamięta pan jego nazwisko?

Zastanawiał się przez moment i pokręcił głową.

– Przykro mi. Nie mogę sobie przypomnieć.

– Jeśli pan sobie przypomni, da mi pan znać?

– Jasne. Ale wątpię. – Zerknął na mnie i się zawahał. – Mogę panu coś poradzić?

– Chętnie wysłucham.

– Jeśli naprawdę chce pan, żeby Alicia zaczęła mówić… proszę dać jej farby i pędzle. Tylko w ten sposób z panem porozmawia. Za pośrednictwem sztuki.

– Ciekawy pomysł… Bardzo mi pan pomógł, panie Martin.

– Jean-Felix. Gdy spotkasz się z Alicią, powiedz jej, że ją kocham.

Uśmiechnął się, a ja znowu poczułem lekką odrazę. Jean-Felix miał w sobie coś, czego nie mogłem strawić. Widziałem, że był naprawdę zżyty z Alicią, znali się od dawna i ewidentnie mu się podobała. Kochał ją? Nie byłem pewien. Przypomniała mi się jego twarz, kiedy patrzył na *Alkestis*. Owszem, jego oczy wyrażały miłość, ale raczej do obrazu, a nie malarki. Jean-Felix pożądał sztuki. W przeciwnym razie odwiedziłby Alicię w The Grove. Trwałby przy niej – wiedziałem to. Mężczyzna nigdy nie porzuca kobiety w ten sposób.

Nie, jeżeli ją kocha.

21

W drodze do pracy udałem się do Waterstones i kupiłem *Alkestis*. Ze wstępu dowiedziałem się, że była to jedna z pierwszych ocalałych tragedii Eurypidesa, najrzadziej wystawiana.

Zacząłem ją czytać w metrze. Nie była zbyt wciągająca. Dość dziwna, doprawdy. Bohater, Admet, został skazany na śmierć przez Mojry. Dzięki negocjacjom Apolla dostał jednak szansę – ucieknie przed śmiercią, jeśli zdoła przekonać kogoś, by dobrowolnie oddał za niego życie. Poprosił matkę i ojca, żeby umarli za niego, ale odmówili w niewybrednych słowach. Trudno stwierdzić, co należałoby myśleć o Admecie w tym momencie. Nie postępował zbyt heroicznie, według żadnych standardów, a starożytni Grecy pewnie się z niego podśmiewali. Alkestis okazała się solidniejsza – zaproponowała, że umrze za swojego męża. Być może nie spodziewała się, że Admet przyjmie jej propozycję, on jednak to uczynił i Alkestis zmierza ku śmierci i czeluściom Hadesu.

Na tym jednak nie koniec. Pojawia się swego rodzaju szczęśliwe zakończenie, *deus ex machina*. Herakles porywa Alkestis z Hadesu i triumfalnie przywraca ją do świata żywych. Kobieta ożywa. Admet wzrusza się do łez ponownym spotkaniem z żoną. Jej emocje trudniej rozszyfrować, bo milczy. Nie odzywa się.

Usiadłem prosto, gdy to przeczytałem. Nie mogłem w to uwierzyć.

Przeczytałem ostatni wers sztuki ponownie, powoli, uważnie.

Alkestis powraca z martwych, znowu żyje. I zachowuje milczenie – nie może lub nie chce mówić o swoich doznaniach. Zrozpaczony Admet woła do Heraklesa: „Lecz czemu ona stoi tak, milcząca”.

Nie poznajemy odpowiedzi. Admet prowadzi Alkestis do domu w milczeniu.

Dlaczego? Dlaczego milczy?

22. Pamiętnik Alicii Berenson

2 sierpnia

Dzisiaj jest jeszcze goręcej. W Londynie jest cieplej niż w Atenach. Tam przynajmniej jest plaża.

Paul zadzwonił dzisiaj z Cambridge. Od miesięcy nie rozmawialiśmy. W pierwszej chwili pomyślałam, że pewnie umarła ciotka Lydia – nie wstydzę się przyznać, że poczułam ulgę.

On jednak nie dzwonił z tą informacją. Wciąż nie jestem pewna, o co mu chodziło. Mówił mało konkretnie. Czekałam, aż przejdzie do rzeczy, ale tego nie robił. Pytał raz po raz, czy dobrze się czuję, czy u Gabriela wszystko w porządku, i bełkotał coś, że Lydia jest ciągle w tym samym stanie.

– Odwiedzę was – powiedziałam. – Nie byłam u was wieki całe, chociaż chciałam.

Prawda jest taka, że wizyta w domu budzi we mnie skomplikowane uczucia, podobnie jak przebywanie tam w towarzystwie Lydii i Paula. Dlatego unikam jej i w rezultacie mam poczucie winy, więc tak i tak jest niedobrze.

– Miło by było nadrobić zaległości – dodałam. – Przyjadę niebawem. Teraz muszę już wychodzić, więc…

Paul powiedział coś tak cicho, że go nie usłyszałam.

– Słucham? Mógłbyś powtórzyć?

– Powiedziałem, że mam kłopoty, Alicio. Potrzebuję twojej pomocy.

– Co się dzieje?

– Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Musimy się spotkać.

– Nie jestem pewna, czy uda mi się w tej chwili przyjechać do Cambridge.

– Przyjadę do ciebie. Dzisiaj po południu, dobrze?

W głosie Paula było coś, przez co zgodziłam się bez zastanowienia. Wydawał się zrozpaczony.

– Okej. Na pewno nie możesz mi nic teraz powiedzieć?

– To na razie – rzucił i rozłączył się.

Myślałam o tym przez cały poranek. Co mogło być tak poważne, by Paul zwrócił się do mnie, a nie kogoś innego? Chodziło o Lydię? A może o dom? Nie dostrzegałam w tym żadnego sensu.

Po lunchu nie mogłam pracować. Winiłam za to upał, ale tak naprawdę myślałam o czymś innym. Kręciłam się w kuchni, wyglądałam przez okna, aż wreszcie zobaczyłam Paula na ulicy. Pomachał do mnie.

– Cześć, Alicio.

Przede wszystkim zwróciłam uwagę na to, jak okropnie wyglądał. Bardzo schudł, zwłaszcza na twarzy, w okolicy skroni i szczęki. Przypominał szkielet, kogoś chorego. Wyczerpanego. Przerażonego.

Usiedliśmy w kuchni z przenośnym wiatrakiem. Zaproponowałam mu piwo, ale powiedział, że wolałby coś mocniejszego, czym mnie zaskoczył, bo nie pamiętam, żeby lubił alkohol. Nalałam mu whiskey – małą porcję, którą uzupełnił, kiedy wydawało mu się, że tego nie widzę.

Na początku się nie odzywał. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. A potem powtórzył to, co powiedział przez telefon. Te same słowa.

– Mam kłopoty.

Zapytałam, o co chodzi. Czy o dom?

Popatrzył na mnie bez wyrazu. Nie chodziło o dom.

– W takim razie o co?

– O mnie – wyznał. Wahał się przez moment, aż wreszcie powiedział: – Uprawiam hazard. I obawiam się, że dużo tracę.

Okazało się, że grał regularnie od lat. Na początku był to sposób na wyrwanie się z domu – chciał wyjść, zrobić coś, trochę się rozerwać – i nie mogę go winić. Mieszkanie z Lydią

na pewno nie wiązało się z przyjemnościami. Ale on tracił coraz więcej i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zaczął wyciągać pieniądze z oszczędności. A przecież nie miał ich dużo.

– Ile potrzebujesz? – spytałam.

– Dwadzieścia patyków.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Przegrałeś dwadzieścia tysięcy?

– Nie od razu. I pożyczyłem trochę od ludzi. Chcą odzyskać pieniądze.

– Jakich ludzi?

– Jeśli im nie oddam, będę w tarapatach.

– Powiedziałeś matce?

Znałam już odpowiedź. Paul może i jest szurnięty, ale nie głupi.

– Oczywiście, że nie. Mama by mnie zabiła. Potrzebuję twojej pomocy, Alicio. I dlatego tu jestem.

– Nie mam tyle pieniędzy, Paul.

– Zwrócę ci. Nie potrzebuję wszystkiego od razu. Daj mi cokolwiek.

Nie odzywałam się, a on błagał dalej. „Oni” chcieli dostać coś dzisiaj wieczorem. Paul nie odważy się wrócić z pustymi rękami. Prosił, żebym dała mu cokolwiek. Nie wiedziałam, co robić. Chciałam mu pomóc, ale podejrzewałam, że danie mu pieniędzy nie rozwiąże problemu. Wiedziałam również, że ciocia Lydia nie może się pod żadnym pozorem dowiedzieć o jego długach. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym się znalazła na miejscu Paula. Lydia była chyba straszniejsza od rekinów pożyczkowych.

– Wypiszę ci czek – powiedziałam w końcu.

Paul wydawał się żałośnie wdzięczny i raz po raz powtarzał „dziękuję”. Wystawiłam mu czek na dwa tysiące funtów. Wiedziałam, że nie na tym mu zależało, ale weszłam na niezbadany grunt. I chyba nie wierzyłam we wszystko, co mówił. Coś mi się tu nie zgadzało.

– Może będę mogła dać ci więcej po rozmowie z Gabrielem – rzekłam. – Lepiej by było, gdybyśmy znaleźli inny sposób zajęcia się tą sprawą. Brat Gabriela jest adwokatem. Może on mógłby…

Paul aż podskoczył, przerażony, i pokręcił głową.

– Nie, nie – powtarzał. – Nie mów Gabrielowi. Nie wciągaj go w to. Proszę. Sam wymyślę, jak sobie poradzić. Załatwię to.

– A co z Lydią? Chyba powinieneś…

Paul energicznie pokręcił głową i wziął ode mnie czek. Wydawał się rozczarowany kwotą, ale nic nie powiedział. Krótko potem wyszedł.

Mam wrażenie, że go zawiodłam. Zawsze się tak czuję wobec Paula, od dziecka. Wiecznie zawodziłam jego oczekiwania co do mnie – że powinnam mu matkować. Powinien mnie lepiej znać. Przecież nie jestem typem matki.

Gdy Gabriel wrócił, o wszystkim mu powiedziałam. Oczywiście zdenerwował się na mnie. Stwierdził, że nie powinnam dawać Paulowi pieniędzy, że nie jestem mu nic winna, nie odpowiadam za niego.

Wiem, że Gabriel ma rację, ale nie potrafię wyzbyć się poczucia winy. Uciekłam z tego domu, od Lydii – Paul nie. Wciąż jest tam uwięziony. Wciąż ma osiem lat. Chcę mu pomóc.

Tylko nie wiem jak.

6 sierpnia

Przez cały dzień malowałam i eksperymentowałam z tłem do obrazu Jezusa. Szkicowałam, patrząc na zdjęcia, które zrobiliśmy w Meksyku – czerwona spękana ziemia, ciemne cierniste krzewy. Zastanawiałam się, jak oddać upał, intensywną suchość – i wtedy usłyszałam, że woła mnie Jean-Felix.

Przez chwilę miałam ochotę go zignorować, udawać, że mnie tu nie ma. Usłyszałam jednak stukot furtki i było już za

późno. Wystawiłam głowę na zewnątrz i zobaczyłam, że idzie przez ogród. Pomachał mi.

– Hej, mała. Przeszkadzam ci? Pracujesz?

– Tak.

– To dobrze – oznajmił. – Oby tak dalej. Wystawa za sześć tygodni. Masz potworne opóźnienie. – Zaśmiał się tym swoim irytującym śmiechem. Mój wyraz twarzy chyba mnie zdradził, bo dodał szybko: – Tylko żartowałem. Nie przyszedłem cię sprawdzać.

Nie odezwałam się, tylko weszłam do pracowni, a on za mną. Usiadł na krześle naprzeciwko wiatraka. Przypalił papierosa – jego dym wirował w powietrzu. Wróciłam do sztalugi i wzięłam do ręki pędzel. Jean-Felix gadał, a ja pracowałam. Narzekał na upał i na to, że Londyn nie jest przygotowany na taką pogodę. Porównał go niekorzystnie z Paryżem i innymi miastami. Po jakimś czasie przestałam go słuchać. Kontynuował swoje utyskiwanie, usprawiedliwianie się, użalanie nad sobą, czym nudził mnie śmiertelnie. Nigdy o nic mnie nie pyta. Tak naprawdę go nie interesuję. Nawet po tylu latach jestem dla niego tylko narzędziem – publiką w programie Jeana-Felixa.

Może to jest krzywdzące. To stary przyjaciel i zawsze stał u mojego boku. Jest samotny, to wszystko. Podobnie jak ja. Wolałabym być samotna, niż związać się z niewłaściwą osobą. To dlatego nie wchodziłam w żadne poważne związki przed Gabrielem. Czekałam na niego, na kogoś rzeczywistego, solidnego i prawdziwego, podczas gdy inni byli fałszywi. Jean-Felix zawsze nam zazdrościł naszej relacji. Próbował to ukrywać – i nadal się stara – ale jest dla mnie oczywiste, że nienawidzi Gabriela. Ciągle na niego nadaje, sugeruje, że Gabriel nie ma takiego talentu jak ja, że jest próżny i egocentryczny. Chyba wydaje mu się, że pewnego dnia zdoła mnie przekabacić na swoją stronę i padnę mu do stóp. Nie pojmuje tego, że z każdym swoim sarkastycznym komentarzem i złośliwą uwagą popycha mnie coraz głębiej w objęcia Gabriela.

Jean-Felix wiecznie nawiązuje do naszej bardzo długiej przyjaźni – w ten sposób trzyma mnie w szachu – oraz intensywności owych pierwszych lat, kiedy to „buntowaliśmy się przeciwko całemu światu”. Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że trzyma się okresu życia, w którym nie byłam szczęśliwa. Wszelka czułość, jaką darzę Jeana-Felixa, pochodzi z tamtych czasów. Przypominamy małżeństwo, które się w sobie odkochało. Dzisiaj zrozumiałam, jak bardzo go nie lubię.

– Pracuję – odezwałam się. – Muszę to skończyć, więc jeśli wybaczysz…

Jean-Felix się skrzywił.

– Wypraszasz mnie? Obserwowałem cię w trakcie pracy, odkąd po raz pierwszy chwyciłaś pędzel. Jeżeli ci przez te wszystkie lata przeszkadzałem, mogłaś to wcześniej powiedzieć.

– Mówię teraz.

Poczerwieniałam na twarzy i czułam, że narasta we mnie złość. Nie mogłam nad tym zapanować. Próbowałam malować, ale ręka mi się trzęsła. Czułam, że Jean-Felix mnie obserwuje. W zasadzie słyszałam, jak jego mózg pracuje – tyka, wiruje, obraca się.

– Zdenerwowałem cię – powiedział w końcu. – Dlaczego?

– Już ci powiedziałam. Nie możesz tu tak wpadać. Powinieneś najpierw przysłać esemesa albo zadzwonić.

– Nie wiedziałem, że potrzebuję pisemnego zaproszenia, żeby móc zobaczyć się z przyjaciółką.

Zapadła cisza. Źle to przyjął. Chyba nie istniał sposób, by to odkręcić. Nie zamierzałam mu tego mówić w ten sposób – chciałam to przekazać delikatniej. Ale nie potrafiłam się powstrzymać. Zabawne jest to, że chciałam go skrzywdzić. Chciałam być brutalna.

– Posłuchaj, Jean-Felix.

– Słucham.

– Niełatwo mi o tym mówić. Ale nadeszła pora, by po wystawie dokonać zmiany.

– Czego?

– Galerii. Chcę zmienić galerię.

Jean-Felix popatrzył na mnie zdumiony. Wyglądał jak mały chłopiec, który się za chwilę zaleje łzami, a ja czułam tylko irytację.

– Pora na nowy początek – ciągnęłam. – Dla nas obojga.

– Rozumiem. – Przypalił kolejnego papierosa. – Przypuszczam, że to pomysł Gabriela?

– Gabriel nie ma z tym nic wspólnego.

– Nienawidzi mnie.

– Nie bądź głupi.

– Nastawił cię przeciwko mnie. Wiedziałem, że tak będzie. Robi to od lat.

– To nieprawda.

– Czy może istnieć inne wytłumaczenie? Jaki inny powód może stać za tym, że wbijasz mi nóż w plecy?

– Nie dramatyzuj tak. Chodzi tylko o galerię. Nie o mnie czy ciebie. Wciąż będziemy się przyjaźnić. Nadal możemy się spotykać.

– Pod warunkiem że najpierw wyślę esemesa lub zadzwonię? – Zaśmiał się i zaczął mówić szybko, jakby próbował coś z siebie wyrzucić, zanim zdołam mu przerwać. – O rany. Rany. Rany. Przez cały ten czas naprawdę w coś wierzyłem, wiesz? W ciebie i we mnie. A teraz uznałaś, że to było nic. Tak po prostu. Nikt nie dba o ciebie tak jak ja. Nikt.

– Jean-Felix, proszę…

– Nie mogę uwierzyć, że podjęłaś taką decyzję.

– Chciałam ci to powiedzieć od pewnego czasu.

Ewidentnie były to niewłaściwe słowa. Jean-Felix wyglądał na osłupiałego.

– Jak to od pewnego czasu? Od kiedy?

– Nie wiem.

– I udawałaś? Tak? Chryste, Alicio. Nie kończ tego tak. Nie pozbywaj się mnie w ten sposób.

– Nie pozbywam się ciebie. Nie dramatyzuj tak. Zawsze będziemy przyjaciółmi.

– Zwolnijmy trochę. Wiesz, dlaczego tu przyszedłem? Żeby zaprosić cię do teatru na piątkowy wieczór. – Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwa bilety i mi je pokazał. To była jakaś tragedia Eurypidesa w Teatrze Narodowym. – Chciałbym, żebyś ze mną poszła. To jest bardziej cywilizowany sposób na pożegnanie się, nie sądzisz? W imię starych czasów. Nie odmawiaj.

Zawahałam się. To była ostatnia rzecz, której chciałam. Ale nie zamierzałam go bardziej denerwować. W tym momencie zgodziłabym się chyba na wszystko, byle się go pozbyć. Więc się zgodziłam.

22.30

Gdy Gabriel wrócił do domu, powiedziałam mu, co zaszło między mną a Jeanem-Felixem. Oznajmił, że nigdy nie rozumiał naszej przyjaźni. Jean-Felix jest według niego koszmarny i nie podoba mu się, jak na mnie patrzy.

– To znaczy jak?

– Jakbyś była jego własnością. Uważam, że powinnaś zrezygnować z galerii już teraz, przed wystawą.

– Nie mogę. Już jest za późno. Nie chcę, żeby mnie znienawidził. Nie wiesz, jaki bywa mściwy.

– Mówisz, jakbyś się go bała.

– Nie boję się. Tak będzie po prostu łatwiej, stopniowo się wycofywać.

– Im szybciej, tym lepiej. Kocha się w tobie. Chyba to wiesz?

Nie sprzeczałam się z nim, niemniej Gabriel się myli. Jean-Felix mnie nie kocha. Raczej jest przywiązany do moich obrazów. A to jest kolejny powód, by się z nim rozstać. Jean-Felix w ogóle o mnie nie dba. Gabriel nie pomylił się tylko w jednej kwestii.

Boję się Jeana-Felixa.

23

Zastałem Diomedesa w jego gabinecie. Siedział na stołku, przy harfie o złotych strunach.

– Piękny przedmiot – zauważyłem.

Przytaknął.

– I bardzo trudno się na nim gra. – Zademonstrował mi to i czule musnął palcami struny. Pomieszczenie wypełnił kaskadowy dźwięk. – Chciałbyś spróbować?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. Zaśmiał się.

– Będę cię dalej pytał, w nadziei że zmienisz zdanie. Wszystko można mi zarzucić, ale nie brak wytrwałości.

– Nie jestem zbyt muzykalny. Nauczycielka muzyki powiedziała mi to bez ogródek.

– Podobnie jak terapia, muzyka opiera się na relacji całkowicie uzależnionej od wyboru nauczyciela.

– To bez wątpienia prawda.

Zerknął za okno i ruchem głowy wskazał ciemniejące niebo.

– Te chmury niosą śnieg.

– Wydają mi się deszczowe.

– Nie. Jest w nich śnieg. Zaufaj mi. Pochodzę z rodziny greckich pasterzy o wielopokoleniowej tradycji. Dzisiaj wieczorem spadnie śnieg. – Diomedes po raz ostatni zerknął na chmury z nadzieją i odwrócił się do mnie. – Co mogę dla ciebie zrobić, Theo?

– To.

Położyłem na biurku egzemplarz sztuki i podsunąłem mu. Zerknął na nią.

– Co to jest?

– Tragedia Eurypidesa.

– To widzę. Dlaczego mi to pokazujesz?

– *Alkestis*. Właśnie tak Alicia zatytułowała swój autoportret namalowany po zabójstwie Gabriela.

– A tak, oczywiście. – Przyjrzał mi się z większym zainteresowaniem. – Pozuje na grecką heroinę.

– Możliwe. Muszę przyznać, że trochę zgłupiałem. Pomyślałem sobie, że może lepiej ode mnie to zrozumiesz.

– Bo jestem Grekiem? – Zaśmiał się. – Przypuszczasz, że będę miał większą wiedzę o greckiej tragedii?

– Ode mnie na pewno.

– Nie rozumiem dlaczego. Jakbyś zakładał, że każdy Anglik zna dzieła Szekspira. – Uśmiechnął się do mnie z politowaniem. – Masz szczęście, że między innymi na tym polega różnica między naszymi krajami. Każdy Grek zna jego tragedie. Tragedie to nasze mity, historia, nasza krew.

– W takim razie zdołasz mi pomóc.

Diomedes podniósł książeczkę i przekartkował ją.

– Z czym masz kłopot?

– Z tym, że ona się nie odzywa. Alkestis umiera za swojego męża. Na koniec ożywa, ale milczy.

– Jak Alicia?

– Tak.

– Mimo to ponawiam pytanie o to, z czym masz kłopot.

– Pewnie istnieje jakiś związek, ale ja go nie rozumiem. Dlaczego Alkestis na koniec się nie odzywa?

– A jak myślisz?

– Nie wiem. Pewnie targają nią jakieś emocje?

– Możliwe. A jakie?

– Radość?

– Radość? – Zaśmiał się. – Theo, pomyśl. Jak byś się czuł? Osoba, którą kochasz najbardziej na świecie, skazała cię na śmierć z tchórzostwa. To zdrada.

– Twierdzisz, że była zdenerwowana?

– Nikt cię nigdy nie zdradził?

To pytanie raniło mnie jak nóż. Czułem, że czerwienieję na twarzy. Moje usta się poruszyły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Diomedes się uśmiechnął.

– Widzę, że jednak tak. W takim razie… powiedz mi. Jak się czuje Alkestis?

Tym razem znałem odpowiedź.

– Jest… zła.

– Tak – przytaknął Diomedes. – A nawet więcej. Ma ochotę zabić z wściekłości. – Zachichotał. – Możemy się tylko zastanawiać, jak związek Alkestis i Admeta będzie wyglądał w przyszłości. Trudno odzyskać raz utracone zaufanie.

Dopiero po kilku sekundach odważyłem się odezwać:

– A Alicia?

– Co z nią?

– Alkestis została skazana na śmierć przez swojego tchórzliwego męża. Alicia zaś…

– Nie, ona nie umarła… Nie fizycznie. – Pozwolił, by to słowo wybrzmiało. – Psychicznie natomiast…

– Chcesz powiedzieć, że coś się wydarzyło, co zabiło jej ducha… Odebrało jej sens życia?

– Możliwe.

Poczułem się nieusatysfakcjonowany. Podniosłem sztukę i spojrzałem na nią. Na okładce widniał klasyczny posąg przedstawiający piękną kobietę uwiecznioną w marmurze. Gapiłem się na nią i myślałem o tym, co powiedział do mnie Jean-Felix.

– Skoro Alicia nie żyje… podobnie jak Alkestis, musimy ją wskrzesić.

– Zgadza się.

– Tak sobie myślę, że skoro Alicia komunikuje się za pomocą sztuki, może powinniśmy przywrócić jej głos?

– Jak to zrobić?

– Pozwólmy jej malować.

Diomedes popatrzył na mnie zaskoczony, a potem zbył mnie machnięciem ręki.

– Przecież uczestniczy w terapii sztuką.

– Nie mówię o tym. Pozwólmy jej pracować na jej warunkach, w samotności. Dajmy jej przestrzeń, w której będzie mogła tworzyć. Pozwólmy jej się wyrazić, dać upust emocjom. To może zdziałać cuda.

Diomedes przez chwilę nie odpowiadał. Trawił tę myśl.

– Będziesz musiał to załatwić z jej terapeutką sztuką. Poznałeś ją już? To Rowena Hart. Nie jest łatwym przeciwnikiem.

– Porozmawiam z nią. Ale czy mam twoje błogosławieństwo?

Diomedes wzruszył ramionami.

– Jeśli zdołasz przekonać Rowenę, proszę bardzo. I od razu ci powiem, że ten pomysł jej się nie spodoba. Ani trochę.

24

– To świetny pomysł – stwierdziła Rowena.

– Naprawdę tak uważasz? – Starałem się nie okazywać zaskoczenia. – Naprawdę?

– O tak. Jedyny problem w tym, że Alicia na to nie pójdzie.

– Dlaczego jesteś tego taka pewna?

Rowena prychnęła szyderczo.

– Bo to jest najmniej responsywna, najbardziej niekomunikatywna suka, z jaką przyszło mi pracować.

– Aha.

Wszedłem za Roweną do pracowni. Krople zaschniętej farby układały się na podłodze w mozaikę, na ścianach wisiały prace – część z nich była dobra, większość po prostu dziwna. Rowena miała krótkie blond włosy i głęboką zmarszczkę między brwiami. Poruszała się w sposób wyrażający znużenie, niewątpliwie wywołane przez niemający końca szereg pacjentek niechętnych do współpracy. Alicia ją ewidentnie rozczarowała.

– Nie bierze udziału w terapii? – spytałem.

– Nie bierze. – Rowena dalej układała prace. – Żywiłam ogromne nadzieje, gdy dołączyła do grupy. Robiłam wszystko, co mogłam, żeby poczuła się tu mile widziana, ale ona tylko siedzi i gapi się na pustą stronę. Nie ma sposobu, by nakłonić ją do malowania czy choćby sięgnięcia po ołówek. Daje okropny przykład pozostałym.

Przytaknąłem ze współczuciem. Celem terapii sztuką jest nakłonienie pacjentów do rysowania i malowania oraz, co ważniejsze, opowiadania o ich pracach, by dotrzeć do skrywanych stanów emocjonalnych. To świetny sposób na przelanie na papier nieświadomych treści, dzięki czemu można o nich myśleć i rozmawiać. Jak zwykle, wiele zależy od umiejętności terapeuty. Ruth mawiała, że niewielu terapeutów ma talent lub intuicję – większość jest tylko rzemieślnikami. I Rowena mi na kogoś takiego

wyglądała. Najwyraźniej czuła się zignorowana przez Alicię. Starałem się ją jak najbardziej uspokoić.

– Może to jest dla niej bolesne? – podsunąłem delikatnie.

– Bolesne?

– Być może artystka jej pokroju ma trudność z tym, żeby siedzieć i malować z pozostałymi pacjentkami.

– A czemu? Bo jest ponad to? Widziałam jej prace. Nie oceniam ich wysoko. – Zmarszczyła się, jakby zjadła coś niesmacznego.

To dlatego nie lubiła Alicii. Zazdrościła jej.

– Każdy potrafi tak malować – ciągnęła. – Nie jest trudno przedstawić coś z fotograficzną wiernością. O wiele trudniej jest zaprezentować to ze swojego punktu widzenia.

Nie chciałem się wdawać w dyskusję na temat sztuki Alicii.

– Twierdzisz zatem, że poczujesz ulgę, gdy ci ją odbiorę?

Rowena popatrzyła na mnie ostro.

– Możesz ją sobie brać – prychnęła pogardliwie.

– Dziękuję. Jestem ci wdzięczny.

– Będziesz jej musiał zapewnić materiały. Mój budżet nie pozwala na kupowanie farb olejnych.

25

– Muszę ci coś wyznać.

Alicia na mnie nie spojrzała. Kontynuowałem i obserwowałem ją uważnie.

– Ostatnio byłem w Soho i mijałem twoją dawną galerię. Wszedłem więc do środka. Właściciel był na tyle miły, że pokazał mi część twoich prac. To twój stary przyjaciel? Jean-Felix Martin?

Czekałem na reakcję. Nie dostałem żadnej.

– Mam nadzieję, że nie odbierzesz tego jako napaść na twoją prywatność. Może powinienem był najpierw spytać cię o zdanie. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Zero reakcji.

– Widziałem kilka obrazów, których nie oglądałem wcześniej. Ten przedstawiający twoją matkę… I ciotkę, Lydię Rose.

Alicia powoli uniosła głowę i spojrzała na mnie. W jej oczach pojawił się wyraz, którego wcześniej nie widziałem. Nie potrafiłem go zidentyfikować. Czy to było… rozbawienie?

– Zainteresowałem się nimi, rzecz jasna, jako twój terapeuta, ale też poruszyły mnie na poziomie osobistym. Są niebywale wymowne.

Alicia spuściła wzrok. Traciła zainteresowanie. Szybko mówiłem dalej:

– Uderzyło mnie kilka kwestii. Na obrazie przedstawiającym wypadek matki brakuje czegoś… Ciebie. Nie namalowałaś siebie, mimo że uczestniczyłaś w wypadku.

Żadnej reakcji.

– Zastanawiałem się, czy to znaczy, że myślisz o tym wyłącznie w kategoriach jej tragedii? Bo zginęła? Przecież tym samochodem jechała też dziewczynka. Dziewczynka, której uczucia, jak podejrzewam, nie zostały ani w pełni dostrzeżone, ani przeżyte.

Alicia poruszyła głową. Zerknęła na mnie. Posłała mi wyzywające spojrzenie. Coś w niej poruszyłem. Kontynuowałem więc.

– Zapytałem Jeana-Felixa o twój autoportret, *Alkestis*. O jego znaczenie. A on zasugerował, żebym to przeczytał.

Wyciągnąłem egzemplarz sztuki. Przesunąłem go w jej stronę po stoliku kawowym. Alicia rzuciła na niego okiem.

– „Lecz czemu ona stoi tak, milcząca”? Tak pyta Admet. I ja tobie zadaję to samo pytanie, Alicio. Dlaczego nie możesz nic powiedzieć? Dlaczego wciąż milczysz?

Alicia zamknęła oczy – chciała, żebym zniknął. Rozmowa skończona. Zerknąłem na zegar wiszący na ścianie za nią. Sesja prawie dobiegła końca. Zostało jeszcze kilka minut.

Aż do tej pory trzymałem asa w rękawie. Teraz go wyciągnąłem z uczuciem zdenerwowania; miałem nadzieję, że nie było ono widoczne.

– Jean-Felix poczynił pewną sugestię. Uznałem ją za dość dobrą. Według niego powinno ci się pozwolić malować… Chciałabyś? Moglibyśmy ci zapewnić prywatną przestrzeń, płótna, pędzle i farby.

Alicia zamrugała. Oczy jej się otworzyły. Zupełnie jakby ktoś włączył w nich światło. To były oczy dziecka, szeroko otwarte i niewinne, wolne od pogardy lub podejrzliwości. Jej twarz jakby odzyskała kolor. Nagle wydawała się taka cudownie żywa.

– Rozmawiałem z profesorem Diomedesem. Zgodził się na to. Podobnie jak Rowena… Wszystko zależy od ciebie, Alicio. Co ty na to?

Czekałem. Patrzyła na mnie.

I wtedy, w końcu, dostałem to, co chciałem – zdecydowaną reakcję – znak, który mi podpowiedział, że jestem na właściwej drodze.

To był nieznaczny ruch. Naprawdę drobny. Mimo to bardzo wymowny: Alicia się uśmiechnęła.

26

Stołówka była najcieplejszym pomieszczeniem w szpitalu. Wzdłuż ścian ciągnęły się gorące grzejniki rurowe, dlatego ławki przy nich zajmowano w pierwszej kolejności. W porze lunchu panował tu największy ruch, bo personel jadał ramię w ramię z pacjentkami. Podniesione głosy jedzących tworzyły kakofonię dźwięków, zrodzoną z nieprzyjemnego podniecenia towarzyszącego chwilom, w których wszystkie pacjentki przebywały w jednym miejscu.

Kilka Karaibek zza lady śmiało się i gawędziło, gdy wydawały kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami, rybę z frytkami, curry z kurczaka – wszystko to lepiej pachniało, niż smakowało. Stwierdziłem, że ryba z frytkami będzie najmniejszym złem. W drodze do stołu minąłem Elif. Otaczał ją gang gburowatych najtwardszych pacjentek. Narzekała na jedzenie, kiedy przechodziłem obok jej stolika.

– Nie zjem tego gówna – oznajmiła i odsunęła tackę.

Pacjentka siedząca po jej prawej stronie przyciągnęła tackę do siebie, żeby ją przejąć, ale Elif uderzyła ją w głowę.

– Zachłanna suka – krzyknęła. – Oddawaj mi to!

Wywołało to salwę śmiechu przy stole. Elif zabrała swój talerz i zaczęła z upodobaniem pałaszować jedzenie.

Alicia siedziała sama w głębi pomieszczenia. Dziobała nędzny kawałek ryby jak anorektyczny ptak. Przesuwała go po talerzu, ale nie przysuwała do ust. Poczułem pokusę, by usiąść obok niej, ale postanowiłem tego nie robić. Może podszedłbym do niej, gdyby spojrzała na mnie i nawiązała kontakt wzrokowy. Ona jednak patrzyła w dół, jakby chciała się odciąć od otoczenia i ludzi. Wydawało mi się, że naruszyłbym jej prywatność, więc usiadłem przy innym stoliku, kilka kroków od moich pacjentek, i zacząłem jeść rybę z frytkami. Zjadłem tylko kęs gumowatego mięsa pozbawionego smaku, odgrzanego, ale zimnego w środku.

Zgodziłem się z opinią Elif. Kiedy zamierzałem wrzucić jedzenie do kosza, ktoś usiadł naprzeciwko mnie.

Ku mojemu zaskoczeniu był to Christian.

– W porządku? – spytał i skinął do mnie głową.

– Tak, a u ciebie?

Nie odpowiedział. Pochłaniał z determinacją twardy jak skała ryż z curry.

– Słyszałem o twoim planie namówienia Alicii do malowania – rzucił pomiędzy kęsami.

– Widzę, że wieści szybko się rozchodzą.

– W tym miejscu tak. To twój pomysł?

Zawahałem się.

– Tak. Według mnie dobrze jej to zrobi.

Christian popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Uważaj, kolego.

– Dzięki za ostrzeżenie. Raczej nie jest konieczne.

– Twierdzę tylko, że pacjenci pograniczni uwodzą. Właśnie to się tu dzieje. Chyba tego w pełni nie ogarniasz.

– Nie uwiedzie mnie, Christianie.

Zaśmiał się.

– Już jej się to udało. Dajesz jej to, czego chce.

– Daję jej to, czego potrzebuje, a to spora różnica.

– Skąd wiesz, czego potrzebuje? Identyfikujesz się z nią do przesady. To oczywiste. To ona jest pacjentką, nie ty.

Zerknąłem na zegarek, żeby ukryć złość.

– Muszę już iść.

– Zaatakuje cię, Theo – powiedział. – Tylko poczekaj. I nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Zirytował mnie. I ta irytacja pozostała we mnie do końca dnia.

Po pracy wyszedłem z The Grove i udałem się do małego sklepu przy końcu ulicy, żeby kupić sobie paczkę papierosów. Wsunąłem jednego w usta, przypaliłem i głęboko się zaciągnąłem, w zasadzie nieświadomy swoich działań. Myślałem o tym, co mówił Christian,

analizowałem to, gdy mijały mnie pędzące samochody. „Pacjenci pograniczni uwodzą”, słyszałem jego słowa.

Czy to było prawdą? To dlatego tak się zdenerwowałem? Alicia uwiodła mnie emocjonalnie? Christian najwyraźniej tak uważał i nie wątpiłem, że Diomedes też to podejrzewał. Mieli rację?

Zrobiłem rachunek sumienia i byłem pewien, że odpowiedź jest przecząca. Chciałem pomóc Alicii, owszem – ale potrafiłem zachować wobec niej obiektywizm i czujność. Potrafiłem postępować z nią ostrożnie i z zachowaniem wyraźnych granic.

Myliłem się, naturalnie. Było już za późno, ale nie przyznałbym się do tego, nawet przed sobą samym.

Zadzwoniłem do Jeana-Felixa do galerii. Zapytałem, co się stało z materiałami Alicii – jej farbami, pędzlami i płótnami.

– Wszystko jest w magazynie?

Odpowiedział dopiero po chwili.

– No, nie… Wszystko jest u mnie.

– U ciebie?

– Tak. Wyczyściłem jej pracownię po procesie i zgarnąłem wszystko, co było warte zachowania: wstępne szkice, notatniki, sztalugi, farby. Przechowuję to dla niej.

– To miłe z twojej strony.

– Posłuchałeś mojej rady? Dasz Alicii malować?

– Tak – odparłem. – Czy coś z tego wyjdzie, dopiero się okaże.

– Na pewno coś z tego wyjdzie. Zobaczysz. Proszę tylko, żebym mógł obejrzeć jej gotowe prace.

W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta pożądania. Oczami wyobraźni ujrzałem nagle obrazy Alicii otulone kocami jak dzieci. Naprawdę trzymał je w tym magazynie dla niej? Czy dlatego, że nie mógł znieść myśli o rozstaniu się z nimi?

– Będziesz uprzejmy dostarczyć materiały do The Grove? – spytałem. – Dałbyś radę?

– Och, ja…

Wahał się przez moment. Wyczułem jego lęk. I ruszyłem mu na ratunek.

– Mogę je od ciebie odebrać, jeśli tak będzie łatwiej.

– Tak, być może tak będzie lepiej – rzekł.

Jean-Felix bał się tu przyjść, bał się zobaczyć Alicię. Dlaczego? Co między nimi zaszło?

Z czym nie chciał się zmierzyć?

27

– O której spotykasz się z przyjaciółką? – spytałem.

– O dziewiętnastej. Po próbie. – Kathy podała mi kubek kawy. – Mógłbyś zapamiętać jej imię, Theo. Nicole.

– No tak – rzuciłem i ziewnąłem.

Kathy popatrzyła na mnie surowo.

– Czuję się trochę urażona tym, że nie pamiętasz. To jedna z moich najlepszych przyjaciółek. Przecież byłeś na jej imprezie pożegnalnej, do cholery.

– Oczywiście, że pamiętam Nicole. Zapominam tylko, jak ma na imię, to wszystko.

Kathy wywróciła oczami.

– Nieważne, ty ćpunie. Idę wziąć prysznic – oznajmiła i wyszła z kuchni.

Uśmiechnąłem się do siebie. Dziewiętnasta.

Za kwadrans dziewiętnasta szedłem wzdłuż rzeki w kierunku miejsca prób Kathy w South Bank.

Usiadłem na ławce naprzeciwko wyjścia z teatru, zwróconej do niego tyłem, żeby Kathy mnie nie zobaczyła, gdyby wyszła wcześniej. Od czasu do czasu odwracałem głowę i zerkałem za siebie. Drzwi były wciąż zamknięte.

Pięć po dziewiętnastej otworzyły się. Usłyszałem ożywione rozmowy i śmiech aktorów wychodzących z budynku. Wychodzili dwójkami i trójkami. Nie widziałem Kathy.

Poczekałem pięć minut. Dziesięć. Ludzie przestali wychodzić. Nie pojawił się nikt więcej. Pewnie ją przegapiłem. Może wyszła przed moim przyjściem. No chyba że w ogóle jej tutaj nie było.

Czy kłamała na temat próby?

Wstałem i ruszyłem w stronę wyjścia. Musiałem mieć pewność. A co by było, gdyby nadal przebywała w środku i mnie zobaczyła? Jak mógłbym się wytłumaczyć? Przyszedłem ją zaskoczyć? Tak –

powiedziałbym, że chcę zabrać ją i „Nicole” na kolację. A Kathy zaczęłaby się wić i wymyślać jakieś bzdurne wykręty w stylu: „Nicole się rozchorowała i odwołała spotkanie”, i w rezultacie spędzilibyśmy pełen skrępowania wieczór sam na sam. Kolejny wieczór długiego milczenia.

Doszedłem do wejścia. Zawahałem się, chwyciłem zardzewiałą zieloną klamkę i otworzyłem drzwi. Wszedłem do budynku.

Wewnątrz królował goły beton. Pachniało wilgocią. Sala prób Kathy znajdowała się na czwartym piętrze – narzekała na to, że musi się tam wdrapywać codziennie – więc ruszyłem główną klatką schodową. Doszedłem do pierwszego piętra i zacząłem wchodzić na drugie, gdy usłyszałem głos dobiegający z góry. To była Kathy. Mówiła do telefonu.

– Wiem, przepraszam. Do zobaczenia. Niedługo będę. Okej, pa, pa.

Zamarłem – za kilka sekund na siebie wpadniemy! Popędziłem w dół schodów i schowałem się za rogiem. Kathy mnie minęła. Wyszła z budynku, nie zauważając mnie. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Pobiegłem za nią. Oddalała się, szła szybko w kierunku mostu. Śledziłem ją, lawirując między przechodniami i turystami; starałem się utrzymywać dystans i równocześnie nie tracić jej z oczu.

Przeszła przez most i zeszła po schodach na stację Embankment. Szedłem za nią i zastanawiałem się, którą linią pojedzie.

Nie wsiadła do metra. Zamiast tego przeszła przez stację i wyszła z drugiej strony. Zmierzała w kierunku Charing Cross Road. Szedłem za nią. Stałem w odległości kilku kroków na czerwonym świetle dla pieszych. Przeszliśmy przez Charing Cross Road i weszliśmy do Soho. Śledziłem ją w wąskich uliczkach. Skręciła w prawo, potem w lewo, znowu w prawo i gwałtownie się zatrzymała . Stała na rogu z Lexington Street. I czekała.

A więc tu się umówili. Dobre miejsce – w centrum, ruchliwe, anonimowe. Zawahałem się i wszedłem do pubu na rogu. Stanąłem przy barze. Miałem stąd dobry widok na Kathy stojącą na ulicy. Zerknął na mnie barman, znudzony facet z rozczochraną brodą.

– Tak?

– Duże piwo. Guinnessa.

Ziewnął i podszedł do drugiego końca baru, żeby napełnić kufel. Nie odrywałem wzroku od Kathy. Byłem pewien, że mnie nie zobaczy przez szybę, nawet gdyby popatrzyła w tym kierunku. I rzeczywiście w pewnym momencie spojrzała prosto na mnie. Serce mi na chwilę zamarło – byłem pewien, że mnie zauważyła – ale nie, jej wzrok przesunął się dalej.

Mijały minuty, a Kathy czekała. Ja również. Sączyłem powoli piwo i obserwowałem ją. Nie spieszył się ten ktoś, kimkolwiek był. Nie spodoba jej się to. Kathy nie lubiła czekać, mimo że sama wiecznie się spóźniała. Widziałem, że się irytuje, ściąga brwi i zerka na zegarek.

Wtem jakiś mężczyzna przeszedł przez ulicę i szedł w jej stronę. W ciągu tych kilku sekund, których potrzebował na pokonanie krótkiego dystansu, zdążyłem go sobie obejrzeć i ocenić. Był dobrze zbudowany. Miał jasne włosy do ramion, co mnie zaskoczyło, bo Kathy zawsze twierdziła, że podobają się jej faceci z ciemnymi włosami i oczami, jak ja – chyba że to było kolejne kłamstwo.

Mężczyzna ją minął. Nawet na niego nie spojrzała. A więc to nie był on. Zastanawiałem się, czy Kathy i ja myślimy teraz to samo – że została wystawiona do wiatru.

I wtedy jej oczy otworzyły się szeroko. Uśmiechnęła się. Pomachała do kogoś, kogo nie widziałem. Wreszcie, pomyślałem. To on. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć…

Ku mojemu zaskoczeniu do Kathy podbiegła blondynka o dziwkowatym wyglądzie, w niemożliwie krótkiej spódnicy i niewiarygodnie wysokich szpilkach. Od razu ją rozpoznałem. Nicole. Na przywitanie rzuciły się sobie w ramiona, a następnie oddaliły się, rozmawiając i śmiejąc się, ramię w ramię. A więc Kathy nie kłamała, że spotyka się z Nicole.

Moje emocje mnie zszokowały – powinienem czuć wielką ulgę w związku z tym, że Kathy powiedziała mi prawdę. Powinienem być wdzięczny. A nie byłem.

Czułem się rozczarowany.

28

– Co ty na to, Alicio? Dużo tu światła, co? Podoba ci się?

Yuri prezentował z dumą nową pracownię. To on wpadł na pomysł, by zająć niewykorzystywany pokój obok akwarium złotej rybki, a ja się zgodziłem – uznałem, że to lepszy pomysł od dzielenia sali terapii z Roweną, co zważywszy na jej wrogość, powodowałoby trudności. Teraz Alicia mogła mieć pokój tylko dla siebie i malować bez przeszkód, kiedy tylko chciała.

Rozejrzała się. Sztalugę rozpakowano i postawiono przy oknie, gdzie było najjaśniej. Pudełko z farbami leżało otwarte na stole. Yuri mrugnął do mnie, gdy Alicia zbliżyła się do stołu. Podchodził z entuzjazmem do tego pomysłu, a ja byłem mu wdzięczny za wsparcie – był przydatnym sprzymierzeńcem, bo to on z całego personelu cieszył się największą popularnością, przynajmniej wśród pacjentek. Skinął do mnie głową i powiedział:

– Powodzenia. Zostawiam was samych.

I wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Alicia zdawała się tego nie słyszeć.

Była w swoim świecie, pochylona nad stołem. Przyglądała się farbom z lekkim uśmiechem. Podniosła pędzle z sobolowego włosia i pogładziła je, jakby były delikatnymi kwiatami. Wyjęła trzy tubki farby – pruski błękit, indyjską żółć i czerwień kadmową – i ułożyła jedną obok drugiej. Odwróciła się w stronę pustego płótna i przyglądała mu się. Długo tak stała. Wyglądała, jakby się wprowadzała w jakiś trans, zadumę – myślami była gdzie indziej, udało się jej jakoś uciec, zawędrowała daleko poza tę celę – wreszcie się z niej wyrwała i wróciła do stołu. Wycisnęła na paletę trochę bieli i połączyła ją z odrobiną czerwieni. Musiała wymieszać farby pędzlem, szpachelki Stephanie natychmiast skonfiskowała, z oczywistych powodów.

Alicia przysunęła pędzel do płótna i przeciągnęła po nim. Prosta czerwona kreska pośrodku białej powierzchni.

Przyglądała się jej przez chwilę. A potem wykonała kolejne pociągnięcie. I następne. Po chwili malowała już bez przerw i wahania, z pełną płynnością ruchów. To był swoisty taniec Alicii z płótnem. Stałem tam i patrzyłem na tworzone przez nią kształty.

Milczałem i ledwo śmiałem oddychać. Czułem się, jakbym był świadkiem intymnej chwili, jakbym obserwował dzikie zwierzę w czasie porodu. I chociaż Alicia zdawała sobie sprawę z mojej obecności, nie przeszkadzała jej ona. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i zerkała na mnie.

Jakby mi się przyglądała.

Przez kolejnych kilka dni obraz powoli nabierał kształtów, najpierw zgrubnych, szkicowych, ale coraz wyraźniejszych – a potem zaistniał na płótnie z fotorealistyczną nieskazitelną doskonałością.

Alicia namalowała budynek z czerwonej cegły, szpital – bez wątpienia The Grove. Budynek płonął, spalał się doszczętnie. Na jego tle widać było dwie postaci. Mężczyzny i kobiety uciekających przed ogniem. Kobietą była Alicia, a jej rude włosy miały taki sam kolor jak płomienie. W mężczyźnie rozpoznałem siebie. Niosłem Alicię na rękach, unosiłem ją wysoko, podczas gdy płomienie lizały mi kostki.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy ukazano mnie w akcie ratowania Alicii, czy też zamierzałem ją wrzucić w ogień.

29

– To śmieszne – powiedziała. – Przychodzę tu od lat i nikt mi nigdy nie kazał wcześniej dzwonić. Nie mogę tu czekać cały dzień. Jestem niezwykle zapracowaną osobą.

Przy kontuarze w recepcji stała Amerykanka, narzekająca głośno do Stephanie Clarke. Rozpoznałem Barbie Hellmann z gazetowych i telewizyjnych relacji dotyczących zabójstwa. Była sąsiadką Alicii z Hampstead; to ona usłyszała strzały tamtego wieczoru, gdy zamordowano Gabriela, i zadzwoniła na policję.

Barbie była kalifornijską blondynką po sześćdziesiątce, może starszą. Spryskała się przesadnie Chanel No 5 i przeszła sporo operacji plastycznych. Imię do niej pasowało – przypominała przestraszoną lalkę Barbie. Ta kobieta najwyraźniej przywykła do uzyskiwania tego, czego chciała – i stąd jej głośne protesty w recepcji, gdy odkryła, że musi się umówić na wizytę u pacjentki.

– Chcę rozmawiać z kierownikiem – oznajmiła z władczym gestem, jakby to była restauracja, a nie szpital psychiatryczny. – To absurd. Gdzie on jest?

– To ja jestem kierowniczką, pani Hellmann – poinformowała ją Stephanie. – Już się kiedyś spotkałyśmy.

Po raz pierwszy poczułem odrobinę współczucia dla Stephanie. Trudno było nie czuć dla niej litości w związku z atakiem Barbie. Ta mówiła dużo i szybko, bez przerw, nie dając oponentowi czasu na odpowiedź.

– Nie wspominała pani o konieczności umawiania się. – Barbie zaśmiała się w głos. – Chryste, łatwiej o stolik w The Ivy.

Dołączyłem do nich i uśmiechnąłem się niewinnie do Stephanie.

– Mogę jakoś pomóc?

Stephanie posłała mi zirytowane spojrzenie.

– Dzięki, ale poradzę sobie.

Barbie zmierzyła mnie od stóp do głów z lekkim zainteresowaniem.

– Kim pan jest?

– Theo Faber. Terapeuta Alicii.

– Doprawdy? – odparła. – To ciekawe.

Najwyraźniej potrafiła dogadać się z terapeutą, w przeciwieństwie do kierowniczki szpitala. Od tego momentu zwracała się wyłącznie do mnie i traktowała Stephanie, jakby była recepcjonistką. Muszę przyznać, że czerpałem z tego złośliwą przyjemność.

– Chyba jest pan nowy, skoro się nie znamy? – powiedziała Barbie.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale ubiegła mnie:

– Zwykle przychodzę tu co kilka miesięcy, ale tym razem wyjechałam na trochę dłużej, żeby się zobaczyć z rodziną ze Stanów. Ale zaraz po powrocie poczułam, że muszę się zobaczyć z moją Alicią. Tak bardzo za nią tęsknię. Alicia była moją najlepszą przyjaciółką.

– Nie wiedziałem.

– A i owszem. Gdy zamieszkała z Gabrielem w sąsiedztwie, pomogłam im się zaaklimatyzować. Bardzo się ze sobą zbliżyłyśmy. Mówimy sobie o wszystkim.

– Rozumiem.

W recepcji pojawił się Yuri. Przywołałem go.

– Przyszła pani Hellmann spotkać się z Alicią – poinformowałem go.

– Mów mi Barbie, kochanie. Yuri i ja przyjaźnimy się od dawna – powiedziała i puściła do niego oko. – Znamy się od lat. On nie jest problemem. Za to ta pani… – Machnęła lekceważąco w kierunku Stephanie, która wreszcie znalazła okazję, by się odezwać.

– Przykro mi, pani Hellmann, ale polityka szpitala zmieniła się od czasu, gdy była pani tu w ubiegłym roku. Wzmocniliśmy zabezpieczenia. Od tej pory będzie pani musiała dzwonić przed…

– Boże, musimy tego znowu słuchać? Zacznę krzyczeć, jeśli mnie pani do tego zmusi. Jakby życie nie było wystarczająco skomplikowane bez tego.

Stephanie się poddała i Yuri wprowadził Barbie do środka. Poszedłem za nimi.

Weszliśmy do pokoju dla gości i czekaliśmy na Alicię. Pomieszczenie było puste – stały tam tylko stół i dwa krzesła – pozbawione okien i oświetlone chorobliwie żółtym światłem jarzeniowym. Stanąłem z tyłu i przyglądałem się, jak drugimi drzwiami dwie pielęgniarki wprowadziły Alicię. Ta nie zdradziła żadnej reakcji na widok Barbie. Podeszła do stołu i usiadła, nie podnosząc wzroku. Barbie dla odmiany wydawała się poruszona.

– Alicio, kochanie, bardzo za tobą tęskniłam. Jesteś taka chuda, prawie nic z ciebie nie zostało. Tak ci zazdroszczę. Jak się czujesz? Niewiele brakowało, a ta okropna kobieta nie pozwoliłaby mi się z tobą zobaczyć. To był koszmar…

I tak dalej, i tak dalej – niemający końca potok pustej gadaniny, szczegółów na temat podróży Barbie do San Diego, jej wizyty u matki i brata. Alicia tylko siedziała i milczała, jej twarz przypominała maskę, która nic nie zdradzała, niczego nie pokazywała. Po mniej więcej dwudziestu minutach monolog litościwie dobiegł końca. Yuri wyprowadził Alicię, równie niezainteresowaną teraz jak w chwili wejścia.

Podszedłem do Barbie, gdy wychodziła ze szpitala.

– Możemy zamienić słowo? – spytałem.

Barbie przytaknęła, jakby się tego spodziewała.

– Chcesz ze mną porozmawiać o Alicii? Już najwyższa pora, żeby ktoś mi zadał jakieś cholerne pytania. Policja nie chciała niczego słuchać, co zakrawa na obłęd, bo Alicia ciągle mi się zwierzała. Na każdy temat. Mówiła mi rzeczy, w które byś nie uwierzył.

Barbie powiedziała to z wyraźną emfazą i posłała mi kokieteryjny uśmiech. Wiedziała, że obudziła moje zainteresowanie.

– Na przykład?

Barbie uśmiechnęła się tajemniczo i naciągnęła futro.

– Nie mogę o tym mówić teraz. Już jestem spóźniona. Proszę przyjść do mnie dzisiaj wieczorem. Powiedzmy o osiemnastej?

Nie podobała mi się perspektywa wizyty w domu Barbie – miałem szczerą nadzieję, że Diomedes o niczym się nie dowie. Nie miałem jednak wyboru – chciałem usłyszeć, co ta kobieta wiedziała. Zmusiłem się do uśmiechu.

– Poproszę adres.

30

Dom Barbie stał przy ulicy prowadzącej do Hampstead Heath. Z jego okien rozciągał się widok na jeden ze stawów. Ogromny budynek miał zapewne niebywale wygórowaną wartość ze względu na lokalizację.

Barbie zamieszkała w Hampstead na kilka lat przed Gabrielem i Alicią. Jej mąż był bankierem inwestycyjnym i podróżował między Londynem i Nowym Jorkiem do czasu, aż się rozwiedli. Znalazł sobie młodszą, bardziej jasnowłosą wersję żony – a Barbie zostawił dom. „Tak więc wszyscy są szczęśliwi", stwierdziła Barbie ze śmiechem. „Zwłaszcza ja".

Dom miał bladoniebieską elewację i kontrastował z pozostałymi budynkami przy ulicy pomalowanymi na biało. Frontowy ogród zdobiły małe drzewa i rośliny doniczkowe.

Barbie powitała mnie w drzwiach.

– Cześć, kochanie. Cieszę się, że przyszedłeś na czas. To dobry znak. Tędy proszę.

Poszedłem za nią przez przedpokój do salonu. W domu pachniało jak w szklarni, bo wszędzie, gdzie tylko okiem sięgnąć, wypełniały go rośliny i kwiaty: róże, lilie, orchidee. Na ścianach tłoczyły się obrazy, lustra i oprawione w ramki fotografie. Małe statuetki, wazony i inne obiekty sztuki walczyły o przestrzeń na stolikach i komodach. Wszystkie były drogie, ale upchnięte w ten sposób wyglądały jak śmieci. Gdyby potraktować wnętrze jako reprezentację umysłu Barbie, sugerowałoby ono, delikatnie mówiąc, mocno nieuporządkowany świat. Pomyślałem o chaosie, bałaganie, chciwości, o niezaspokojonym głodzie. Zastanawiałem się, jak wyglądało jej dzieciństwo.

Przesunąłem kilka poduch z frędzlami na wielkiej i niewygodnej kanapie, żeby móc na niej usiąść. Barbie otworzyła barek i wyciągnęła kieliszki.

– Czego się napijesz? Wyglądasz mi na gościa lubiącego whiskey. Mój mąż wypijał galon whiskey dziennie. Twierdził, że jej potrzebuje, żeby ze mną wytrzymać. – Zaśmiała się. – Ja jestem koneserką win. Odbyłam kurs w regionie Bordeaux we Francji. Mam doskonały nos.

Zrobiła przerwę dla zaczerpnięcia tchu, więc skorzystałem z okazji, by się odezwać.

– Nie lubię whiskey. Pijam niewiele alkoholu.… Tylko piwo od czasu do czasu.

– Och. – Barbie wyglądała na zdenerwowaną. – Nie mam piwa.

– Nie szkodzi. Nie muszę nic pić.

– A ja muszę się napić. To był jeden z tych dni. – Barbie nalała sobie spory kieliszek czerwonego wina i zwinęła się na kanapie, jakby się szykowała do długich pogaduszek. – Jestem do twojej dyspozycji – powiedziała z kokieteryjnym uśmiechem. – Co chcesz wiedzieć?

– Mam kilka pytań, jeśli pozwolisz.

– Strzelaj.

– Czy Alicia wspominała kiedykolwiek o lekarzu?

– O lekarzu? – Wydawała się zaskoczona pytaniem. – Chodzi ci o psychiatrę?

– Nie, lekarza medycyny.

– Och, ach tak, nie… – Zawahała się. – Teraz, gdy o tym wspomniałeś, przypominam sobie, że ktoś do niej przychodził…

– Pamiętasz nazwisko?

– Nie. Pamiętam natomiast, że mówiłam jej o swoim lekarzu, doktorze Monksie. Jest niesamowity. Wystarczy, że na ciebie spojrzy i od razu wie, co ci dolega, i zaleca właściwą dietę. Jest wspaniały… – Po tym nastąpiły długie objaśnienia skomplikowanych wymogów dietetycznych wprowadzanych przez lekarza Barbie i naleganie, żebym jak najszybciej się z nim spotkał.

Zaczynałem tracić cierpliwość. Włożyłem trochę wysiłku, żeby naprowadzić ją na właściwe tory.

– Widziałaś Alicię w dniu zabójstwa?

– Tak, kilka godzin wcześniej. – Zamilkła, żeby pociągnąć kilka łyków wina. – Poszłam do niej. Często tam zaglądałam, na kawę. To

znaczy, ona piła kawę, a ja zwykle brałam ze sobą butelkę czegoś. Rozmawiałyśmy godzinami. Byłyśmy bardzo zżyte.

Tak przynajmniej twierdzisz, pomyślałem. Zdążyłem już zdiagnozować Barbie jako osobę narcystyczną. Wątpiłem, by potrafiła budować więzi z innymi ludźmi, chyba że dla zaspokojenia własnych potrzeb. Przypuszczałem, że Alicia nie mówiła zbyt wiele w czasie tych wizyt.

– Jak byś opisała jej stan psychiczny tamtego popołudnia?

Barbie wzruszyła ramionami.

– Wydawało się, że czuła się dobrze. Bolała ją tylko głowa.

– Nie była zdenerwowana?

– A powinna?

– Zważywszy na okoliczności…

Barbie popatrzyła na mnie zdumiona.

– Myślisz, że była winna? – Zaśmiała się. – Och, kochanie. Wydawało mi się, że jesteś mądrzejszy.

– Obawiam się, że…

– Alicia nie była dość twarda, żeby kogoś zabić. Nie była zabójczynią. Uwierz mi. Jest niewinna. Jestem tego na sto procent pewna.

– Zastanawiam się, skąd ta pewność, skoro dowody…

– Guzik mnie obchodzą. Mam własne.

– Tak?

– A jak! Ale najpierw… Muszę wiedzieć, że mogę ci zaufać. – Wzrok Barbie poszukał moich oczu. Patrzyłem na nią spokojnie. I wtedy wypaliła, tak po prostu. – Widzisz, był pewien mężczyzna.

– Mężczyzna?

– Tak. Obserwował.

Zaskoczyła mnie. Natychmiast zrobiłem się czujny.

– Jak to, obserwował?

– Dokładnie tak, jak powiedziałam. Obserwował ją. Powiedziałam o tym policji, ale nie wydawali się tym zainteresowani. Podjęli decyzję w chwili, kiedy znaleźli Alicię przy ciele Gabriela i broń. Nie chcieli słyszeć innej wersji tej historii.

– Jakiej wersji?

– Powiem ci. I zrozumiesz, dlaczego chciałam się z tobą dzisiaj spotkać. Warto mnie wysłuchać.

No to opowiadaj, pomyślałem. Nic jednak nie powiedziałem i uśmiechnąłem się dla zachęty.

Uzupełniła swój kieliszek.

– To się zaczęło na kilka tygodni przed zabójstwem. Poszłam do Alicii, napiłyśmy się czegoś i zwróciłam uwagę, że była cichsza niż zwykle. Zapytałam, czy nic jej nie jest. A ona zaczęła płakać. Nigdy jej nie widziałam w takim stanie. Płakała rzewnymi łzami. Zwykle była taka opanowana… ale tego dnia pofolgowała sobie. Była w rozsypce, kochany, w rozsypce.

– Co powiedziała?

– Zapytała, czy zauważyłam kogoś kręcącego się po okolicy. Widziała mężczyznę na ulicy. Obserwował ją. – Barbie się zawahała. – Pokażę ci. Przysłała mi to.

Wyciągnęła zadbane palce po telefon i przeglądała zdjęcia. Podsunęła mi aparat pod sam nos.

Patrzyłem na wyświetlacz i potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, co widzę. Niewyraźną fotografię drzewa.

– Co to jest?

– A na co to wygląda?

– Na drzewo?

– Za drzewem.

Za drzewem widniała szara plama – to mogło być wszystko, od słupa latarni po dużego psa.

– To jest mężczyzna – oznajmiła. – Widać jego sylwetkę dość wyraźnie.

Nie przekonała mnie, ale nie kłóciłem się z nią. Nie chciałem jej rozpraszać.

– Mów dalej – poprosiłem.

– To wszystko.

– Ale co się stało?

Barbie wzruszyła ramionami.

– Nic. Mówiłam Alicii, żeby powiedziała glinom. Wtedy się dowiedziałam, że nie powiedziała o tym nawet mężowi.

– Nie powiedziała Gabrielowi? Dlaczego?

– Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że nie był zbyt współczującym człowiekiem. W każdym razie nalegałam, żeby zadzwoniła na policję. No bo co ze mną? Z moim bezpieczeństwem? Na zewnątrz ktoś grasuje, a ja przecież jestem samotnie mieszkającą kobietą. Chcę się czuć bezpiecznie, gdy kładę się wieczorem spać.

– Alicia posłuchała twojej rady?

Barbie pokręciła głową.

– Nie. Kilka dni później powiedziała mi, że rozmawiała z mężem i uznała, że sobie to wszystko wyobraziła. Kazała mi o tym zapomnieć i poprosiła, żebym nie rozmawiała o tym z Gabrielem, gdybym go spotkała. Cała ta sytuacja trochę mi śmierdziała. I poprosiła, żebym wykasowała to zdjęcie. Nie zrobiłam tego. Pokazałam im je, gdy aresztowali Alicię, ale nie byli zainteresowani. Już wszystko wiedzieli. Ja jednak jestem pewna, że wydarzyło się coś więcej. Mogę ci powiedzieć…? – Ściszyła głos do dramatycznego szeptu. – Alicia była przerażona. – Zrobiła efektowną pauzę i dopiła wino. Sięgnęła po butelkę. – Na pewno nie chcesz się napić?

Znowu odmówiłem, podziękowałem jej i wytłumaczyłem, że muszę już iść. Nie było sensu siedzieć u niej dłużej. Nie miała mi już nic więcej do powiedzenia. A ja miałem dość materiału do przemyśleń.

Było ciemno, gdy wyszedłem od Barbie. Zatrzymałem się na moment przed byłym domem Alicii. Po procesie sprzedano go i mieszkała tu para Japończyków. Barbie twierdziła, że byli wyjątkowo nieprzyjaźni. Czyniła kilka prób nawiązania z nimi kontaktu, ale odtrącali ją. Zastanawiałem się, jak bym się czuł, gdyby Barbie mieszkała obok mnie i wpadała do mnie raz po raz. Jak się z tym czuła Alicia?

Przypaliłem papierosa i pomyślałem o tym, co właśnie usłyszałem. A więc Alicia powiedziała Barbie, że ją obserwowano. Policja prawdopodobnie uznała, że Barbie chciała zwrócić na siebie uwagę i wszystko zmyśliła, dlatego zignorowano jej historię. Nie zdziwiło mnie to, raczej trudno było traktować Barbie poważnie.

Alicia bała się na tyle, że zwróciła się do Barbie z prośbą o pomoc. Później porozmawiała też z Gabrielem. Ale co potem?

Alicia powiedziała o tym komuś jeszcze? Musiałem się tego dowiedzieć.

Nagle oczami wyobraźni ujrzałem siebie jako dziecko. Małego chłopca rozsadzanego przez lęk, duszącego w sobie przerażenie, ból, drepczącego non stop w tę i z powrotem, niespokojnego, przestraszonego; samego z lękiem przed ojcem. Nie miałem komu powiedzieć. Nikt by mnie nie wysłuchał. Alicia pewnie czuła się tak samo zrozpaczona, bo w przeciwnym razie nie otworzyłaby się przed Barbie.

Wzdrygnąłem się i poczułem wzrok wbity w tył mojej głowy.

Odwróciłem się na pięcie, ale nikogo nie zobaczyłem. Byłem sam. Ulica była pusta, mroczna, cicha.

31

Przyjechałem do The Grove następnego ranka i chciałem porozmawiać z Alicią o tym, co Barbie mi powiedziała. Gdy tylko wszedłem do recepcji, usłyszałem krzyk kobiety. Ryk bólu odbijał się echem po korytarzach.

– O co chodzi? Co się dzieje?

Ochroniarz zignorował moje pytania. Minął mnie i popędził do środka. Pobiegłem za nim. Wrzaski były coraz donośniejsze. Miałem nadzieję, że Alicii nic się nie stało, że sprawa nie miała związku z nią, ale miałem złe przeczucia.

Wypadłem zza rogu. Przed akwarium złotej rybki tłoczyły się pielęgniarki, pacjentki i ochroniarze. Diomedes rozmawiał przez telefon i wzywał pogotowie. Koszulę miał schlapaną krwią, ale nie swoją. Na podłodze klęczały dwie pielęgniarki, które zajmowały się krzyczącą kobietą. Nie Alicią.

To była Elif.

Wiła się, darła z bólu i zasłaniała rękami zakrwawioną twarz. Z oka tryskała jej krew. Z gałki ocznej coś sterczało. Wyglądało na patyk. Tylko że to nie był patyk. Od razu się zorientowałem, co to. Pędzel.

Alicia stała przy ścianie, przytrzymywana przez Yuriego i drugą pielęgniarkę. Nie trzeba było się z nią siłować. Była spokojna, nieruchoma jak posąg. Wyraz jej twarzy od razu skojarzył mi się z obrazem *Alkestis*. Twarz, która nic nie wyrażała. Pusta. Patrzyła prosto na mnie.

A ja po raz pierwszy poczułem strach.

32

– Jak się czuje Elif? – spytałem. Czekałem w akwarium złotej rybki na Yuriego, gdy wrócił z oddziału ratunkowego.

– Jej stan jest stabilny – odparł z ciężkim westchnieniem. – To najwięcej, na co możemy mieć nadzieję.

– Chciałbym się z nią zobaczyć.

– Z Elif? Czy z Alicią?

– Najpierw z Elif.

Yuri skinął głową.

– Dzisiaj ma odpoczywać, ale rano cię do niej zaprowadzę.

– Co się stało? Byłeś tu? Przypuszczam, że Alicia została sprowokowana?

Yuri westchnął i znowu wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Elif kręciła się pod pracownią Alicii. Na pewno doszło do jakiejś konfrontacji. Nie mam pojęcia, o co się pokłóciły.

– Masz klucz? Sprawdźmy. Zobaczymy, może znajdziemy jakieś wskazówki.

Wyszliśmy z akwarium i weszliśmy do pracowni Alicii. Yuri otworzył drzwi. Zapalił światło.

I oto na sztaludze znaleźliśmy odpowiedź, której szukaliśmy.

Na obrazie – tym przedstawiającym The Grove w płomieniach – postaciom zamalowano twarze. Czerwoną farbą namalowano okrutny napis „ZDZIRA”.

Skinąłem głową.

– Wszystko jasne.

– Myślisz, że zrobiła to Elif?

– A któż by inny?

Znalazłem Elif na oddziale ratunkowym. Siedziała podparta poduszkami na łóżku, podłączona do kroplówki. Bandaż oplatający głowę mocował opatrunek na oku. Była zdenerwowana, zła i cierpiała.

– Odpierdol się – powiedziała na mój widok.

Przysunąłem krzesło do jej łóżka i usiadłem. Mówiłem łagodnie, z szacunkiem.

– Przykro mi, Elif. Naprawdę mi przykro. To, co się wydarzyło, było okropne. Tragedia.

– Masz, kurwa, rację. A teraz odwal się i zostaw mnie w spokoju.

– Powiedz mi, co się stało.

– Ta suka wyłupiła mi oko, oto, co się stało.

– Dlaczego to zrobiła? Pokłóciłyście się?

– Próbujesz zrzucić na mnie winę? Nic nie zrobiłam!

– Nie próbuję cię obwiniać. Chcę tylko zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

– Bo ma nierówno pod sufitem.

– Nie miało to żadnego związku z obrazem? Widziałem, co zrobiłaś. Zniszczyłaś twarze, prawda?

Elif przymknęła zdrowe oko, potem zamknęła je zdecydowanie.

– Źle zrobiłaś, Elif. To nie usprawiedliwia jej reakcji, niemniej…

– Nie dlatego to zrobiła.

Elif otworzyła oko i popatrzyła na mnie szyderczo. Zawahałem się.

– Nie? To dlaczego cię zaatakowała?

Usta Elif wykrzywiły się w czymś na kształt uśmiechu. Nie odzywała się. Siedzieliśmy tak przez chwilę i już zamierzałem się poddać, gdy się odezwała:

– Powiedziałam jej prawdę – oznajmiła.

– Jaką prawdę?

– Że masz do niej słabość.

Przestraszyła mnie. Zanim zdążyłem zareagować, mówiła dalej z lodowatą pogardą.

– Kochasz ją, kolego. Tak jej powiedziałem. „Kocha cię, kocha cię. Theo i Alicia, zakochana para. Theo i Alicia się całują”. – Elif zaniosła się potwornym piskliwym śmiechem.

Resztę potrafiłem sobie wyobrazić. Alicia wpadła w szał, odwróciła się, podniosła pędzel i… wbiła go Elif w oko.

– Jest popieprzona. – Elif wydawała się bliska łez, umęczona, wyczerpana. – To wariatka.

A ja popatrzyłem na jej zabandażowaną ranę i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma racji.

33

Spotkanie odbyło się w gabinecie Diomedesa, ale to Stephanie Clarke prowadziła je od samego początku. Porzuciliśmy abstrakcyjny świat psychologii i wkroczyliśmy na konkretne terytorium zdrowia i bezpieczeństwa, dlatego to ona wiodła prym i była tego świadoma. Ponure milczenie Diomedesa zdradzało, że on również zdawał sobie z tego sprawę.

Stephanie stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jej ekscytacja była wręcz namacalna. Podnieca ją to, pomyślałem. To, że decyduje, że do niej należy ostatnie słowo. Jak bardzo musiała nas nienawidzić za to, że ją bagatelizowaliśmy, sprzymierzaliśmy się przeciwko niej. Teraz rozkoszowała się zemstą.

– Wczorajszy poranny incydent jest absolutnie nie do przyjęcia – powiedziała. – Ostrzegałam, że Alicia nie powinna malować, ale zlekceważyliście mnie. Indywidualne przywileje zawsze budzą zazdrość i urazę. Wiedziałam, że wydarzy się coś takiego. Od tej pory bezpieczeństwo musi być najważniejsze.

– To dlatego Alicię zamknięto w izolatce? – spytałem. – W imię bezpieczeństwa?

– Zagraża sobie i innym. Zaatakowała Elif. Mogła ją zabić.

– Została sprowokowana.

Diomedes pokręcił głową i dołączył do rozmowy. Miał znużony głos.

– Nie uważam, żeby taki rodzaj prowokacji mógł usprawiedliwić taki atak.

Stephanie przytaknęła.

– Zgadza się.

– To był odosobniony wypadek – zauważyłem. – Zamykanie Alicii w izolatce jest nie tylko okrucieństwem, ale wręcz barbarzyństwem.

Widziałem pacjentów skazanych na izolatkę w Braodmoor, zamkniętych w ciasnym, pozbawionym okien pomieszczeniu, w którym ledwie się mieściło łóżko, o innych meblach nie

wspominając. Kilka godzin lub dni w takim miejscu wystarczyło, żeby każdego doprowadzić do obłędu, więc co tu mówić o kimś, kto już był niestabilny.

Stephanie wzruszyła ramionami.

– Jako kierowniczka kliniki mam prawo podjąć wszelkie działania, które uważam za niezbędne. Pytałam Christiana o radę i zgodził się ze mną.

– No jasne.

Christian stojący w głębi pokoju posłał mi uśmiech pełen wyższości. Czułem również, że przygląda mi się Diomedes. Wiedziałem, co sobie myśleli – pozwoliłem sobie na osobisty stosunek do sprawy, odsłoniłem swoje uczucia, ale nie dbałem o to.

– Zamknięcie jej nie jest rozwiązaniem. Musimy z nią rozmawiać. Zrozumieć.

– Rozumiem doskonale – oznajmił Christian ciężkim protekcjonalnym tonem, jakby rozmawiał z niedorozwiniętym dzieckiem. – Chodzi o ciebie, Theo.

– O mnie?

– A kogóż by innego. To ty zacząłeś mieszać.

– W jakim sensie?

– To prawda, czyż nie? Ty prowadziłeś kampanię na rzecz obniżenia dawki leków…

Zaśmiałem się.

– To nie była żadna kampania. Tylko interwencja. Była naćpana do nieprzytomności. Zrobiłeś z niej zombi.

– Bzdura.

Spojrzałem na Diomedesa.

– Chyba nie próbujecie tego zrzucić na mnie? To chcecie zrobić?

Diomedes pokręcił głową, ale unikał mojego wzroku.

– Oczywiście, że nie. Niemniej to jasne, że terapia ją zdestabilizowała. Postawiła ją w obliczu zbyt dużych wyzwań. Podejrzewam, że dlatego doszło do tego nieszczęśliwego wypadku.

– Nie akceptuję tego.

– Być może za bardzo się z nią zbliżyłeś, żeby to wyraźnie widzieć. – Uniósł ręce i westchnął jak pokonany człowiek. – Nie możemy sobie pozwolić na kolejne błędy, nie w tak krytycznych

okolicznościach. Jak wiesz, stawką jest przyszłość kliniki. Każdy nasz błąd daje Funduszowi kolejny powód, by nas zamknąć.

Poczułem się wysoce zirytowany jego defetyzmem i zrezygnowaną akceptacją.

– Nafaszerowanie jej lekami i wyrzucenie klucza od celi nie jest odpowiedzią – odparłem. – Nie jesteśmy więzieniem.

– Zgadzam się – wtrąciła Indira. Uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco i ciągnęła: – Problem polega na tym, że tak bardzo boimy się ryzyka, że wolimy raczej przedawkować leki. Powinniśmy wykazać się odwagą i usiąść z obłędem, objąć go, zamiast próbować zamykać.

Christian wywrócił oczami i chciał wyrazić sprzeciw, ale Diomedes go ubiegł. Pokręcił głową.

– Na to już za późno. To moja wina. Alicia nie jest odpowiednią kandydatką do psychoterapii. Nie powinienem był wyrażać na to zgody.

Diomedes wziął winę na siebie, ale ja wiedziałem, że tak naprawdę obwiniał mnie. Wszyscy na mnie patrzyli, Diomedes z pełnym rozczarowania ściągnięciem brwi, Christian drwiąco i triumfalnie, Stephanie wrogo, Indira zaś z troską.

Starałem się, żeby moje słowa nie zabrzmiały błagalnie.

– Zakażcie Alicii malować, jeśli musicie – odezwałem się. – Ale nie przerywajcie jej terapii. To jedyny sposób, by do niej dotrzeć.

Diomedes pokręcił głową.

– Zaczynam podejrzewać, że nie da się do niej dotrzeć.

– Dajcie mi jeszcze trochę czasu…

W głosie Diomedesa zabrzmiała stanowczość, która mi podpowiedziała, że nie ma sensu dalej naciskać.

– Nie – powiedział. – To już koniec.

34

Diomedes mylił się co do chmur zapowiadających śnieg. Śnieg nie spadł, za to po południu spadł rzęsisty deszcz. Burza z ryczącymi wściekle piorunami i jasnymi błyskawicami.

Czekałem na Alicię w gabinecie psychoterapii i patrzyłem na deszcz chłoszczący okno. Czułem się znużony i przygnębiony. To wszystko okazało się stratą czasu. Utraciłem Alicię, zanim zdołałem jej pomóc. Teraz już nie mam szans.

Rozległo się pukanie do drzwi. Yuri wprowadził Alicię do środka. Wyglądała gorzej, niż się spodziewałem. Była blada, poszarzała jak duch. Poruszała się niezgrabnie, drżała jej bezustannie prawa noga. Pieprzony Christian, pomyślałem – naćpał ją do nieprzytomności.

Po wyjściu Yuriego długo milczałem. Alicia na mnie nie patrzyła. Wreszcie się odezwałem. Głośno i wyraźnie, żeby mnie na pewno zrozumiała.

– Alicio, przykro mi, że zamknięto cię w izolatce. Przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić.

Żadnej reakcji. Zawahałem się.

– Obawiam się, że przez to, co zrobiłaś Elif, nasza terapia została przerwana. To nie była moja decyzja, byłem od tego daleki, ale nie mogłem nic na to poradzić. Chciałbym dać ci okazję do opowiedzenia o tym, co się stało, wyjaśnienia twojego ataku na Elif. I wyrażenia wyrzutów sumienia, które z pewnością odczuwasz.

Alicia milczała. Nie byłem pewien, czy moje słowa przedarły się przez kurtynę leków.

– Powiem ci, jak się czuję – ciągnąłem. – Jeśli mam być szczery, jestem zły. Zły o to, że kończymy pracę, jeszcze zanim ją na dobre zaczęliśmy. I zły o to, że się bardziej nie starałaś.

Alicia poruszyła głową. Jej oczy patrzyły w moje.

– Wiem, że się boisz – powiedziałem. – Próbowałem ci pomóc, ale mi na to nie pozwoliłaś. A teraz nie wiem już, co mam robić.

Zamilkłem pokonany.

I wtedy Alicia zrobiła coś, czego nigdy nie zapomnę.

Wyciągnęła ku mnie drżącą rękę. Ściskała w niej coś – mały oprawiony w skórę notes.

– Co to jest?

Żadnej odpowiedzi. Nie cofnęła ręki. Patrzyłem na notes zaciekawiony.

– Mam to wziąć?

Bez odpowiedzi. Zawahałem się i delikatnie wyciągnąłem notes z drżących palców. Otworzyłem go i przekartkowałem. To był zapełniony pismem pamiętnik.

Pamiętnik Alicii.

Sądząc po piśmie, pisała go w chaotycznym stanie umysłu, zwłaszcza ostatnie strony, gdzie słowa ledwie się dawały odczytać; strzałki łączyły różne akapity pisane pod różnym kątem. Na niektórych stronach pojawiały się rysunki, kwiaty przechodzące w pnącza, zasłaniające to, co wcześniej napisano, przez co nie dawało się tego rozszyfrować.

Popatrzyłem na Alicię, płonąc z ciekawości.

– Co mam z tym zrobić?

To pytanie było zbędne. Przecież to oczywiste, czego Alicia ode mnie chciała.

Miałem to przeczytać.

Część III

Tego właśnie należy unikać, nie szukać dziwności tam, gdzie nie ma nic. Sądzę, że na tym polega niebezpieczeństwo prowadzenia pamiętnika; w napięciu, wszystko przesadzone, ciągle narusza się prawdę.

Jean-Paul Sartre, *Mdłości*, przeł. Jacek Trznadel

Z natury uczciwy to ja nie jestem, ale od czasu do czasu zdarza mi się taki nagły napad uczciwości i nie mogę nic poradzić.

William Shakespeare, *Zimowa opowieść*, przeł. Stanisław Barańczak

Pamiętnik Alicii Berenson

8 sierpnia

Dzisiaj wydarzyło się coś dziwnego.

Byłam w kuchni, parzyłam kawę i wyglądałam przez okno – niewidzącym wzrokiem – śniąc na jawie – i wtedy dostrzegłam coś, a raczej kogoś na zewnątrz. Mężczyznę. Zwróciłam na niego uwagę, bo stał tak nieruchomo – jak posąg – odwrócony w stronę domu. Stał po drugiej stronie ulicy, przy wejściu do parku. W cieniu drzewa. Był wysoki, dobrze zbudowany. Nie widziałam jego twarzy, bo miał okulary przeciwsłoneczne i czapkę.

Nie umiałam stwierdzić, czy mnie widział przez okno – ale odnosiłam wrażenie, że się na mnie gapi. Pomyślałam, że to dziwne – przywykłam do tego, że ludzie stali po drugiej stronie ulicy w oczekiwaniu na autobus. On jednak nie czekał na autobus. Gapił się na dom.

Dotarło do mnie, że stoję tak od kilku minut, więc zmusiłam się, by odejść od okna. Poszłam do pracowni. Próbowałam malować, ale nie mogłam się skupić. Ciągle wracałam myślami do tego mężczyzny. Postanowiłam dać sobie jeszcze dwadzieścia minut, a potem wrócić do kuchni i spojrzeć za okno. A jeśli on nadal tam będzie, wówczas co? Przecież nie robił nic złego. Mógł być włamywaczem obserwującym dom – chyba tak właśnie w pierwszej chwili pomyślałam – ale dlaczego zatem stał tam tak na widoku? Może chciał się tu przeprowadzić? Może zamierzał nabyć dom przy końcu ulicy? To by tłumaczyło jego zachowanie.

Gdy wróciłam do kuchni i spojrzałam za okno, już go nie było. Ulica była pusta.

Pewnie się nigdy nie dowiem, co robił. Jakie to dziwne.

10 sierpnia

Poszłam wczoraj wieczorem na sztukę z Jeanem-Felixem. Gabriel nie chciał, żebym szła, ale i tak to zrobiłam. Bałam się tego, niemniej uznałam, że jeśli dam Jeanowi-Felixowi to, czego chce, i z nim pójdę, zakończymy sprawę. Taką miałam nadzieję.

Umówiliśmy się wcześniej na drinka – to był jego pomysł – i kiedy dotarłam na miejsce, było jeszcze jasno. Słońce stało nisko na niebie, nadając rzece krwistoczerwony kolor. Jean-Felix czekał na mnie przed Teatrem Narodowym. Ja pierwsza go dostrzegłam. Wypatrywał mnie wśród tłumu, skrzywiony. Jeśli miałam jakiekolwiek wątpliwości co do tego, czy postępuję słusznie, pozbyłam się ich na widok jego wściekłej twarzy. Przepełniało mnie okropne przerażenie – niewiele brakowało, a odwróciłabym się na pięcie i rzuciła do ucieczki. On jednak mnie wypatrzył. Spojrzał w moją stronę i mnie zauważył. Pomachał do mnie, a ja ruszyłam w jego stronę. Udawałam, że się uśmiecham. On również.

– Cieszę się, że przyszłaś – powiedział. – Martwiłem się, że się nie pojawisz. Wejdziemy się czegoś napić?

Wypiliśmy drinka w foyer. Mówiąc delikatnie, czułam się niezręcznie. Żadne z nas nie wróciło do tamtego dnia. Rozmawialiśmy o niczym, a w zasadzie to Jean-Felix mówił, a ja słuchałam. Wypiliśmy po kilka drinków. Nie jadłam i czułam się trochę wstawiona. Pewnie taką właśnie intencję miał Jean-Felix. Starał się z całych sił wciągnąć mnie w rozmowę, ale się nie kleiła – była zaaranżowana, kierowana. Z jego ust padały w zasadzie wyłącznie zdania zaczynające się od „czy nie było zabawnie, kiedy” i „pamiętasz, jak” – jakby przypomniał sobie różne szczególiki, w nadziei że osłabi mnie w moim postanowieniu i przypomni mi, jak długa historia nas łączy, jacy byliśmy zżyci. Zdaje się nie dopuszczać do siebie myśli, że ja już podjęłam decyzję. I nie wpłynie na nią nic, co by teraz powiedział.

Cieszę się jednak, że poszłam na to spotkanie. Nie ze względu na Jeana-Felixa, ale na sztukę. Nie słyszałam o *Alkestis* – przypuszczam, że ta tragedia jest mało znana, bo opowiada o domowych sprawach, i dlatego mi się spodobała. Osadzono ją we współczesnych realiach, w domu na przedmieściach Aten. Podobała mi się ta skala. Intymna tragedia rozgrywająca się za kuchennymi drzwiami. Mężczyzna jest skazany na śmierć, a jego żona, Alkestis, chce go uratować. Aktorka grająca ją przypominała grecki posąg i miała tak cudowną twarz, że chciałabym ją namalować i nawet zastanawiałam się nad zdobyciem jej namiarów i skontaktowaniem się z jej agentem. Niewiele brakowało, a wspomniałabym o tym Jeanowi-Felixowi – powstrzymałam się. Nie chcę go już wciągać w swoje życie, na żadnym poziomie. Na koniec miałam łzy w oczach – Alkestis umiera i się odradza. Dosłownie powstaje z martwych. Muszę w związku z tym coś przemyśleć. Jeszcze nie jestem pewna co. Jean-Felix naturalnie dzielił się ze mną swoimi odczuciami po sztuce, ale nic do mnie nie przemawiało, więc przestałam go słuchać.

Nie mogłam przestać myśleć o śmierci Alkestis i jej wskrzeszeniu – wracałam do tego, kiedy przechodziliśmy przez most w stronę stacji. Jean-Felix zapytał, czy nie poszłabym na jeszcze jednego drinka, ale byłam zmęczona. Znowu zapadło niezręczne milczenie. Zatrzymaliśmy się przy wejściu do metra. Podziękowałam mu za wieczór i powiedziałam, że dobrze się bawiłam.

– Chodźmy na jeszcze jednego drinka – ponowił propozycję. – W imię starych czasów.

– Nie. Powinnam już iść.

Próbowałam odejść, ale on chwycił mnie za rękę.

– Alicio, posłuchaj. Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie, proszę. Naprawdę nie ma o czym mówić.

– Posłuchaj. To nie to, co myślisz.

I miał rację. Spodziewałam się, że Jean-Felix będzie mnie błagał o przyjaźń albo spróbuje wzbudzić we mnie poczucie

winy w związku ze zmianą galerii. Tymczasem jego słowa mnie zaskoczyły.

– Musisz uważać – rzekł. – Jesteś za bardzo ufna. Ufasz… ludziom wokół siebie. Nie rób tego. Nie ufaj im.

Patrzyłam na niego bez wyrazu. Odezwałam się dopiero po chwili:

– O czym ty mówisz? Kogo masz na myśli?

Jean-Felix tylko pokręcił głową i nic nie powiedział. Puścił moją rękę i oddalił się. Wołałam za nim, ale się nie zatrzymał.

– Jean-Felix. Zaczekaj!

Nie odwrócił się. Patrzyłam, jak znika za rogiem. Stałam tak, przyrośnięta do miejsca. Nie wiedziałam, co mam myśleć. Co on wyprawiał? Wygłosił tajemnicze ostrzeżenie, a potem sobie tak po prostu odszedł? Pewnie chciał zdobyć przewagę i zostawić mnie z poczuciem niepewności. Udało mu się.

Obudził też we mnie złość. W pewnym sensie ułatwił mi sprawę. Postanowiłam wykluczyć go ze swojego życia. Co on miał na myśli, mówiąc o ludziach z mojego otoczenia – pewnie chodziło mu o Gabriela. Ale dlaczego?

Nie, nie zrobię tego. Właśnie tego chciał – namieszać mi w głowie. Wzbudzić we mnie obsesję. Stanąć między mną a Gabrielem.

Nie dam się w to wciągnąć. Nie będę się nad tym zastanawiała.

Wróciłam do domu. Gabriel już spał. Musiał wstać o piątej na sesję zdjęciową. Obudziłam go jednak i się kochaliśmy. Nie mogłam się nim nasycić, poczuć go w sobie wystarczająco głęboko. Chciałam się z nim zjednoczyć. Wejść w niego i zniknąć.

11 sierpnia

Znowu widziałam tego mężczyznę. Tym razem był trochę dalej – siedział na ławce na wrzosowisku. Ale to był on –

większość ludzi w tę pogodę nosi krótkie spodenki, koszulki i jasne kolory, on zaś miał na sobie ciemną koszulę i długie spodnie, czarne okulary przeciwsłoneczne i czapkę. Głowę miał zwróconą w stronę domu i patrzył na niego.

Przyszła mi do głowy zabawna myśl, że może to nie jest włamywacz, tylko malarz. Taki sam jak ja i myśli o namalowaniu ulicy – albo domu. Ale zaraz jak to pomyślałam, wiedziałam, że to nieprawda. Gdyby zamierzał namalować ten dom, nie siedziałby tak, tylko sporządzał szkice.

Zaczęłam się denerwować i zadzwoniłam do Gabriela. To był błąd. Zorientowałam się, że był zajęty i bynajmniej nie potrzebował, żebym do niego dzwoniła roztrzęsiona, bo według mnie ktoś obserwuje dom.

Oczywiście tylko zakładam, że mężczyzna obserwuje dom.

Może obserwować mnie.

13 sierpnia

Znowu tu był.

Krótko po tym, jak Gabriel wyszedł rano. Wzięłam prysznic i zobaczyłam go przez okno w łazience. Tym razem był bliżej. Stał na przystanku, jakby czekał na autobus.

Nie wiem, kogo on chce oszukać.

Ubrałam się szybko i poszłam do kuchni, żeby mieć lepszy widok, ale już go nie było.

Kiedy Gabriel wrócił do domu, postanowiłam mu o tym powiedzieć. Myślałam, że to zlekceważy, on jednak potraktował to poważnie. Wydawał się zmartwiony.

– To Jean-Felix? – spytał od razu.

– Oczywiście, że nie. Jak możesz tak myśleć?

Starałam się, żeby w moim głosie pobrzmiewało zaskoczenie i oburzenie, ale przecież też się nad tym zastanawiałam. Mężczyzna i Jean-Felix są tak samo zbudowani. To mógł być on, ale nawet jeśli, to nie chcę w to

wierzyć. Nie próbowałby mnie w taki sposób zastraszyć. A może?

– Podaj mi jego numer – zażądał Gabriel. – Zadzwonię do niego.

– Kochanie, proszę, nie. Jestem pewna, że to nie on.

– Na pewno?

– Jak najbardziej. Nic się nie stało. Nie wiem, dlaczego robię wokół tego tyle szumu. To nic.

– Jak długo tu był?

– Niedługo. Może z godzinę. Potem zniknął.

– Jak to zniknął?

– Po prostu się ulotnił.

– Aha. Mogłaś to sobie wyobrazić?

Zirytowało mnie coś w sposobie, w jaki to powiedział.

– Niczego sobie nie wyobrażam. Musisz mi uwierzyć.

– Wierzę ci.

Widziałam, że nie do końca mi wierzył. Jakaś jego część śmiała się ze mnie. Rozzłościło mnie to, jeśli mam być szczera. I to tak bardzo, że muszę przerwać pisanie, żeby nie napisać czegoś, czego będę żałowała.

14 sierpnia

Zaraz po przebudzeniu wyskoczyłam z łóżka. Wyjrzałam przez okno w nadziei, że mężczyzna znowu tam będzie – żeby Gabriel też mógł go zobaczyć – ale nikogo nie było. Poczułam się więc jeszcze głupiej.

Po południu postanowiłam iść na spacer mimo upału. Chciałam pobyć na wrzosowiskach, daleko od budynków, ulic i innych ludzi – sam na sam z moimi myślami. Udałam się w stronę Parliament Hill, mijając po drodze opalających się po drugiej stronie ścieżki. Znalazłam wolną ławkę i usiadłam. Spojrzałam na migoczący w oddali Londyn.

Przez cały czas zdawałam sobie z czegoś sprawę. Oglądałam się za siebie, ale nikogo nie widziałam. Niemniej ktoś tam był. Czułam to. Ktoś mnie obserwował.

W drodze powrotnej mijałam staw. Podniosłam wzrok – i oto on, ów mężczyzna – stał po drugiej stronie, zbyt daleko, żebym go wyraźnie widziała, ale wiedziałam, że to on. Wiedziałam. Stał idealnie nieruchomo i przyglądał mi się.

Poczułam lodowaty dreszcz strachu. Zadziałałam instynktownie.

– Jean-Felix? – krzyknęłam. – To ty? Przestań! Przestań mnie śledzić!

Ani drgnął. Poruszałam się najszybciej, jak umiałam. Sięgnęłam do kieszeni, wyciągnęłam telefon i zrobiłam mu zdjęcie. Nie mam pojęcia, co to da. Odwróciłam się i ruszyłam szybko wzdłuż stawu. Obejrzałam się dopiero po dojściu do głównej ścieżki. Bałam się, że będzie szedł tuż za mną.

Spojrzałam za siebie i go nie zobaczyłam.

Mam nadzieję, że to nie Jean-Felix. Naprawdę.

Po powrocie do domu czułam się zdenerwowana. Zasłoniłam okna i zgasiłam światła. Wyjrzałam przez okno i znowu go zobaczyłam.

Stał na ulicy i gapił się na mnie. Zamarłam – nie wiedziałam, co robić.

Przeraziłam się, kiedy ktoś zawołał do mnie po imieniu.

– Alicia? Alicia, jesteś tu?

To ta okropna kobieta z sąsiedztwa. Barbie Hellmann. Zostawiłam okno, podeszłam do tylnych drzwi i otworzyłam je. Barbie weszła boczną furtką i stała w ogrodzie, ściskając butelkę wina.

– Cześć, kochana – powiedziała. – Zobaczyłam, że nie ma cię w pracowni, i zastanawiałam się, gdzie jesteś.

– Wyszłam z domu. Dopiero wróciłam.

– Napijemy się? – spytała tym dziecinnym głosikiem, którego czasami używa, a który mnie naprawdę irytuje.

– Powinnam wracać do pracy.

– Jednego szybcioszka. Potem muszę lecieć, bo mam dzisiaj lekcję włoskiego. Okej?

Weszła, nie czekając na odpowiedź. Powiedziała coś na temat tego, jak ciemno jest w kuchni, i zaczęła odsłaniać okna, nie zapytawszy mnie o zdanie. Chciałam ją powstrzymać, ale gdy wyjrzałam na zewnątrz, na ulicy nikogo nie było. Mężczyzna zniknął.

Nie wiem, dlaczego powiedziałam o tym Barbie. Nie lubię jej i nie ufam – ale się bałam, i potrzebowałam z kimś porozmawiać, a ona była pod ręką. Napiłyśmy się wina, co jest dla mnie nietypowe, i zalałam się łzami. Barbie gapiła się na mnie szeroko otwartymi oczami i po raz pierwszy oniemiała. Gdy skończyłam, odstawiła butelkę i powiedziała:

– Powinnyśmy się napić czegoś mocniejszego.

Nalała nam whiskey.

– Proszę – powiedziała i podała mi szklaneczkę. – Potrzebujesz tego.

Miała rację – potrzebowałam. Wypiłam i poczułam, że podziałało. Teraz to ja musiałam wysłuchać Barbie. Nie chciała mnie straszyć, twierdziła, ale to nie brzmiało dobrze.

– Widziałam coś takiego z milion razy w programach telewizyjnych. Obserwuje dom, tak? A potem wykona ruch.

– Myślisz, że to włamywacz?

Wzruszyła ramionami.

– Albo gwałciciel. Czy to ma znaczenie? Tak źle i tak niedobrze.

Uśmiechnęłam się. Ulżyło mi, że ktoś traktował mnie poważnie – nawet jeśli to była tylko Barbie. Pokazałam jej zdjęcie w telefonie, ale nie zrobiło na niej wrażenia.

– Prześlij mi je, żebym mogła je obejrzeć w okularach. Wygląda mi na niewyraźną plamę. Powiedz, wspominałaś już o tym mężowi?

Postanowiłam skłamać.

– Nie – odparłam. – Jeszcze nie.

Barbie popatrzyła na mnie dziwnie.

– Czemu?

– Nie wiem. Chyba się boję, że Gabriel pomyśli, że przesadzam albo coś sobie wyobrażam.

– A wyobrażasz to sobie?

– Nie.

Barbie wyglądała na zadowoloną.

– Jeżeli Gabriel nie potraktuje cię poważnie, pójdziemy razem na policję. Ty i ja. Potrafię być bardzo przekonująca, wierz mi.

– Dzięki, ale to na pewno nie będzie konieczne.

– To już jest konieczne. Potraktuj to poważnie, kochana. Obiecaj mi, że powiesz Gabrielowi, gdy wróci do domu.

Przytaknęłam, ale już postanowiłam nie mówić mu nic więcej. Nie było o czym. Nie miałam dowodu, że mężczyzna mnie śledził lub obserwował. Barbie miała rację – to zdjęcie niczego nie udowadniało.

To wszystko działo się w mojej wyobraźni – tak powie Gabriel. Lepiej mu nic nie mówić, żeby go znowu nie zdenerwować. Nie chcę go niepokoić.

Zapomnę o tym.

4:00

To była kiepska noc.

Gabriel wrócił do domu padnięty około dwudziestej drugiej. Miał długi dzień i chciał się wcześnie położyć. Też próbowałam zasnąć, ale nie mogłam.

Kilka godzin temu usłyszałam hałas. Dochodził z ogrodu. Wstałam i podeszłam do okna wychodzącego na podwórze. Wyjrzałam. Nikogo nie widziałam, ale czułam na sobie czyjś wzrok. Ktoś mnie obserwował z ciemności.

Zdołałam oderwać się od okna i pobiec do sypialni. Obudziłam Gabriela.

– Ten mężczyzna jest na zewnątrz – powiedziałam. – Jest za domem.

Gabriel nie wiedział, o czym mówię, a gdy wreszcie zrozumiał, zaczął się wściekać.

– Chryste Panie! – wykrzyknął. – Daj sobie spokój. Muszę być w pracy za trzy godziny. Nie mam ochoty na te

pieprzone gierki.

– To żadna gra. Sam popatrz. Proszę.

Podeszliśmy do okna, ale mężczyzny oczywiście już nie było. Nikogo tam nie było.

Chciałam, żeby Gabriel wyszedł na zewnątrz, sprawdził to, ale się nie zgodził. Poszedł na górę zły. Próbowałam go przekonać, ale oznajmił, że nie będzie ze mną rozmawiał, i poszedł spać do sypialni gościnnej.

Nie wróciłam już do łóżka. Siedzę tu od tamtego czasu, czekam, nasłuchuję jakiegoś dźwięku, podchodzę do okien. Na razie go nie widać.

Zostało już tylko kilka godzin. Niebawem zrobi się jasno.

15 sierpnia

Gabriel zszedł po schodach, gotowy wyjść na plan zdjęciowy. Kiedy zauważył mnie przy oknie i pojął, że nie spałam całą noc, zamilkł i zaczął się dziwnie zachowywać.

– Alicio, usiądź – rzekł. – Musimy porozmawiać.

– Owszem, musimy. O tym, że mi nie wierzysz.

– Wierzę, że ty w to wierzysz.

– To nie to samo. Nie jestem cholerną idiotką.

– Nigdy cię tak nie nazwałem.

– To co chcesz powiedzieć?

Wydawało mi się, że się pokłócimy, więc zachowanie Gabriela mnie zaskoczyło. Mówił szeptem. Ledwie go słyszałam.

– Chcę, żebyś z kimś porozmawiała. Proszę.

– Kogo masz na myśli? Policję?

– Nie. – Gabriel znowu wyglądał na rozzłoszczonego. – Nie chodzi mi o policję.

Zrozumiałam, co miał na myśli, do czego zmierzał. Ale musiałam to usłyszeć z jego ust. Chciałam, żeby to powiedział.

– W takim razie o kogo?

– Doktora.

– Nie spotkam się z lekarzem, Gabrielu…

– Musisz to dla mnie zrobić. Musimy się spotkać w połowie drogi. Musimy się spotkać w połowie drogi – powtórzył.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. W połowie jakiej drogi? Przecież tu jestem.

– Wcale nie. Nie ma cię tu!

Wydawał się taki zmęczony, zdenerwowany. Chciałam go chronić. Pocieszyć.

– Wszystko jest w porządku, kochanie – zapewniłam go. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Gabriel pokręcił głową, jakby mi nie wierzył.

– Umówię cię na spotkanie z doktorem Westem. Jak najszybciej. Możliwe, że jeszcze dzisiaj. – Zawahał się i spojrzał na mnie. – Dobrze?

Wyciągnął do mnie rękę – miałam ochotę ją mocno uderzyć albo podrapać. Chciałam go ugryźć, rzucić się na stół i wrzasnąć: „Myślisz, że jestem wariatką, ale to nieprawda! Nie jestem! Nie jestem, nie jestem!”.

Nie zrobiłam nic z tych rzeczy. Zamiast tego przytaknęłam, a Gabriel wziął mnie za rękę.

– W porządku, kochanie – powiedziałam. – Jak chcesz.

16 sierpnia

Poszłam na spotkanie z doktorem Westem. Niechętnie, ale poszłam.

Stwierdziłam, że go nienawidzę. Nie znoszę jego, jego wąskiego domu, siedzenia w tym dziwnym pokoiku na piętrze i dobiegającego z salonu ujadania psa. Szczekał przez cały czas mojej wizyty. Chciałam krzyknąć, żeby się zamknął, i ciągle myślałam, że doktor West coś z tym zrobi, ale on zachowywał się tak, jakby go nie słyszał. Może i nie słyszał. Podobnie jak i tego, co do niego mówiłam. Powiedziałam mu, co się wydarzyło. Opowiedziałam o mężczyźnie obserwującym dom i o tym, jak go widziałam, kiedy mnie śledził na wrzosowisku. Powiedziałam to

wszystko, a on nie zareagował. Siedział tylko z tym swoim uśmieszkiem. I patrzył na mnie, jakbym była jakimś owadem. Wiem, że rzekomo jest przyjacielem Gabriela, niemniej nie rozumiem, jak oni mogli się przyjaźnić. Gabriel jest taki ciepły, a doktor West wręcz przeciwnie. Dziwnie to zabrzmi w odniesieniu do lekarza, ale nie ma w nim krztyny życzliwości.

Gdy już przestałam opowiadać mu o mężczyźnie, doktor długo się nie odzywał. Jego milczenie zdawało się nie mieć końca. Słychać było tylko psa z dołu. Zaczęłam się wczuwać w to ujadanie i wchodzić w swoisty trans. Doktor West zaskoczył mnie, kiedy wreszcie się odezwał.

– Już to przerabialiśmy, Alicio, czyż nie?

Popatrzyłam na niego bez wyrazu. Nie byłam pewna, co miał na myśli.

– Czyżby?

Przytaknął.

– Owszem.

– Wiem, że myślisz, że sobie to wyobrażam. Ale to nie tak. To się dzieje naprawdę.

– Tak mówiłaś poprzednio. Pamiętasz? Pamiętasz, co się wtedy stało?

Nie odpowiedziałam. Nie chciałam mu dać tej satysfakcji. Tylko siedziałam i patrzyłam na niego gniewnie jak nieposłuszne dziecko.

Doktor West nie czekał na odpowiedź. Mówił dalej i przypomniał mi, co się stało po śmierci mojego ojca, o moim załamaniu, paranoidalnych oskarżeniach, jakie wysuwałam – żywiłam przekonanie, że ktoś mnie obserwuje, śledzi, szpieguje.

– Zatem sama rozumiesz, że już to przerabialiśmy.

– Ale wtedy było inaczej. To było poczucie. Nigdy nie miałam zwidów. A tym razem kogoś widziałam.

– Kogo?

– Już mówiłam. Mężczyznę.

– Opisz go.

Zawahałam się.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Nie widziałam go wyraźnie. Już mówiłam, że był zbyt daleko.

– Rozumiem.

– No i maskował się. Miał czapkę. I okulary przeciwsłoneczne.

– Wielu ludzi nosi okulary przeciwsłoneczne przy tej pogodzie. I czapki. Wszyscy się maskują.

Zaczynałam już tracić panowanie nad sobą.

– Wiem, co starasz się osiągnąć.

– Co takiego?

– Mam przyznać, że znowu popadam w obłęd, jak po śmierci taty.

– A myślisz, że tak właśnie jest?

– Nie. W tamtym czasie byłam chora. A teraz nie jestem. Nic mi nie dolega, oprócz tego, że ktoś mnie śledzi, a wy mi nie wierzycie!

Doktor West przytaknął, ale się nie odezwał. Zapisał w notesie kilka rzeczy.

– Znowu zaczniesz przyjmować lekarstwa – oznajmił. – Na wszelki wypadek. Nie chcemy, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli, prawda?

Pokręciłam głową.

– Nie będę zażywać żadnych tabletek.

– Rozumiem. Jeżeli odmawiasz, musisz być świadoma konsekwencji.

– Jakich konsekwencji? Grozisz mi?

– To nie ma nic wspólnego ze mną. Mówię o twoim mężu. Jak sądzisz, jak się Gabriel czuje po tym, przez co przechodził poprzednim razem?

Wyobraziłam sobie Gabriela czekającego w salonie z ujadającym psem.

– Nie wiem – odparłam. – Dlaczego go o to nie zapytasz?

– Chcesz, żeby znowu przez to przechodził? Nie sądzisz, że może istnieć granica tego, jak dużo może znieść?

– Do czego zmierzasz? Stracę Gabriela? O tym myślisz?

Zrobiło mi się niedobrze, gdy tylko to powiedziałam. Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym go stracić. Zrobię wszystko, żeby go zatrzymać – będę nawet udawała wariatkę, chociaż wiem, że nią nie jestem. Więc się poddałam. Zgodziłam się być „szczera” z doktorem Westem w kwestii tego, co myślę i czuję, jak też poinformować go, gdybym słyszała głosy. Obiecałam zażywać przepisane mi lekarstwa i wrócić na kontrolę za dwa tygodnie.

Doktor West wyglądał na zadowolonego. Powiedział, że teraz możemy iść na dół i dołączyć do Gabriela. Kiedy szedł schodami przede mną, miałam ochotę go z nich zepchnąć. Żałuję, że tego nie zrobiłam.

Gabriel wydawał się o wiele weselszy w drodze do domu. Zerkał na mnie zza kierownicy i się uśmiechał.

– Dobra robota. Jestem z ciebie dumny. Przetrwamy to, zobaczysz.

Przytaknęłam, ale nic nie powiedziałam. Bo to są bzdury – „my” tego nie przetrwamy.

Będę musiała poradzić sobie z tym sama.

To był błąd, że powiedziałam komukolwiek. Jutro poproszę Barbie, żeby o wszystkim zapomniała – poinformuję ją, że przestałam o tym myśleć i nie chcę na ten temat rozmawiać. Pomyśli, że jestem dziwna, i zirytuję ją, bo odbiorę jej ten dramatyzm, ale jeśli będę się zachowywała normalnie, niebawem o tym zapomni. Co do Gabriela, pozwolę jego umysłowi odpocząć. Będę się zachowywała, jakby wszystko wróciło do normy. Urządzę wspaniałe przedstawienie. Nie stracę czujności nawet na sekundę.

W drodze do domu zajechaliśmy do apteki i Gabriel zrealizował receptę. W domu weszliśmy do kuchni.

Podał mi żółte pigułki i szklankę z wodą.

– Weź je.

– Nie jestem dzieckiem – żachnęłam się. – Nie musisz mi ich podawać.

– Wiem, że nie jesteś dzieckiem. Chcę tylko mieć pewność, że to weźmiesz, a nie wyrzucisz.

– Wezmę.

– No to bierz.

Gabriel patrzył na mnie, gdy włożyłam tabletki do ust i popiłam łykiem wody.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział i pocałował mnie w policzek. Wyszedł z kuchni.

W chwili, kiedy odwrócił się do mnie plecami, wyplułam pigułki. Prosto do zlewu. I spłukałam je. Nie będę brała żadnych lekarstw. Przez te, które doktor West przepisał mi poprzednio, prawie zwariowałam. Nie będę znowu ryzykować.

Muszę być w pełni świadoma.

Przygotowana.

17 sierpnia

Zaczęłam ukrywać pamiętnik. W podłodze w sypialni gościnnej jest luźna deska. Chowam notes tam, w przestrzeni pod deskami. Dlaczego? Na tych stronach pozwalam sobie na nadmierną szczerość. Nie byłoby bezpiecznie zostawiać go na zewnątrz. Wyobrażam sobie, że Gabriel przypadkiem się na niego natyka, walczy z ciekawością, ale i tak go otwiera i zaczyna czytać. Gdyby się dowiedział, że nie zażywam leków, poczułby się zdradzony, zraniony. Nie mogłabym tego znieść.

Dzięki Bogu mam ten pamiętnik. Pozwala mi zachować zdrowe zmysły. Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

Nikomu nie mogę ufać.

21 sierpnia

Nie wychodzę z domu od trzech dni. Gabrielowi mówię, że chodzę na spacery popołudniami, kiedy go nie ma, ale to nieprawda.

Myśl o wyjściu napawa mnie lękiem. Byłabym za bardzo na widoku. W domu przynajmniej wiem, że jestem bezpieczna. Mogę siedzieć przy oknie i obserwować przechodniów. W każdej twarzy wypatruję rysów tamtego mężczyzny – tyle tylko, że nie wiem, jak on wyglądał, i na tym polega problem. Mógł zrezygnować z maskowania się i stanąć przede mną, a ja bym się nie zorientowała.

Niepokojąca myśl.

22 sierpnia

Nadal nie ma po nim ani śladu. Nie mogę się dekoncentrować. To tylko kwestia czasu. Prędzej czy później wróci. Muszę być przygotowana. Podjąć odpowiednie kroki.

Dzisiaj rano po przebudzeniu przypomniałam sobie o pistolecie Gabriela. Zabiorę go z sypialni gościnnej. Będę trzymać na dole, gdzie będzie łatwo dostępny. Schowam go w szafce w kuchni, przy oknie. W razie potrzeby będzie pod ręką.

Wiem, że to brzmi jak wariactwo. Mam nadzieję, że do niczego nie dojdzie. Że już nigdy nie zobaczę tego człowieka.

Mam jednak potworne przeczucie, że jednak zobaczę.

Gdzie on jest? Dlaczego się nie pojawia? Chce osłabić moją czujność? Nie wolno mi tego zrobić. Muszę nadal być przy oknie.

Czekać.

Obserwować.

23 sierpnia

Zaczynam myśleć, że sobie to wszystko wyobraziłam. Może i tak.

Gabriel pyta, jak się miewam, czy wszystko u mnie w porządku. Widzę, że się martwi, mimo że twierdzę, że wszystko jest dobrze. Moja gra już go nie przekonuje. Muszę się bardziej postarać. Udaję, że przez całe dnie skupiam się na pracy – podczas gdy jest to ostatnia rzecz, o której myślę. Straciłam z nią łączność, brakuje mi rozpędu, by dokończyć obrazy. Gdy piszę te słowa, naprawdę nie mogę szczerze stwierdzić, że będę jeszcze kiedykolwiek malowała. Nie do czasu, gdy będę to miała za sobą.

Znajduję wymówki, by nie wychodzić z domu – Gabriel oznajmił mi, że dzisiaj jednak nie będę miała wyboru. Max zaprosił nas na kolację.

Nie wyobrażam sobie nic gorszego od spotkania z Maxem. Błagałam Gabriela, żeby to odwołał, mówiłam, że muszę pracować, ale on odparł, że wyjście dobrze mi zrobi. Nalegał i zorientowałam się, że nie żartuje, więc nie miałam wyboru. Poddałam się i zgodziłam.

Przez cały dzień martwiłam się o ten wieczór. Bo gdy mój umysł zaczął o tym myśleć, wszystkie elementy zaczęły do siebie pasować. Wszystko nabrało sensu. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej, takie to oczywiste.

Teraz już rozumiem. Ten mężczyzna – ten, który mnie obserwuje – to nie Jean-Felix. Jean-Felix nie jest dość mroczny ani zły, żeby zrobić coś takiego. Kto inny chciałby mnie nękać, przestraszyć, ukarać?

Max.

No jasne, to jest Max. Próbuje doprowadzić mnie do obłędu.

Boję się tego, ale muszę się zdobyć na odwagę. Zrobię to dzisiaj.

Doprowadzę do konfrontacji.

24 sierpnia

Czułam się dziwnie i trochę przerażona podczas wczorajszego wyjścia, po tak długim czasie w domu.

Świat na zewnątrz wydawał mi się ogromny – otaczała mnie pusta przestrzeń, miałam nad sobą wielkie niebo. Czułam się malutka i trzymałam Gabriela za rękę dla poczucia wsparcia.

Nie czułam się bezpieczna, mimo że poszliśmy do naszego ulubionego Augusto's. Nie było tam tak przyjemnie i znajomo jak zawsze. Restauracja wyglądała inaczej. I pachniała inaczej – spalenizną. Spytałam Gabriela, czy coś się pali w kuchni, ale powiedział, że nic nie czuje i że coś sobie wyobraziłam.

– Wszystko jest w porządku – stwierdził. – Uspokój się.

– Jestem spokojna. Nie wyglądam?

Gabriel nie odpowiedział. Tylko zacisnął szczęki, co robi wtedy, gdy jest zirytowany. Usiedliśmy i czekaliśmy na Maxa w milczeniu.

Max przyprowadził na kolację swoją recepcjonistkę. Ma na imię Tanya. Wygląda na to, że zaczęli się spotykać. Max zachowywał się, jakby był w niej zakochany, obłapiał ją, dotykał i całował – przez cały czas gapił się przy tym na mnie. Wyobrażał sobie, że wzbudzi moją zazdrość? Jest okropny. Niedobrze mi się robi na myśl o nim.

Tanya zorientowała się, że coś się dzieje – kilka razy przyłapała Maxa na tym, że się na mnie gapił. Powinnam ją przed nim przestrzec. Powiedzieć jej, w co się pakuje. Może to zrobię, ale nie teraz. Co innego jest dla mnie ważne.

Max nas przeprosił i udał się do toalety. Odczekałam chwilę, po czym skorzystałam z okazji i również odeszłam od stołu pod pozorem udania się do łazienki.

Dopadłam go za rogiem i chwyciłam za rękę. Ścisnęłam mocno.

– Przestań – powiedziałam. – Przestań!

Max wydawał się rozbawiony.

– Co niby?

– Szpiegujesz mnie. Obserwujesz. Wiem, że to robisz.

– Słucham? Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, Alicio.

– Nie okłamuj mnie. – Z trudem panowałam nad głosem. Miałam ochotę krzyczeć. – Widziałam cię. Zrobiłam zdjęcie. Sfotografowałam cię!

Max się zaśmiał.

– Co ty wygadujesz? Puść mnie, ty szurnięta dziwko.

Spoliczkowałam go. Mocno.

Wtedy się odwróciłam i zobaczyłam Tanyę. Wyglądała tak, jakbym to ją uderzyła.

Patrzyła to na Maxa, to na mnie, ale się nie odzywała. Wyszła z restauracji.

Max popatrzył na mnie gniewnie, a potem ruszył za nią. Po drodze syknął:

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Nie obserwuję cię, do cholery. A teraz zejdź mi z drogi.

Po sposobie, w jaki to powiedział, z taką złością i wzgardą, zorientowałam się, że mówił prawdę. Wierzyłam mu. Nie chciałam, ale wierzyłam.

Jeśli nie Max… to kto?

25 sierpnia

Usłyszałam coś. Hałas na zewnątrz. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam kogoś, kto poruszał się w cieniu…

To ten mężczyzna. Jest na zewnątrz.

Zadzwoniłam do Gabriela, ale nie odebrał. Powinnam zadzwonić na policję? Nie wiem, co robić. Ręka tak mi się trzęsie, że nie mogę… Słyszę go – na dole – sprawdza okna i drzwi. Próbuje wejść do środka.

Muszę się stąd wydostać. Muszę uciekać.

O Boże, słyszę go…

Jest w środku.

Jest w domu.

Część IV

Terapia nie służy temu, by skorygować przeszłość, ale by umożliwić pacjentowi konfrontację z jego historią i opłakanie jej.

Alice Miller

1

Zamknąłem pamiętnik Alicii i odłożyłem na biurko.

Siedziałem bez ruchu i wsłuchiwałem się w deszcz bębniący za oknem. Próbowałem zrozumieć to, co właśnie przeczytałem. Sprawa Alicii Berenson była najwyraźniej bardziej skomplikowana, niż podejrzewałem. Ta kobieta była dla mnie jak zamknięta księga, a teraz, gdy ta księga się otworzyła, odsłonięta przede mną treść zaskoczyła mnie.

Miałem mnóstwo pytań. Alicia podejrzewała, że była obserwowana. Czy kiedykolwiek poznała tożsamość tego mężczyzny? Powiedziała komuś? Musiałem się tego dowiedzieć. Z tego, co wiedziałem, opowiedziała o tym tylko trzem osobom – Gabrielowi, Barbie i tajemniczemu doktorowi Westowi. Poprzestała na tym czy powiedziała komuś jeszcze? I kolejne pytanie. Dlaczego jej pamiętnik kończy się tak gwałtownie? Czy jest coś jeszcze, zapisane gdzie indziej? Kolejny notes, którego mi nie dała? Zastanawiałem się, dlaczego Alicia dała mi swój pamiętnik do przeczytania. Komunikowała coś, to jasne – i był to komunikat niemal szokująco intymny. Gest dobrej woli, który miał mi pokazać, jak bardzo mi ufała? A może coś bardziej złowrogiego?

Było coś jeszcze, coś, co musiałem sprawdzić. Doktor West – lekarz, który leczył Alicię. Bardzo ważny świadek dysponujący istotnymi informacjami o stanie jej umysłu w chwili zabójstwa. A mimo to nie zeznawał w procesie. Dlaczego? W ogóle o nim nie wspomniano. Dopóki nie przeczytałem o nim w notatniku, jakby w ogóle nie istniał. Jak dużo wiedział? Czego nie wyjawił?

Doktor West.

To nie mógł być ten sam człowiek. To musiał być zbieg okoliczności. Musiałem się tego dowiedzieć.

Schowałem pamiętnik do szuflady biurka i zamknąłem ją. Niemal natychmiast zmieniłem zdanie. Otworzyłem szufladę i wyciągnąłem pamiętnik. Lepiej trzymać go przy sobie – bezpieczniej będzie nie

spuszczać go z oczu. Wsunąłem go do kieszeni płaszcza i przewiesiłem okrycie przez ramię.

Wyszedłem ze swojego gabinetu. Poszedłem na dół i pokonałem długi korytarz, aż dotarłem do drzwi na końcu.

Przyglądałem się im przez chwilę. Na małej tabliczce widniało nazwisko:

„DR CH. WEST”.

Nie zadałem sobie trudu, by zapukać. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

2

Christian siedział za biurkiem i jadł pałeczkami sushi na wynos. Popatrzył na mnie i ściągnął brwi.

– Nie umiesz pukać?

– Muszę z tobą pogadać.

– Nie teraz. Właśnie jem lunch.

– To nie potrwa długo. Mam krótkie pytanie. Czy leczyłeś kiedykolwiek Alicię Berenson?

Christian połknął porcję ryżu i popatrzył na mnie skonsternowany.

– Jak to? Przecież wiesz, że ją leczę. Jestem szefem zespołu, który się nią opiekuje.

– Nie chodzi mi o szpital. Tylko o czas, zanim ją tu przyjęto.

Przyglądałem mu się uważnie. Wyraz jego twarzy powiedział mi wszystko, co musiałem wiedzieć. Poczerwieniał i opuścił pałeczki.

– O czym ty mówisz?

Wyciągnąłem pamiętnik Alicii z kieszeni i pokazałem mu.

– Może cię to zainteresować. Pamiętnik Alicii. Pisany w miesiącach poprzedzających zabójstwo. Przeczytałem go.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Wspomniała w nim o tobie.

– O mnie?

– Najwyraźniej konsultowałeś ją prywatnie, zanim została skierowana do The Grove. Nie wiedziałem o tym.

– Nie… nie rozumiem. To musi być jakaś pomyłka.

– Nie sądzę. Konsultowałeś ją prywatnie przez kilka lat, ale nie zeznawałeś w trakcie procesu, pomimo wagi dowodów, jakie mógłbyś dostarczyć. Nie przyznałeś się też do tego, że ją znałeś, kiedy zacząłeś tu pracować. Prawdopodobnie od razu cię poznała. Masz szczęście, że milczy.

Powiedziałem to oschle, ale czułem wielką złość. Teraz już rozumiałem, dlaczego Christian tak bardzo mi przeszkadzał

w doprowadzeniu Alicii do tego, by zaczęła mówić. Jej milczenie leżało w jego interesie.

– Jesteś samolubnym sukinsynem, Christianie. Wiesz o tym?

Christian patrzył na mnie z coraz większym przerażeniem.

– Kurwa – zaklął pod nosem. – Kurwa. Theo, słuchaj, to nie jest tak, jak się wydaje.

– Nie?

– Co jeszcze napisała w pamiętniku?

– A co miała napisać?

Christian nie odpowiedział na pytanie. Wyciągnął rękę.

– Mogę zerknąć?

– Przykro mi – odparłem i pokręciłem głową. – To chyba nie byłoby stosowne.

Christian bawił się pałeczkami i mówił:

– Nie powinienem był tego robić. Ale to było całkowicie niewinne. Musisz mi uwierzyć.

– Obawiam się, że nie uwierzę. Skoro to było takie niewinne, dlaczego nie ujawniłeś się po zabójstwie?

– Bo tak naprawdę nie byłem lekarzem Alicii. To znaczy, nie oficjalnie. Wyświadczałem Gabrielowi przysługę. Przyjaźniliśmy się. Studiowaliśmy razem. Byłem na ich ślubie. Nie widziałem go przez kilka lat, aż do mnie zadzwonił, kiedy szukał psychiatry dla żony. Źle się czuła po śmierci ojca.

– Poleciłeś mu swoje usługi?

– Skąd, wręcz przeciwnie. Chciałem polecić mu kolegę, ale on nalegał, żebym się z nią zobaczył. Powiedział, że bardzo się sprzeciwiała całemu temu pomysłowi, a fakt, że jestem przyjacielem, prawdopodobnie nakłoni ją do współpracy. Odniosłem się do tego niechętnie.

– Na pewno.

Christian posłał mi pełne urazy spojrzenie.

– Ten sarkazm nie jest potrzebny.

– Gdzie ją przyjmowałeś?

– W domu mojej dziewczyny. Ale jak już ci powiedziałem – dodał szybko – robiłem to nieoficjalnie. Tak naprawdę nie byłem jej lekarzem. Rzadko ją widywałem. Tylko od czasu do czasu…

– A czy w tych rzadkich przypadkach naliczałeś opłatę?

Christian zamrugał oczami i unikał mojego spojrzenia.

– Cóż, Gabriel nalegał, więc nie miałem wyboru…

– W gotówce, domyślam się?

– Theo…

– Przyjmowałeś od niego gotówkę?

– Tak, ale…

– Zgłaszałeś to?

Christian zagryzł wargę i nie odpowiadał. Zatem nie. To dlatego nie ujawnił się w czasie procesu Alicii. Byłem ciekaw, ilu innych pacjentów przyjmował „nieoficjalnie" i bez zgłaszania dochodu.

– Posłuchaj – odezwał się. – Jeśli Diomedes się dowie, mogę stracić pracę. Wiesz to, prawda?

W jego głosie pobrzmiewało błaganie, które miało obudzić we mnie współczucie. Niestety, nie współczułem Christianowi. Wyłącznie nim gardziłem.

– Co tam profesor? A rada zawodowa? Stracisz licencję.

– Tylko jeśli coś powiesz. Nie musisz nic nikomu mówić. Przecież na tym etapie to i tak mało istotne, prawda? Przecież rozmawiamy o mojej karierze, do kurwy nędzy.

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, nie sądzisz?

– Theo, proszę…

Christian chyba czuł się fatalnie z tym, że musiał się tak przede mną płaszczyć, ale przyglądanie się temu, jak się wije, nie dawało mi satysfakcji, tylko mnie irytowało. Nie zamierzałem wydawać go Diomedesowi – przynajmniej jeszcze nie teraz. Uznałem, że bardziej mi się przyda, jeśli będę go trzymał w garści.

– Spokojnie – powiedziałem. – Nikt nie musi się dowiadywać. Na razie.

– Dziękuję. Poważnie. Jestem twoim dłużnikiem.

– Owszem. Skorzystam z tego.

– Co chcesz wiedzieć?

– Żebyś zaczął mówić. Opowiedz mi o Alicii.

– A co chcesz wiedzieć?

– Wszystko – oznajmiłem.

3

Christian przyglądał mi się i bawił pałeczkami. Zastanawiał się przez kilka minut, zanim się odezwał.

– Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Nie wiem, co chcesz usłyszeć. Ani od czego mam zacząć.

– Najlepiej od początku. Widywałeś ją przez kilka lat?

– Nie… To znaczy tak, ale, jak już ci mówiłem, nie tak często, jak zdajesz się sugerować. Po śmierci ojca widziałem ją dwa lub trzy razy.

– A kiedy po raz ostatni?

– Mniej więcej na tydzień przed zabójstwem.

– Jak byś opisał jej stan psychiczny?

– Och. – Christian odchylił się do tyłu, usiadł wygodniej i rozluźnił się, bo znalazł się na bezpieczniejszym gruncie. – Miała silną paranoję, halucynacje, wręcz psychozę. Przerabialiśmy to już wcześniej. Miała długą historię zmiennych nastrojów. Górki i dołki, typowe dla pogranicznych.

– Daruj sobie pieprzoną diagnozę. Poproszę fakty.

Christian posłał mi urażone spojrzenie, ale postanowił się nie sprzeczać.

– Co chcesz wiedzieć?

– Alicia wyznała ci, że ktoś ją obserwował, czy tak?

Christian popatrzył na mnie skonsternowany.

– Obserwował?

– Ktoś ją śledził. Chyba ci o tym mówiła?

Christian popatrzył na mnie dziwnie. A potem, ku mojemu zaskoczeniu, wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak bawi? – spytałem.

– Chyba w to nie wierzysz? Podglądacz obserwujący ją przez okno?

– Nie sądzisz, że to prawda?

– Czysta fantazja. Wydaje mi się to oczywiste.

Ruchem głowy wskazałem pamiętnik.

– Pisze o tym dość przekonująco. Uwierzyłem jej.

– To jasne, że brzmiała przekonująco. Też bym jej uwierzył, gdybym się nie znał na rzeczy. Przeżywała epizod psychotyczny.

– Tak utrzymujesz. Na podstawie lektury pamiętnika nie jest to takie oczywiste. Wydaje się przerażona.

– Miała swoją historię. To samo wydarzyło się tam, gdzie poprzednio mieszkali. Dlatego musieli się przeprowadzić. Oskarżyła starszego mężczyznę z naprzeciwka, że ją szpieguje. Narobiła rabanu. Okazało się, że staruszek był niewidomy, więc nawet jej nie widział. Zawsze była wysoce niestabilna. O wszystkim przesądziło samobójstwo ojca. Nigdy nie doszła do siebie.

– Rozmawiała z tobą o nim? O ojcu?

Wzruszył ramionami.

– Nie bardzo. Zawsze utrzymywała, że go kochała i łączył ich normalny związek. Na tyle, na ile to możliwe, zważywszy na to, że matka się zabiła. Szczerze mówiąc, miałem szczęście, że zdołałem wyciągnąć z Alicii cokolwiek. Bardzo nie chciała współpracować. Była… Sam wiesz, jaka jest.

– Wygląda na to, że nie tak dobrze jak ty. – I zanim zdążył mi przerwać, zapytałem: – Po śmierci ojca próbowała popełnić samobójstwo?

Christian wzruszył ramionami.

– Skoro tak chcesz to nazwać. Bo ja bym tego tak nie nazywał.

– A jak?

– Było to zachowanie samobójcze, ale nie sądzę, że chciała umrzeć. Była zbyt narcystyczna, żeby chcieć sobie naprawdę zrobić krzywdę. Przedawkowała leki, raczej na pokaz. „Komunikowała” swoje cierpienie Gabrielowi, zawsze starała się zwrócić na siebie jego uwagę. Biedaczysko. Gdybym nie respektował zasady poufności, kazałbym mu brać nogi za pas.

– Miał pecha, że jesteś takim etycznym człowiekiem.

Christian się skrzywił.

– Theo, wiem, że jesteś wysoce empatyczny i dlatego jesteś tak dobrym terapeutą, ale na Alicię Berenson marnujesz tylko czas. Nawet przed zabójstwem nie była zdolna do introspekcji lub

mentalizacji czy jakkolwiek chcesz to nazywać. Była całkowicie pochłonięta sobą i swoją sztuką. Cała twoja empatia, twoja życzliwość… Ona nie potrafi tego oddać. To beznadziejny przypadek. Kompletna suka.

Christian powiedział to z pogardą i bez cienia empatii dla tak zniszczonej kobiety. Przez moment zastanawiałem się, czy przypadkiem to on nie cierpi na zaburzenia z pogranicza, a nie Alicia. Miałoby to o wiele więcej sensu. Wstałem.

– Idę się spotkać z Alicią. Muszę się czegoś dowiedzieć.

– Od Alicii? – Christian wydawał się zaskoczony. – A jak zamierzasz to uzyskać?

– Po prostu ją spytam – odparłem i wyszedłem.

4

Poczekałem, aż Diomedes zniknął w gabinecie, a Stephanie poszła na spotkanie z przedstawicielami Funduszu. Wemknąłem się do akwarium złotej rybki i znalazłem Yuriego.

– Muszę się zobaczyć z Alicią – oznajmiłem.

– Tak? – Yuri przyjrzał mi się dziwnie. – Ale… wydawało mi się, że terapia została przerwana.

– Owszem. Chcę z nią porozmawiać prywatnie, to wszystko.

– Rozumiem. – Yuri miał wątpliwości. – Gabinet psychoterapii jest zajęty. Indira spotyka się tam z pacjentkami do końca dnia. – Pomyślał przez chwilę. – Sala terapii sztuką jest wolna, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Będziesz się jednak musiał streszczać.

Nie rozwodził się na ten temat, ale wiedziałem, o co mu chodziło – musieliśmy załatwić sprawę szybko, żeby nikt nas nie zauważył i nie doniósł o wszystkim Stephanie. Cieszyłem się, że Yuri stał po mojej stronie, dobry z niego człowiek. Miałem wyrzuty sumienia, że go tak źle oceniłem przy pierwszym spotkaniu.

– Dzięki – rzuciłem. – Doceniam to.

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Przyprowadzę ją za dziesięć minut.

Yuri dotrzymał słowa. Dziesięć minut później siedziałem naprzeciwko Alicii w sali terapii sztuką; dzielił nas pochlapany farbą blat.

Usiadłem na rozklekotanym taborecie i poczułem się niepewnie. Alicia wyglądała na całkowicie opanowaną, jakby pozowała do portretu albo przymierzała się do namalowania go.

– Dziękuję za to – powiedziałem, wyciągnąłem pamiętnik i położyłem go przed sobą. – Za to, że mogłem to przeczytać. Wiele dla mnie znaczy, że powierzyłaś mi coś tak osobistego.

Uśmiechnąłem się, ale zostało to skwitowane obojętnym wyrazem twarzy. Rysy Alicii stężały i ani drgnęły. Zastanawiałem się, czy

żałowała, że dała mi pamiętnik. Być może wstydziła się tego, że się tak całkowicie odsłoniła. Po chwili milczenia ciągnąłem:

– Pamiętnik kończy się gwałtownie, w dramatycznych okolicznościach. – Przekartkowałem puste strony. – Przypomina naszą terapię, niepełną, niedokończoną.

Alicia milczała. Po prostu patrzyła. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale na pewno nie tego. Przyjąłem, że ofiarowanie mi pamiętnika sygnalizowało jakąś zmianę – zaproszenie, otwarcie, punkt wyjścia, tymczasem wróciłem do początku i stanąłem w obliczu nieprzeniknionego muru.

– Miałem nadzieję, że zwrócenie się do mnie nie wprost, ale za pośrednictwem tych stron, może stanowić preludium do kolejnego kroku i że odezwiesz się do mnie.

Żadnej reakcji.

– Uważam, że dałaś mi to, bo chciałaś się ze mną skomunikować. I zrobiłaś to. Ta lektura wiele mi o tobie powiedziała, o tym, jaka się czułaś samotna, odizolowana, przelękniona, że twoja sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana, niż początkowo sądziłem. Weźmy na przykład twoją relację z doktorem Westem.

Zerknąłem na nią, gdy wspomniałem nazwisko Christiana. Liczyłem na jakąś reakcję, zwężenie oczu, zaciśnięcie szczęk – doprawdy cokolwiek – tymczasem nie uzyskałem nic, nawet mrugnięcia powieką.

– Nie miałem pojęcia, że znałaś Christiana Westa, zanim trafiłaś do The Grove. Przyjmował cię prywatnie przez kilka lat. Na pewno go rozpoznałaś, gdy podjął tu pracę, zaledwie kilka miesięcy po twoim przyjęciu. Na pewno poczułaś się skonsternowana, kiedy nie zdradził po sobie, że cię zna. Pewnie cię to zdenerwowało?

Sformułowałem pytanie, ale nie uzyskałem odpowiedzi. Christian jej nie interesował. Alicia odwróciła wzrok, znudzona, rozczarowana – jakbym stracił okazję, poszedł w złym kierunku. Oczekiwała czegoś ode mnie, a ja jej tego nie dałem.

Cóż, jeszcze nie skończyłem.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem. – Stawiasz w pamiętniku pewne pytania, na które należałoby odpowiedzieć. Pewne kwestie nie mają sensu, nie pasują do informacji, które zdobyłem z innych

źródeł. Teraz, skoro pozwoliłaś mi to przeczytać, czuję się zobligowany zgłębiać sprawę dalej. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Oddałem Alicii jej pamiętnik. Wzięła go i położyła na nim palce. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

– Jestem po twojej stronie, Alicio – oznajmiłem wreszcie. – Wiesz o tym, prawda?

Nic nie powiedziała.

Uznałem to za potwierdzenie.

5

Kathy robiła się nieostrożna. Przypuszczam, że to było nieuniknione. Zdrada uchodziła jej na sucho tak długo, że ją to rozleniwiło.

Wróciłem do domu w chwili, gdy szykowała się do wyjścia.

– Idę na spacer – oświadczyła, wkładając buty sportowe. – Niedługo wrócę.

– Ruch dobrze mi zrobi. Mogę ci towarzyszyć?

– Nie. Muszę przećwiczyć rolę.

– Mogę cię sprawdzać, jeśli chcesz.

– Nie. – Kathy pokręciła głową. – Jest mi łatwiej, gdy robię to sama. Po prostu recytuję tekst, fragmenty, które jeszcze zapominam, te z aktu drugiego. Chodzę po parku i powtarzam je na głos. Powinieneś widzieć, jak ludzie na mnie patrzą.

Muszę jej oddać, że mówiła to zupełnie szczerze, podtrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Była doskonałą aktorką.

Też się podciągnąłem w aktorstwie. Uśmiechnąłem się do niej serdecznie.

– Miłego spaceru – powiedziałem.

Śledziłem ją, gdy wyszła z domu. Zachowywałem bezpieczną odległość – ale ona nawet się nie odwróciła. Jak już powiedziałem, robiła się nieostrożna.

Szła jakieś pięć minut, do wejścia do parku. Tam z cienia wyszedł jej naprzeciw mężczyzna. Był odwrócony do mnie plecami i nie widziałem jego twarzy. Miał ciemne włosy, był dobrze zbudowany, wyższy ode mnie. Podeszła do niego, a on przyciągnął ją do siebie. Zaczęli się całować. Kathy pożerała jego pocałunki, poddawała mu się. Delikatnie mówiąc, dziwnie się czułem z tym, że widziałem ją w objęciach innego mężczyzny. Jego dłonie pieściły jej piersi ukryte pod ubraniem.

Wiedziałem, że powinienem się schować. Znajdowałem się na widoku – gdyby Kathy się odwróciła, na pewno by mnie zobaczyła.

Ale nie mogłem się ruszyć. Stałem sparaliżowany, jakbym spojrzał na Meduzę i skamieniał.

Wreszcie przestali się całować i przytuleni weszli do parku. Poszedłem za nimi. Poczułem się zdezorientowany. Z tyłu, z pewnej odległości, mężczyzna nie różnił się ode mnie – przez kilka sekund przeżywałem coś dziwnego, przekonany, że właśnie patrzę na siebie i Kathy.

Poszli w stronę zalesionego terenu i tam zniknęli.

W żołądku czułem mdlący strach. Oddychałem z trudem, powoli, ciężko. Każda część mojego ciała podpowiadała mi, żebym się oddalił, uciekał jak najdalej. Ale nie zrobiłem tego. Wszedłem za nimi do lasu.

Starałem się hałasować jak najmniej, ale gałązki strzelały pod moimi stopami, a większe gałęzie zaczepiały się o mnie. Nigdzie ich nie widziałem – drzewa rosły tak blisko siebie, że mogłem coś zobaczyć wyłącznie w promieniu kilku metrów.

Zatrzymałem się i nasłuchiwałem. Usłyszałem szum drzew. Mógł go wywołać wiatr. Nagle usłyszałem coś charakterystycznego, niski gardłowy dźwięk, który natychmiast rozpoznałem.

To były jęki Kathy.

Próbowałem podejść bliżej, ale gałęzie mnie pochwyciły i przytrzymały jak muchę w pajęczynie. Stałem tam, w mroku, i wdychałem piżmową woń kory i ziemi. Słuchałem jęków Kathy, kiedy on ją pieprzył. Sapał przy tym jak zwierzę.

Płonąłem nienawiścią. Ten człowiek pojawił się znikąd i wtargnął do mojego życia. Ukradł, uwiódł i zbałamucił jedyną istotę, która była dla mnie cenna. To było potworne – nadnaturalne. Może to nie był człowiek, tylko jakiś złośliwy bożek, który chciał mnie ukarać. Czy to Bóg mnie karał? Dlaczego? Co takiego zrobiłem – oprócz tego, że się zakochałem? Kochałem zbyt mocno, zbyt żarliwie? Za bardzo?

Czy ten mężczyzna ją kochał? Wątpię. Nie tak jak ja. Wykorzystywał ją, jej ciało. Na pewno nie mógł się nią przejmować tak jak ja. Ja bym dla Kathy umarł.

Zabiłbym dla niej.

Pomyślałem o ojcu – wiedziałem, co on by zrobił w tej sytuacji. Zamordowałby gościa. Bądź mężczyzną, słyszałem jego krzyk. Nie bądź mięczakiem! Właśnie to powinienem zrobić? Zabić go? Pozbyć się go? To było jakieś wyjście z tego piekła – sposób na złamanie zaklęcia, uwolnienie Kathy spod jego mocy i uwolnienie nas. Gdy opłacze stratę, będzie po wszystkim, facet stanie się tylko wspomnieniem, łatwym do zapomnienia; i będziemy mogli żyć jak wcześniej. Mógłbym to zrobić teraz, tu, w parku. Zaciągnąłbym go nad staw, włożył głowę pod wodę. Trzymałbym jego targane konwulsjami ciało, aż zrobiłoby się bezwładne. Mógłbym też śledzić go aż do stacji metra, stanąć tuż za nim na peronie i – jednym krótkim ruchem – wepchnąć go pod nadjeżdżający pociąg. Albo skradać się za nim wyludnioną uliczką, ściskając w dłoni cegłę, i rozwalić mu łeb. Czemu nie?

Kathy jęknęła nagle głośniej, a ja rozpoznałem odgłosy wydawane przez nią w czasie szczytowania. Zapadła cisza… przerywana stłumionym chichotem tak dobrze mi znanym. Słyszałem trzask gałązek, gdy wychodzili z lasu.

Odczekałem chwilę. Chwyciłem gałęzie wokół mnie i wyrwałem się spośród drzew, drapiąc sobie przy tym ręce do krwi.

Gdy wyszedłem z lasku, prawie nie widziałem. Miałem załzawione oczy. Otarłem je skrwawioną pięścią.

Rzuciłem się przed siebie, zmierzając donikąd. Chodziłem w koło jak szaleniec.

6

– Jean-Felix?

W recepcji nikogo nie było i Jean-Felix nie wyszedł mi na spotkanie, gdy go zawołałem. Zawahałem się, po czym wszedłem do galerii.

Przeszedłem korytarzem do miejsca, gdzie wisiała *Alkestis*. Przyjrzałem się obrazowi po raz kolejny. Znowu próbowałem go odczytać, znowu bezskutecznie. Było w nim coś, co wymykało się interpretacji – albo niosło znaczenie, którego jeszcze nie pojmowałem. Tylko co?

Nagle wciągnąłem gwałtownie powietrze, gdy zauważyłem coś, czego wcześniej nie dostrzegałem. Za Alicią, w mroku, jeżeli się bardzo wysiliłeś i patrzyłeś na obraz w skupieniu, najciemniejsze elementy cienia zbiegały się – jak hologram, który z dwuwymiarowego staje się pod odpowiednim kątem trójwymiarowy – i układały w kształt… sylwetki mężczyzny. Mężczyzny kryjącego się w ciemności. Patrzącego. Szpiegującego Alicię.

– Czego chcesz?

Na dźwięk tego głosu aż podskoczyłem. Odwróciłem się. Jean-Felix nie wyglądał na zadowolonego z mojego widoku.

– Co tu robisz? – spytał.

Już zamierzałem wskazać na sylwetkę mężczyzny na obrazie i zapytać o to Jeana-Felixa, ale coś mi podpowiedziało, że to mógłby być zły pomysł. Uśmiechnąłem się więc.

– Mam jeszcze kilka pytań. To dobry moment?

– Niezupełnie. Powiedziałem już wszystko, co wiem. Na pewno nie dodam nic więcej.

– Dotarłem do nowych informacji.

– Jakich to?

– Po pierwsze, nie wiedziałem, że Alicia zamierzała opuścić twoją galerię.

Jean-Felix odpowiedział dopiero po chwili.

– O czym ty mówisz?

– To prawda?

– A powinno cię to interesować?

– Alicia jest moją pacjentką. Zamierzam doprowadzić do tego, żeby znowu zaczęła mówić. Rozumiem jednak, że jesteś zainteresowany jej milczeniem.

– A co to ma znaczyć?

– Jeśli nikt nie dowie się o jej chęci odejścia, możesz trzymać jej dzieła w nieskończoność.

– O co próbujesz mnie oskarżyć?

– O nic. Stwierdzam tylko fakty.

Jean-Felix się zaśmiał.

– Przekonamy się. Skontaktuję się ze swoim prawnikiem. I złożę oficjalną skargę w szpitalu.

– Nie sądzę.

– A czemuż to?

– Bo nie powiedziałem ci, skąd wiem o tym, że Alicia chciała odejść.

– Ktokolwiek ci to powiedział, kłamał.

– Zrobiła to Alicia.

– Słucham? – Jean-Felix wyglądał na osłupiałego. – To znaczy, że… przemówiła?

– W pewnym sensie. Dała mi do przeczytania swój pamiętnik.

– Pamiętnik? – Zamrugał kilka razy, jakby miał problem z przetworzeniem tej informacji. – Nie wiedziałem, że prowadziła pamiętnik.

– Prowadziła. I szczegółowo opisuje wasze ostatnie spotkania.

Nie powiedziałem nic więcej. Nie musiałem. Zapadło ciężkie milczenie. Jean-Felix nie odzywał się.

– Skontaktuję się z tobą – rzuciłem. Uśmiechnąłem się i wyszedłem.

Kiedy już znalazłem się na ulicy w Soho, miałem wyrzuty sumienia, że wziąłem Jeana-Felixa pod włos w ten sposób. Zrobiłem to jednak celowo – chciałem sprawdzić, jaki efekt wywoła ta prowokacja, jak zareaguje, co zrobi.

Teraz musiałem poczekać.

Idąc przez Soho, zadzwoniłem do kuzyna Alicii, Paula Rose'a, żeby dać mu znać, że do niego jadę. Nie chciałem pojawiać się u niego bez zapowiedzi i ryzykować, że znowu przywita mnie tak jak poprzednio. Siniak na głowie nie zszedł jeszcze do końca.

Przyciskałem telefon do ucha barkiem i przypalałem papierosa. Nie zdążyłem się nawet zaciągnąć, a już ktoś odebrał, po jednym sygnale. Miałem nadzieję, że to Paul, a nie Lydia. Poszczęściło mi się.

– Halo?

– Paul? Mówi Theo Faber.

– O, cześć. Przepraszam, że szepczę – powiedział. – Mama ucięła sobie drzemkę i nie chcę jej obudzić. Jak tam twoja głowa?

– O wiele lepiej, dzięki.

– To dobrze. Jak mogę ci pomóc?

– Cóż… Zdobyłem nowe informacje na temat Alicii… i chciałbym z tobą porozmawiać.

– Jakie informacje?

Powiedziałem mu, że Alicia dała mi pamiętnik do przeczytania.

– Pamiętnik? Nie wiedziałem, że go prowadziła. I co tam napisała?

– Łatwiej by mi było porozmawiać o tym osobiście. Masz dzisiaj czas?

Paul się zawahał.

– Lepiej by było, żebyś nie przyjeżdżał do domu. Matka nie jest… No, nie ucieszyła się z powodu twojej poprzedniej wizyty.

– Domyśliłem się.

– Przy końcu ulicy jest pub, przy rondzie. Nazywa się White Bear…

– Pamiętam. Może być. O której?

– Około siedemnastej? Powinienem móc się wtedy na trochę wyrwać.

Usłyszałem krzyk Lydii w tle. Widać się obudziła.

– Muszę kończyć – poinformował mnie Paul. – To na razie. – I rozłączył się.

Kilka godzin później znowu jechałem do Cambridge. Z pociągu wykonałem kolejny telefon – do Maxa Berensona. Wahałem się, czy do niego dzwonić. Już raz się poskarżył Diomedesowi, więc pewnie się nie ucieszy, gdy znowu mnie usłyszy. Wiedziałem jednak, że na tym etapie nie mam wyboru.

Odebrała Tanya. Przeziębienie już jej odpuszczało, ale słyszałem w jej głosie napięcie, kiedy zorientowała się, kto dzwoni.

– Nie sądzę. To znaczy, Max jest zajęty. Ma przez cały dzień spotkania.

– Zadzwonię później.

– To raczej nie jest dobry pomysł…

Usłyszałem, że Max coś powiedział.

– Nie powiem tego, Max – odpowiedziała mu Tanya.

Max wyrwał jej słuchawkę i odezwał się do mnie:

– Tanya miała panu przekazać, żeby się pan odpierdolił.

– Ach.

– Ma pan tupet, że znowu tu dzwoni. Złożyłem już na pana skargę u profesora Diomedesa.

– Owszem, mam tego świadomość. Niemniej pojawiły się nowe informacje, bezpośrednio związane z panem, więc uznałem, że nie mam wyboru i muszę się z panem skontaktować.

– Jakie informacje?

– Z pamiętnika, który Alicia prowadziła w tygodniach poprzedzających zabójstwo.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. Zawahałem się, po czym ciągnąłem:

– Alicia pisze w nim szczegółowo o panu. Twierdzi, że darzył ją pan romantycznym uczuciem. Tak się zastanawiałem…

Rozłączył się. Na razie szło mi dobrze. Max połknął przynętę. Teraz musiałem poczekać na jego reakcję.

Dotarło do mnie, że trochę się bałem Maxa Berensona, podobnie jak Tanya. Przypomniało mi się, jak szepnęła mi, żebym

porozmawiał o czymś z Paulem, żebym go o coś zapytał. O co? O wieczór po wypadku, w którym zginęła matka Alicii. Przypomniał mi się wyraz twarzy Tanyi, gdy zobaczyła Maxa, to, jak zamilkła i posłała mu uśmiech. Nie, pomyślałem, Maxa Berensona nie można lekceważyć.

Byłoby to dużym błędem.

7

Gdy pociąg dojeżdżał do Cambridge, teren zrobił się płaski, a temperatura wyraźnie spadła. Zapiąłem płaszcz po wyjściu z dworca. Lodowaty wiatr chłostał mnie po twarzy i kąsał, jakby ciął brzytwami. Szedłem na spotkanie z Paulem w pubie.

White Bear przypominał ruinę. Do oryginalnego budynku doklejono kilka przybudówek. Paru studentów stawiało czoło wiatrowi i piło piwo w ogródku. Owinęli się szalami i palili papierosy. W środku było o wiele cieplej dzięki ryczącym lampom grzewczym, które pozwalały odpocząć od zimna.

Wziąłem coś do picia i rozejrzałem się w poszukiwaniu Paula. Do sali z barem przylegało kilka mniejszych, a całość była kiepsko oświetlona. Patrzyłem na siedzących w półmroku, bezskutecznie próbując wypatrzyć Paula. Świetne miejsce na potajemną randkę, pomyślałem. I pewnie tak wykorzystywano ten lokal.

Znalazłem Paula siedzącego samotnie w małej salce. Siedział tyłem do drzwi, przy lampie grzewczej. Rozpoznałem go od razu po rozmiarach. Szerokie plecy niemal zasłaniały ogień.

– Paul?

Podskoczył i odwrócił się. W malutkim pomieszczeniu wyglądał jak olbrzym. Musiał się lekko garbić, żeby nie uderzyć głową w sufit.

– W porządku? – odezwał się.

Wyglądał, jakby się szykował do wysłuchania złych wiadomości od lekarza. Zrobił mi miejsce i usiadłem przy ogniu. Z ulgą poczułem ciepło na twarzy i dłoniach.

– Tu jest zimniej niż w Londynie – powiedziałem. – I ten wiatr.

– Podobno wieje prosto z Syberii. O co chodzi z tym pamiętnikiem? – spytał od razu, ewidentnie nie w nastroju na grzecznościowe rozmówki. – Nie wiedziałem, że Alicia prowadziła pamiętnik.

– Prowadziła.

– I dała ci go?

Przytaknąłem.

– I? Co tam napisała?

– Opisała w szczegółach miesiące poprzedzające zabójstwo. Dostrzegam kilka rozbieżności, o które chciałem cię zapytać.

– Jakie rozbieżności?

– Między waszymi wersjami wydarzeń.

– O czym ty mówisz? – Odstawił kufel i posłał mi srogie spojrzenie. – Co masz na myśli?

– Po pierwsze, powiedziałeś mi, że nie widziałeś Alicii na kilka lat przed zabójstwem.

Paul się zawahał.

– Tak?

– Alicia pisze w pamiętniku, że widziała cię na kilka tygodni przed tym, jak zamordowano Gabriela. Podobno przyjechałeś do jej domu w Hampstead.

Patrzyłem na niego i czułem, jak traci rezon. Nagle wyglądał jak chłopczyk w o wiele za dużym dla niego ciele. Paul się bał, to jasne. Przez chwilę nie odpowiadał. Zerknął na mnie ukradkiem.

– Mogę na niego spojrzeć? Na pamiętnik?

Pokręciłem głową.

– To nie byłoby stosowne. A poza tym nie przywiozłem go ze sobą.

– To skąd mam wiedzieć, że naprawdę istnieje? Możesz kłamać.

– Nie kłamię. Za to ty tak. Okłamałeś mnie, Paul. Dlaczego?

– Bo to nie twoja sprawa.

– Obawiam się, że to jest moja sprawa. Przejmuję się samopoczuciem Alicii.

– Jej dobre samopoczucie nie ma z tym nic wspólnego. Nic jej nie zrobiłem.

– Nie twierdzę inaczej.

– No to…

– Dlaczego mi nie powiesz, co się stało?

Paul wzruszył ramionami.

– To długa historia. – Wahał się, ale po chwili się poddał. Mówił cicho, z zapartym tchem. Czułem jego ulgę, że w końcu może komuś

o tym powiedzieć. – Znalazłem się w tarapatach. Miałem problem… Grałem nałogowo i pożyczałem pieniądze, których nie mogłem zwrócić. Potrzebowałem gotówki, żeby ktoś się ode mnie odczepił.

– Zwróciłeś się więc do Alicii. Dała ci pieniądze?

– Co napisała?

– Nic.

Paul się zawahał i pokręcił głową.

– Nic mi nie dała. Powiedziała, że jej na to nie stać.

Znowu kłamał. Dlaczego?

– Skąd wziąłeś pieniądze?

– Wyciągnąłem z oszczędności. Będę wdzięczny, jeśli to zostanie między nami. Nie chcę, żeby matka się dowiedziała.

– Chyba nie ma powodu wciągać w to Lydii.

– Naprawdę? – Twarz Paula odzyskała trochę koloru. Popatrzył na mnie z nadzieją. – Dzięki. Doceniam to.

– Alicia wspominała ci, że podejrzewała, że ktoś ją obserwuje?

Paul opuścił kufel i spojrzał na mnie zdziwiony. Zorientowałem się, że nic mu nie mówiła.

– Obserwuje? Jak to?

Opowiedziałem mu, co przeczytałem w pamiętniku – o podejrzeniach Alicii, że obserwuje ją jakiś nieznajomy, i wreszcie obawach, że została zaatakowana we własnym domu.

Paul pokręcił głową.

– Miała nierówno pod sufitem.

– Myślisz, że to sobie wymyśliła?

– Wydaje się to logiczne, prawda? – Paul wzruszył ramionami. – Nie sądzisz, że ktoś mógł ją obserwować? To chyba możliwe…

– Owszem, możliwe. Więc przypuszczam, że coś ci jednak o tym powiedziała.

– Ani słowa. Tylko że Alicia zawsze była małomówna. Dość milcząca. Wszyscy tacy jesteśmy. To rodzinne. Pamiętam, jak Alicia się dziwiła, kiedy chodziła do domów przyjaciół i ich rodzin i ludzie śmiali się, żartowali i rozmawiali na różne tematy. U nas w domu zawsze było tak cicho. Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą. Tylko moja matka wydawała polecenia.

– A ojciec Alicii? Vernon? Jaki on był?

– Vernon też był małomówny. Miał nierówno pod sufitem, przynajmniej po śmierci Evy. Nigdy już nie był taki sam. Alicia zresztą też.

– Coś mi się przypomniało. Chciałem cię o coś spytać. Tanya o tym wspomniała.

– Tanya Berenson? Rozmawiałeś z nią?

– Krótko. Zasugerowała, żebym porozmawiał z tobą.

– Tanya? – Policzki Paula poróżowiały. – Nie znam jej dobrze, ale zawsze była dla mnie bardzo miła. Jest dobrym człowiekiem. Odwiedziła mnie i mamę kilka razy. – Na ustach Paula na moment pojawił się uśmiech.

Podoba mu się, pomyślałem. Byłem ciekaw, co Max o tym myślał.

– Co powiedziała Tanya? – spytał Paul.

– Zasugerowała, żebym cię o coś zapytał. Co się stało w wieczór po wypadku samochodowym. Nie wdawała się w szczegóły.

– Wiem, co ma na myśli. Opowiedziałem jej o tym w czasie procesu. Prosiłem, żeby nikomu nie mówiła.

– Nic mi nie powiedziała. Od ciebie zależy, czy mi powiesz. Jeśli zechcesz…

Paul opróżnił kufel i wzruszył ramionami.

– To pewnie nic ważnego, ale… może pomóc ci zrozumieć Alicię. Ona… – Zawahał się i zamilkł.

– Mów dalej – zachęciłem go.

– Alicia… Zaraz po powrocie do domu ze szpitala, gdzie zatrzymali ją na noc po wypadku, Alicia weszła na dach domu. Ja też. Przesiedzieliśmy tam całą noc. Zawsze tam chodziliśmy, Alicia i ja. To było nasze tajne miejsce.

– Na dachu?

Paul się zawahał. Przyglądał mi się przez chwilę, zastanawiając się. Wreszcie podjął decyzję.

– Chodź – rzucił i wstał. – Pokażę ci.

8

Mrok spowijał dom, kiedy się do niego zbliżaliśmy.

– To tutaj – powiedział Paul. – Chodź za mną.

Na ścianie przymocowano metalową drabinę. Podeszliśmy do niej. Mieliśmy pod stopami zamarznięte błoto, pofałdowane i tworzące tarkę. Nie czekając na mnie, Paul zaczął się wspinać.

Z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Zastanawiałem się, czy to dobry pomysł. Poszedłem za Paulem i chwyciłem pierwszy szczebel – lodowaty i śliski. Budynek porastało jakieś pnącze, chyba bluszcz.

Wdrapałem się na górę, szczebel po szczeblu. Gdy dotarłem na górę, palce miałem odrętwiałe, a wiatr chłostał mnie po twarzy. Wszedłem na dach. Paul na mnie czekał, wyszczerzony w szerokim uśmiechu, jak nastolatek. Nad nami świecił cieniutki księżyc, oprócz tego otaczała nas ciemność.

Nagle Paul rzucił się w moją stronę z dziwnym wyrazem twarzy. Poczułem panikę, kiedy wyciągnął w moją stronę rękę. Zrobiłem unik, ale on i tak mnie chwycił. Przez przerażającą sekundę myślałem, że mnie zepchnie z dachu, on jednak przyciągnął mnie ku sobie.

– Stoisz za blisko krawędzi – stwierdził. – Stań tu, na środku. Tu jest bezpieczniej.

Przytaknąłem, łapiąc oddech. To był zły pomysł. W pobliżu Paula nie czułem się ani trochę bezpiecznie. Zamierzałem właśnie zasugerować, żebyśmy zeszli z dachu, kiedy on wyciągnął paczkę papierosów i podsunął mi ją. Zawahałem się, ale wyjąłem jednego. Trzęsły mi się palce, kiedy sięgałem po zapalniczkę.

Staliśmy tak i paliliśmy w milczeniu.

– To tutaj siadaliśmy – powiedział. – Alicia i ja. W zasadzie codziennie.

– Ile mieliście lat?

– Ja z siedem, osiem. Alicia nie mogła mieć więcej niż dziesięć.

– Dość młodo wspinaliście się na drabiny.

– Przypuszczam, że tak. Wydawało nam się to normalne. Jako nastolatki przychodziliśmy tu palić fajki i pić piwo.

Próbowałem sobie wyobrazić nastoletnią Alicię, która chowała się przed ojcem i ciotką tyranką; Paul, zapatrzony w nią kuzyn, wchodził za nią po drabinie i zagadywał ją, podczas gdy ona wolałaby posiedzieć w ciszy, tylko ze swoimi myślami.

– Dobra kryjówka – zauważyłem.

Paul przytaknął.

– Wujek Vernon nie mógł tu wejść po drabinie. Był potężnie zbudowany, jak mama.

– Sam z trudem tu wszedłem. Ten bluszcz to śmiertelna pułapka.

– To nie bluszcz, tylko jaśmin. – Paul popatrzył na zielone pnącza, które zwisały z górnego szczebla drabiny. – Zakwitnie dopiero wiosną. Wtedy pachnie tu perfumami, gdy kwiatów jest dużo. – Paul wydawał się zatopiony we wspomnieniach. – Zabawne.

– Co takiego?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – To, co się zapamiętuje… Myślałem o jaśminie. Tamtego dnia był w pełni rozkwitu. W dniu wypadku, w którym zginęła Eva.

Rozejrzałem się.

– Mówiłeś, że wdrapaliście się tutaj z Alicią?

Przytaknął.

– Mama i wujek Vernon szukali nas na dole. Słyszeliśmy, jak nas wołali. Ale słowem się nie odezwaliśmy. Dalej się ukrywaliśmy. I właśnie wtedy to się stało. – Zgasił papierosa i posłał mi dziwny uśmiech. – To dlatego cię tutaj przyprowadziłem. Żebyś mógł obejrzeć… miejsce zbrodni.

– Zbrodni?

Paul nie odpowiadał, tylko szczerzył się do mnie w uśmiechu.

– Jakiej zbrodni, Paul?

– Popełnionej przez Vernona – odparł. – Wujek Vernon nie był dobrym człowiekiem. Ani trochę.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– Właśnie wtedy to zrobił.

– Co takiego?

– Zabił Alicię.

Patrzyłem na niego i nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

– Zabił Alicię? O czym ty mówisz?

Paul wskazał na ziemię pod nami.

– Wujek Vernon był tam na dole z mamą. Upił się. Mama próbowała zagonić go z powrotem do środka. Ale on tam stał i wołał Alicię. Był na nią bardzo zły. Wściekły.

– Bo Alicia się ukrywała? Przecież… była dzieckiem… Właśnie straciła matkę.

– To był podły drań. Jedyną osobą, którą się przejmował, była ciocia Eva. I pewnie dlatego to powiedział.

– Ale co powiedział? – Zaczynałem tracić cierpliwość. – Nie rozumiem, co próbujesz mi powiedzieć. Co się konkretnie wydarzyło?

– Vernon gadał o tym, jak bardzo kochał Evę, że nie potrafi bez niej żyć. „Moja dziewczynka", powtarzał. „Moja biedna dziewczynka, moja Eva… Dlaczego musiała zginąć? Dlaczego to musiała być ona? Dlaczego to nie Alicia zginęła zamiast niej?".

Przez chwilę patrzyłem na niego osłupiały. Nie byłem pewien, czy dobrze go zrozumiałem.

– „Dlaczego to nie Alicia zginęła zamiast niej?"?

– To jego słowa.

– Alicia to słyszała?

– I szepnęła coś do mnie. Nigdy tego nie zapomnę. „On mnie zabił", powiedziała. „Tata właśnie… mnie zabił".

Gapiłem się na Paula oniemiały. Chór dzwonów zaczął rozbrzmiewać mi w głowie, dzwonił, dudnił, rezonował. Właśnie tego szukałem. I znalazłem ów brakujący element układanki; wreszcie – tutaj na dachu w Cambridge.

W drodze do Londynu rozmyślałem o skutkach tego, co usłyszałem. Teraz już rozumiałem, dlaczego *Alkestis* poruszyła Alicię. Admet skazał swoją żonę na fizyczną śmierć, Vernon Rose zaś skazał córkę na śmierć psychiczną. Admet zapewne kochał Alkestis na pewnym poziomie; Vernon Rose nie kochał córki, tylko ją nienawidził. Dokonał mentalnego dzieciobójstwa i Alicia o tym wiedziała.

„On mnie zabił”, powiedziała. „Tata właśnie… mnie zabił”.

Teraz przynajmniej miałem nad czym pracować. Na tym się znałem – na emocjonalnym wpływie psychologicznych ran u dzieci i na tym, jak się manifestowały w późniejszym dorosłym życiu. Wyobraź to sobie – słyszysz, że twój ojciec, osoba, która ma ci zagwarantować przetrwanie, życzy ci śmierci. Jakie to musiało być dla dziecka zatrważające, traumatyzujące, jak bardzo odebrało mu poczucie własnej wartości. Ból z tym związany był zbyt wielki, zbyt silny, by dało się go przeżyć, więc trzeba go było przełknąć, wyprzeć, zagrzebać. Z biegiem czasu tracisz kontakt ze źródłem traumy, odcinasz się od korzeni przyczyny i zapominasz. Pewnego dnia jednak cała krzywda i złość powracają i wybuchają niczym ogień z trzewi smoka – i wtedy chwytasz za broń. Wylewasz swój gniew nie na ojca, który nie żyje, został zapomniany i znajduje się poza zasięgiem, ale na męża, człowieka, który zajął w twoim życiu jego miejsce, którego kochałaś i z którym dzielisz łóżko. Strzelasz mu w głowę pięć razy; prawdopodobnie nawet nie wiesz dlaczego.

Pociąg pędził przez noc do Londynu. Wreszcie, myślałem, wreszcie wiedziałem, jak do niej dotrzeć.

Teraz mogliśmy zacząć.

9

Siedziałem z Alicią w milczeniu.

Zacząłem lepiej sobie radzić z tą ciszą, lepiej ją znosiłem, dostrajałem się do niej. Prawie zacząłem się czuć komfortowo, gdy tak bez słowa siedziałem z nią w tym małym pomieszczeniu.

Alicia trzymała dłonie na kolanach i rytmicznie je zaciskała i rozluźniała, jakby w rytm bicia serca. Była zwrócona w moją stronę, ale na mnie nie patrzyła. Wyglądała przez kraty za okno. Przestało padać, chmury na jakiś czas się przetarły i odsłoniły bladoniebieskie niebo. Po chwili przyszły kolejne i zaciągnęły je szarością. Wtedy się odezwałem:

– Zdałem sobie z czegoś sprawę. Tą informacją podzielił się ze mną twój kuzyn – powiedziałem to tak delikatnie, jak umiałem. Nie zareagowała, więc kontynuowałem: – Paul twierdzi, że gdy byłaś dzieckiem, usłyszałaś przypadkiem, jak twój ojciec powiedział coś druzgocącego. Po wypadku samochodowym, w którym zginęła twoja matka… Usłyszałaś, jak żałował, że to nie ty zginęłaś zamiast niej.

Byłem pewien, że to wywoła silną fizyczną reakcję, że ugną się pod nią kolana. Czekałem, ale nic się nie wydarzyło.

– Zastanawiam się, jak się czujesz z tym, że Paul mi to powiedział. To może wyglądać jak zdrada zaufania, ale wierzę, że zrobił to z myślą o twoim jak najlepszym interesie. Jesteś przecież pod moją opieką.

Żadnej reakcji. Zawahałem się.

– Może ci pomoże, jeśli ci coś wyjawię. Chociaż nie… to raczej mnie pomoże. Prawda jest taka, że rozumiem cię lepiej, niż ci się wydaje. Nie chcę zdradzać zbyt wiele, ale mieliśmy dość podobne dzieciństwo, podobnych ojców. Oboje też opuściliśmy domy najwcześniej, jak mogliśmy. Potem odkryliśmy, że geograficzna odległość nie ma dla świata psyche najmniejszego znaczenia. Niektórych rzeczy nie da się zostawić za sobą. Wiem, jakie miałaś

paskudne dzieciństwo. Musisz zrozumieć, że to bardzo ważne. Słowa twojego ojca są równoznaczne z mentalnym zabójstwem. On cię zabił.

Tym razem zareagowała.

Gwałtownie podniosła wzrok i spojrzała prosto na mnie. Gdyby oczy mogły zabić, padłbym trupem. Ja jednak ani drgnąłem w obliczu morderczego spojrzenia.

– Alicio – powiedziałem. – To nasza ostatnia szansa. Spotykam się z tobą bez wiedzy i pozwolenia profesora Diomedesa. Jeżeli będę w ten sposób łamał dla ciebie zasady, mogę stracić pracę. Dlatego widzimy się po raz ostatni. Rozumiesz?

Powiedziałem to bez jakichkolwiek oczekiwań i emocji, wyzuty z nadziei i uczuć. Miałem dość walenia głową w mur. Nie spodziewałem się żadnej reakcji. Nagle…

W pierwszej chwili myślałem, że to sobie wyobraziłem. Wydawało mi się, że słyszę głosy. Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem. Czułem, jak serce łomocze mi w piersi. W ustach miałem sucho, gdy się odezwałem:

– Czy… czy ty coś powiedziałaś?

Znowu milczenie. Pewnie mi się wydawało. Coś sobie wyobraziłem. Ale potem… to się powtórzyło.

Usta Alicii poruszyły się powoli. Jej głos załamał się, zaskrzypiał jak drzwi, które należałoby naoliwić.

– Czego… – szepnęła. I zamilkła. A później: – Czego… Czego…

Przez chwilę tylko na siebie patrzyliśmy. Do oczu powoli napłynęły mi łzy – niedowierzania, ekscytacji, wdzięczności.

– Czego chcę? – dokończyłem za nią. – Żebyś mówiła dalej… Porozmawiaj ze mną, Alicio…

Alicia patrzyła na mnie. Zastanawiała się nad czymś. I powoli skinęła głową.

– Zgoda – powiedziała.

10

– Co takiego?

Profesor Diomedes patrzył na mnie osłupiały ze zdumienia. Staliśmy na zewnątrz i paliliśmy. Zorientowałem się, że był podekscytowany, bo upuścił cygaro i tego nie zauważył.

– Odezwała się? Alicia naprawdę się odezwała?

– Tak.

– Niesamowite. A więc miałeś rację. Miałeś rację. A ja się myliłem.

– Ależ skąd. I źle zrobiłem, spotykając się z nią bez twojej zgody, profesorze. Przepraszam, ale miałem przeczucie…

– Posłuchałeś intuicji, Theo. Postąpiłbym tak samo. Dobra robota.

Nie chciałem jeszcze przedwcześnie świętować.

– Nie możemy jeszcze dzielić skóry na niedźwiedziu. Nie mamy gwarancji. W każdej chwili może nastąpić regres.

Diomedes przytaknął.

– Racja. Musimy zorganizować formalną rozmowę, musimy jak najszybciej przeprowadzić wywiad z Alicią, powołać panel, w którego skład wejdziesz ty i ktoś z Funduszu. Może być Julian, jest nieszkodliwy…

– Za bardzo się spieszysz. Nie słuchasz mnie. To jeszcze za wcześnie. Coś takiego ją przerazi. Musimy działać powoli.

– Fundusz musi się dowiedzieć…

– Nie, jeszcze nie teraz. Może to był przypadek. Poczekajmy. Niczego jeszcze nie ogłaszajmy. Jeszcze nie teraz.

Diomedes przytaknął, analizując moje słowa. Wyciągnął rękę i ścisnął mnie za ramię.

– Dobra robota – powtórzył. – Jestem z ciebie dumny.

Poczułem przypływ zadowolenia – jak syn, któremu ojciec pogratulował. Zdawałem sobie sprawę ze swojego pragnienia przypodobania się Diomedesowi, uzasadnienia jego wiary we mnie

i uczynienia go dumnym. Trochę ponosiły mnie emocje. Przypaliłem papierosa, żeby to ukryć.

– I co teraz?

– Pracuj dalej – oznajmił Diomedes. – Pracuj z Alicią.

– A jeśli Stephanie się dowie?

– Zapomnij o Stephanie. Zostaw ją mnie. Skup się na Alicii.

Tak też zrobiłem.

W czasie naszej kolejnej sesji rozmawialiśmy z Alicią bez przerwy. Słuchanie jej było obcym i trochę niepokojącym doznaniem, po tak długim milczeniu. Na początku mówiła z wahaniem, niepewnie – próbowała stanąć na nogach, z których dawno nie korzystała. Wkrótce potem jednak poczuła się na nich mocno, nabierała szybkości i sprawności, przeskakiwała od zdania do zdania, jakby nigdy nie milczała – bo w pewnym sensie tak właśnie było.

Gdy nasze spotkanie dobiegło końca, udałem się do gabinetu. Usiadłem przy biurku i spisałem wszystko, co jeszcze było świeże w mojej pamięci. Zapisałem każde słowo, starając się oddać jej wypowiedź z jak największą precyzją.

Przekonasz się, że to niesamowita historia – nie mam co do tego wątpliwości.

To, czy w nią uwierzysz, zależy wyłącznie od ciebie.

11

Alicia siedziała w pokoju terapii na fotelu naprzeciwko mnie.

– Zanim zaczniemy – odezwałem się. – Mam do ciebie kilka pytań. Chciałbym wyjaśnić parę kwestii…

Żadnej odpowiedzi. Alicia patrzyła na mnie z tym swoim nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Mówiłem dalej:

– Chciałbym przede wszystkim zrozumieć twoje milczenie. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie mówiłaś.

Alicia wydawała się rozczarowana pytaniem. Odwróciła się i spojrzała za okno.

Siedzieliśmy w ciszy mniej więcej minutę. Przepełniało mnie poczucie niepewności, nad którym starałem się zapanować. Czy to był chwilowy przełom? I wrócimy do tego, co było wcześniej? Nie mogłem na to pozwolić.

– Alicio, wiem, że to trudne. Ale gdy zaczniesz ze mną rozmawiać, będzie ci łatwiej, obiecuję.

Żadnej odpowiedzi.

– Proszę, spróbuj. Nie rezygnuj teraz, gdy dokonałaś takich postępów. Działaj dalej. Powiedz mi… Powiedz, dlaczego nie mówiłaś?

Alicia popatrzyła na mnie lodowato. Odezwała się cichym głosem:

– Nie ma… o czym mówić.

– Chyba w to nie wierzę. Według mnie było zbyt wiele do opowiedzenia.

Cisza. Wzruszenie ramion.

– Możliwe – odparła. – Możesz… mieć rację.

– Mów dalej

Zawahała się.

– W pierwszej chwili, kiedy Gabriel… nie żył, nie mogłam, próbowałam, ale nie mogłam… mówić. Otworzyłam usta… ale nie

wydobył się z nich żaden dźwięk. Jak we śnie… kiedy próbujesz krzyczeć… a nie możesz.

– Byłaś w szoku, ale po upływie kilku dni z pewnością odzyskałaś głos?

– Wtedy wydawało się to nie mieć sensu. Było już za późno.

– Za późno? Żeby przemówić w swojej obronie?

Alicia nie spuszczała ze mnie wzroku i uśmiechała się tajemniczo. Nie odzywała się.

– Dlaczego zaczęłaś znowu mówić?

– Znasz odpowiedź.

– Tak?

– Przez ciebie.

– Przeze mnie? – Popatrzyłem na nią zaskoczony.

– Bo tu jesteś.

– I to coś zmieniło?

– To zmieniło… wszystko. – Alicia ściszyła głos i patrzyła na mnie bez mrugania oczami. – Chcę, żebyś zrozumiał… co mi się stało. Jak się czułam. To ważne… żebyś zrozumiał.

– Chcę zrozumieć. To dlatego dałaś mi pamiętnik, czy tak? Bo chcesz, żebym zrozumiał. Odnoszę wrażenie, że ludzie, którzy znaczyli dla ciebie najwięcej, nie wierzyli w twoją historię o tym mężczyźnie. Być może zastanawiasz się… czy ja ci wierzę.

– Wierzysz.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Przytaknąłem.

– Tak, wierzę ci. Może zaczniemy od tego? W pamiętniku, na końcu napisałaś, że mężczyzna włamał się do domu. Co się stało później?

– Nic.

– Nic?

Pokręciła głową.

– To nie był on.

– Nie? W takim razie kto?

– Jean-Felix. Chciał… Przyszedł porozmawiać o wystawie.

– Z tego, co napisałaś w pamiętniku, nie wynika, żebyś chciała podejmować gości.

Alicia zbyła to wzruszeniem ramion.

– Długo był u ciebie?

– Nie. Poprosiłam go, żeby wyszedł. Nie chciał. Był zdenerwowany. Trochę na mnie krzyczał, ale po jakimś czasie sobie poszedł.

– A potem? – spytałem. – Co się stało, gdy Jean-Felix sobie poszedł?

Alicia pokręciła głową.

– Nie chcę o tym mówić.

– Nie?

– Jeszcze nie.

Alicia przez chwilę patrzyła mi w oczy. Potem jej wzrok powędrował w stronę okna i ciemnego nieba. W sposobie, w jaki przechyliła głowę, było coś niemal kokieteryjnego. W kącikach jej ust dostrzegłem lekki uśmiech. Podoba jej się to, pomyślałem. To, że ma nade mną przewagę.

– O czym chcesz rozmawiać? – spytałem.

– Nie wiem. O niczym. Po prostu chcę rozmawiać.

Więc rozmawialiśmy. O Lydii i Paulu, o jej matce i lecie, kiedy zginęła. Rozmawialiśmy o dzieciństwie Alicii – i moim. Opowiedziałem jej o swoim ojcu i dorastaniu w naszym domu. Chciała wiedzieć jak najwięcej o mojej przeszłości, o tym, co mnie ukształtowało i uczyniło tym, kim byłem.

Pamiętam, jak pomyślałem, że nie ma już odwrotu. Zniszczyliśmy wszelkie granice oddzielające terapeutę i pacjenta. Wkrótce potem trudno było stwierdzić, kto był kim.

12

Następnego ranka znowu się spotkaliśmy. Alicia wydawała się inna – zachowywała większy dystans, niemal ostrożność. Myślę, że to dlatego, że chciała w końcu opowiedzieć o dniu śmierci Gabriela.

Siedziała naprzeciwko mnie i, co nie było dla niej typowe, patrzyła prosto na mnie, cały czas podtrzymując kontakt wzrokowy. Zaczęła mówić bez zachęty. Powoli, z namysłem, uważnie dobierając słowa, jakby pociągała pędzlem po płótnie.

– Tamtego popołudnia byłam sama. Wiedziałam, że powinnam malować, ale panował upał i wydawało mi się, że nie dam rady. Postanowiłam jednak spróbować. Dlatego zabrałam do pracowni w ogrodzie wiatrak, który kupiłam, i wtedy…

– I wtedy…?

– Zadzwonił mój telefon. To był Gabriel. Dzwonił, żeby mi powiedzieć, że wróci późno.

– Zawsze tak robił? Dzwonił, gdy miał wrócić późno?

Alicia spojrzała na mnie, jakby zdziwiło ją to pytanie. Pokręciła głową.

– Nie. Dlaczego?

– Pomyślałem sobie, że mógł dzwonić z innego powodu. Żeby sprawdzić, jak się czułaś. Z tego, co pisałaś w pamiętniku, wnioskuję, że przejmował się twoim stanem psychicznym.

– Och. – Alicia zastanowiła się nad tym, co powiedziałem, i po chwili przytaknęła. – Rozumiem. Tak, tak, możliwe…

– Przepraszam, przeszkodziłem ci. Mów dalej. Co się stało po waszej rozmowie?

Alicia się zawahała.

– Zobaczyłam go.

– Go?

– Mężczyznę. To znaczy, widziałam jego odbicie. W oknie. Był w środku, w pracowni. Stał tuż za mną.

Alicia zamknęła oczy i siedziała nieruchomo. Długo milczała.

Odezwałem się łagodnie:

– Potrafisz go opisać? Jak wyglądał?

Otworzyła oczy i przyglądała mi się przez moment.

– Był wysoki…. Silny. Nie widziałam jego twarzy. Miał na sobie czarną maskę. Ale widziałam jego oczy. Ciemne dziury pozbawione światła.

– Co zrobiłaś, gdy go zobaczyłaś?

– Nic. Bałam się. Patrzyłam na niego…. Trzymał w dłoni nóż. Zapytałam, czego chce. Nie odezwał się. Powiedziałam, że pieniądze są w kuchni, w mojej torebce. Pokręcił głową i oznajmił, że nie chce pieniędzy. Zaśmiał się. Tak potwornie, jakby ktoś tłukł szkło. Przystawił mi nóż do gardła. Czułam ostrze na gardle, na skórze…. Kazał mi wejść razem z nim do domu.

Alicia zamknęła oczy, gdy to sobie przypominała.

– Wyprowadził mnie z pracowni na trawnik. Szliśmy w stronę domu. Widziałam furtkę prowadzącą na ulicę, oddaloną zaledwie o kilka metrów. Była tak blisko. Coś mnie opętało. To była moja jedyna szansa na ucieczkę. Kopnęłam go i się wyrwałam. Rzuciłam się do biegu. Do furtki. – Otworzyła oczy i uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Przez kilka sekund byłam wolna. – Jej uśmiech zgasł. – Skoczył na mnie. Na moje plecy. Upadliśmy na ziemię. Zasłonił mi dłonią usta, poczułam zimne ostrze na gardle. Powiedział, że mnie zabije, jeśli się ruszę. Leżeliśmy tak przez kilka sekund, a ja czułam jego oddech na twarzy. Cuchnął. Postawił mnie na nogi i zawlókł do domu.

– A potem? Co się stało?

– Zamknął drzwi. Znalazłam się w pułapce.

Alicia oddychała ciężko i miała zaczerwienione policzki. Martwiłem się, że się denerwuje i że za bardzo na nią naciskam.

– Chcesz zrobić przerwę? – zaproponowałem.

Pokręciła głowa.

– Nie. Zbyt długo czekałam z powiedzeniem tego. Chcę to mieć za sobą.

– Na pewno? Może jednak chwila oddechu?

Zawahała się.

– Mogę zapalić?

– Papierosa? Nie wiedziałem, że palisz.
– Teraz nie. Kiedyś paliłam. Dasz mi papierosa?
– Skąd wiesz, że palę?
– Czuję to od ciebie.
– Och. – Uśmiechnąłem się lekko zażenowany. – Okej. – Wstałem. – Chodźmy na zewnątrz.

13

Po dziedzińcu kręciły się pacjentki. Stały w swoich grupkach jak zawsze, plotkowały, kłóciły się, paliły. Niektóre obejmowały się i przytupywały, żeby się rozgrzać.

Alicia wsunęła papierosa w usta, trzymając go długimi szczupłymi palcami. Przypaliłem go jej. Zaciągnęła się głęboko, nie odrywając wzroku od moich oczu. Wydawała się rozbawiona.

– Nie zapalisz? Czy może to jest niestosowne? Wypalić papierosa z pacjentką?

Żartuje sobie ze mnie, pomyślałem. Miała rację – nie istniały zasady zabraniające członkom personelu palić w towarzystwie pacjentek. Jeśli jednak personel palił, robił to raczej dyskretnie i stawał przy wyjściu ewakuacyjnym z tyłu budynku. Nie robił tego w obecności pacjentek. Gdybym zapalił na dziedzińcu z Alicią, przekroczyłbym jakąś granicę. Pewnie mi się wydawało, ale miałem przeczucie, że jesteśmy obserwowani. Czułem, że Christian patrzy na nas przez okno. Usłyszałem w myślach jego słowa: „Pacjenci pograniczni uwodzą". Spojrzałem Alicii w oczy. Jej spojrzenie nie było uwodzicielskie, nawet nie było przyjazne. Te oczy zdradzały bystry umysł i inteligencję, która dopiero się budziła. Z Alicią Berenson trzeba było się liczyć. Teraz to rozumiałem.

Być może dlatego Christian czuł potrzebę otumanienia jej. Bał się tego, co mogłaby zrobić – co mogłaby powiedzieć. Trochę się przestraszyłem, w każdym razie zrobiłem się czujny, pełen obaw. Wiedziałem, że muszę uważać na każdy swój krok.

– Czemu nie – odezwałem się. – Też zapalę.

Włożyłem papierosa w usta i przypaliłem go. Przez chwilę paliliśmy w milczeniu, podtrzymując kontakt wzrokowy, oddaleni od siebie o kilka centymetrów, aż wreszcie poczułem się zażenowany jak nastolatek i odwróciłem wzrok. Próbowałem to zatuszować i wskazałem na dziedziniec.

– Przejdziemy się i porozmawiamy?

Alicia przytaknęła.

Ruszyliśmy wzdłuż muru otaczającego dziedziniec. Pozostałe pacjentki obserwowały nas. Zastanawiałem się, co sobie myślały. Alicia zdawała się tym nie przejmować. Wręcz nie zwracała na nie uwagi. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Wreszcie się odezwała:

– Chcesz, żebym kontynuowała?

– Jeśli ty tego chcesz… Jesteś gotowa?

– Jestem.

– Co się stało, gdy znaleźliście się wewnątrz domu?

– Mężczyzna powiedział… że chce się napić. Dałam mu piwo Gabriela. Nie pijam piwa. Nie miałam w domu nic innego.

– A potem?

– Mówił coś.

– Co?

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz?

– Nie.

Zamilkła. W końcu ją ponagliłem.

– Mów dalej. Byliście w kuchni. Jak się czułaś?

– Nie… Nie pamiętam, żebym cokolwiek czuła.

Przytaknąłem.

– Nie jest to rzadkie w takich sytuacjach. Reagujemy nie tylko walką albo ucieczką. Istnieje też trzecia, dość powszechna reakcja. Zamieramy.

– Nie zamarłam.

– Nie?

– Nie. – Spojrzała na mnie. – Szykowałam się. Szykowałam się do… do walki. Byłam gotowa go… zabić.

– Rozumiem. A jak zamierzałaś to zrobić?

– Pistoletem Gabriela. Wiedziałam, że muszę go wyjąć.

– Był w kuchni? Schowałaś go tam? Tak napisałaś w pamiętniku.

Alicia kiwnęła potakująco głową.

– Tak. W szafce przy oknie. – Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła długą smużkę dymu. – Powiedziałam mu, że muszę się napić wody. Poszłam po szklankę. Przeszłam przez kuchnię. Pokonanie tych kilku kroków zdawało się trwać wieczność. Krok za

krokiem. Sięgnęłam do szafki. Ręka mi się trzęsła.… Otworzyłam drzwiczki…

– I?

– Szafka była pusta. Pistoletu nie było. Usłyszałam jego głos: „Szklanki są w szafce po prawej stronie”. Odwróciłam się i zobaczyłam pistolet. W jego ręce. Mierzył nim we mnie i się śmiał.

– Co potem?

– Potem?

– Co pomyślałaś?

– Że to była moja ostatnia szansa na ucieczkę i że teraz mnie zabije.

– Wierzyłaś, że cię zabije?

– Wiedziałam, że to zrobi.

– Dlaczego to tak odwlekał? – zainteresowałem się. – Dlaczego nie zrobił tego od razu po włamaniu się do domu?

Alicia nie odpowiedziała. Zerknąłem na nią. Ku zaskoczeniu ujrzałem na jej ustach uśmiech.

– Gdy byłam młoda – powiedziała – ciocia Lydia miała kotkę. Pręgowaną. Nie lubiłam jej. Była dzika i czasami mnie drapała. Była podła i okrutna.

– Czy zwierzęta nie działają instynktownie? Potrafią być okrutne?

Alicia popatrzyła na mnie uważnie.

– Potrafią być okrutne. Ona była. Przynosiła z pola myszy lub ptaszki, które schwytała. Zawsze na wpół żywe. Ranne, ale żywe. I bawiła się nimi.

– Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że byłaś zdobyczą tego mężczyzny? Bawił się tobą sadystycznie. Czy tak?

Alicia rzuciła niedopałek na ziemię i zdeptała go.

– Daj mi drugiego.

Podałem jej paczkę, z której wyciągnęła papierosa, i tym razem sama go przypaliła. Paliła przez chwilę. I mówiła dalej:

– Gabriel miał wrócić do domu o dwudziestej. Za dwie godziny. Zerkałam na zegarek. „O co chodzi?”, zapytał. „Nie chcesz ze mną spędzić trochę czasu?”. Pogładził moją skórę pistoletem, wodził nim po ramieniu. – Wzdrygnęła się na to wspomnienie. – Powiedziałam

mu, że Gabriel wróci lada moment. „I co wtedy?”, spytał. „Uratuje cię?”.

– Co powiedziałaś?

– Nic. Dalej zerkałam na zegar… Nagle zadzwonił mój telefon. To był Gabriel. Mężczyzna kazał mi odebrać. Przystawił mi pistolet do głowy.

– I? Co powiedział Gabriel?

– Powiedział… że ta sesja zamienia się w koszmar, więc powinnam zjeść kolację bez niego. Wróci najwcześniej o dwudziestej drugiej. Rozłączyłam się. „Mąż już jest w drodze”, powiedziałam. „Będzie tu za kilka minut. Powinieneś iść, zanim wróci”. On tylko się zaśmiał. „Słyszałem, jak mówił, że wróci po dwudziestej drugiej. Mamy trochę czasu do zabicia. Przynieś mi jakąś linę albo taśmę. Cokolwiek. Chcę cię skrępować”. Zrobiłam, co kazał. Wiedziałam, że sytuacja jest beznadziejna. I jak to się skończy.

Alicia przerwała opowieść i popatrzyła na mnie. Widziałem w jej oczach żywe emocje. Zastanawiałem się, czy nie naciskam na nią za bardzo.

– Może powinniśmy zrobić przerwę?

– Nie. Muszę skończyć. Muszę to zrobić. – Zaczęła mówić szybciej. – Nie miałam liny, więc wykorzystał drut, który służył mi do wieszania płócien. Kazał mi iść do salonu. Odsunął jedno z krzeseł i kazał mi na nim usiąść. Zaczął mi pętać drutem kostki i przywiązywać mnie do krzesła. Czułam, jak drut wrzyna mi się w ciało. „Proszę”, mówiłam, „proszę…”. Ale on nie słuchał. Związał mi ręce w nadgarstkach za plecami. Byłam pewna, że mnie zabije. Jak bardzo… żałuję, że tego nie zrobił. – Wypluła te słowa. Zaskoczyła mnie jej gwałtowność.

– Dlaczego żałujesz?

– Bo zrobił coś o wiele gorszego.

Przez chwilę wydawało mi się, że Alicia się rozpłacze. Zwalczyłem nagłe pragnienie, by ją objąć, wziąć w ramiona, pocałować, pocieszyć, obiecać jej, że będzie bezpieczna. Powstrzymałem się. Zgasiłem papierosa na murze z czerwonej cegły.

– Czuję, że potrzebujesz opieki – powiedziałem. – Mam ochotę się tobą zaopiekować, Alicio.

– Nie. – Zdecydowanie pokręciła głową. – Nie tego od ciebie chcę.
– A czego chcesz?
Nie odpowiedziała. Odwróciła się i weszła do środka.

14

Zapaliłem światło w gabinecie psychoterapii i zamknąłem drzwi. Gdy się odwróciłem, stwierdziłem, że Alicia już siedzi – ale nie w swoim fotelu. Siedziała na moim krześle.

Był to znaczący gest i w zwykłych okolicznościach porozmawiałbym z nią o jego znaczeniu. Teraz jednak nie skomentowałem go. Jeżeli zajęcie mojego miejsca symbolizowało jej przewagę, to, no cóż, było to zgodne z prawdą. Nie mogłem się doczekać końca historii, a byliśmy już tak blisko. Usiadłem więc i czekałem, aż zacznie mówić. Przymknęła oczy i siedziała w idealnym bezruchu. Wreszcie się odezwała:

– Siedziałam przywiązana do krzesła. Za każdym razem, kiedy się poruszyłam, drut wrzynał mi się głębiej w nogi, z których sączyła się krew. Czułam ulgę, że mogłam się skupić na ranach, a nie swoich myślach. Bo były przerażające… Myślałam, że już nigdy nie zobaczę Gabriela. Że umrę.

– Co się stało później?

– Wydawało mi się, że przesiedzieliśmy tak całe wieki. To zabawne. Zawsze mi się wydawało, że strach jest zimny, tymczasem on jest gorący jak ogień. W tym pokoju było tak upalnie, przy zamkniętych oknach i zaciągniętych zasłonach. Powietrze stało, duszące, ciężkie. Krople potu spływały mi z czoła do oczu. Czułam od niego zapach alkoholu i odór potu, kiedy pił i mówił. Ciągle mówił. Nie słuchałam go. Słyszałam za to tłustą muchę, która bzyczała między oknem a zasłoną. Była uwięziona i uderzała o szybę. Zadawał mi pytania na temat mnie i Gabriela, jak się poznaliśmy, od jak dawna byliśmy razem, czy byliśmy szczęśliwi. Pomyślałam, że jeśli pozwolę mu mówić, zwiększę swoje szanse na przeżycie. Odpowiadałam więc na jego pytania dotyczące mnie, Gabriela, mojej pracy. Mówiłam na każdy temat. Żeby zyskać na czasie. Skupiałam uwagę na zegarze. Wsłuchiwałam się w jego tykanie. Nagle wybiła dwudziesta druga.… A potem… dwudziesta

druga trzydzieści. Gabriel ciągle nie wracał. „Spóźnia się”, powiedział. „Może nie przyjdzie”. „Przyjdzie”, stwierdziłam. „Zatem dobrze się składa, że dotrzymuję ci towarzystwa”. I wtedy, gdy zegar wybił dwudziestą trzecią, usłyszałam przed domem samochód. Mężczyzna podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. „Doskonałe wyczucie czasu”, rzucił.

To, co się wydarzyło później, działo się, według słów Alicii, szybko.

Mężczyzna chwycił krzesło Alicii i obrócił ją tak, żeby siedziała plecami do drzwi. Powiedział, że strzeli Gabrielowi w głowę, jeśli odezwie się słowem albo wyda jakikolwiek dźwięk. Po czym zniknął. Chwilę później światło zgasło i wokół zrobiło się ciemno. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

– Alicia? – zawołał Gabriel.

Nie odpowiedziała, więc zawołał ją jeszcze raz. Wszedł do salonu i zobaczył ją siedzącą tyłem do niego przy kominku.

– Dlaczego siedzisz po ciemku? – spytał Gabriel.

Nie odpowiedziała.

– Alicio?

Alicia z trudem zachowywała milczenie – chciała krzyknąć, ale jej wzrok zdołał się już przyzwyczaić do ciemności i widziała w kącie pokoju mężczyznę z połyskującą bronią. Mierzył do Gabriela. Alicia milczała dla jego dobra.

– Alicio? – Gabriel ruszył w jej stronę. – Co się stało?

W chwili gdy Gabriel wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, mężczyzna wyskoczył z mroku. Alicia krzyknęła, ale było już za późno – Gabriel został powalony na podłogę i przygnieciony przez napastnika, który uniósł pistolet jak młot i uderzył nim Gabriela w głowę z przerażającym łupnięciem. Gabriel leżał nieprzytomny, skrwawiony. Mężczyzna podniósł go, posadził na krześle i przywiązał drutem. Gabriel poruszył się, odzyskując przytomność.

– Co jest, do cholery? Co…

Mężczyzna podniósł broń i wycelował w Gabriela. Rozległ się strzał. Potem kolejny. I następny. Alicia zaczęła krzyczeć.

Mężczyzna strzelał dalej. Strzelił Gabrielowi w głowę sześciokrotnie. Po czym rzucił pistolet na podłogę i wyszedł.

Bez słowa.

15

Bardzo proszę. Alicia Berenson nie zabiła męża. Do ich domu włamał się zamaskowany napastnik i, kierowany najwyraźniej pozbawioną motywu chęcią czynienia zła, zastrzelił Gabriela i rozpłynął się w nocy. Alicia była całkowicie niewinna.

Pod warunkiem że wierzy się w jej wersję.

Ja w nią nie uwierzyłem. W ani jedno słowo.

Pominąwszy oczywiste niespójności i niekonsekwencje – na przykład to, że do Gabriela strzelono pięć, a nie sześć razy, i że jedną z kul posłano w stronę sufitu – policja nie zastała Alicii przywiązanej do krzesła, tylko stojącą w pokoju z podciętymi nadgarstkami. Alicia nie wspomniała, że mężczyzna ją odwiązał, nie wyjaśniła również, dlaczego od samego początku nie podawała policji swojej wersji zdarzeń. Wiedziałem, że kłamała. Zdenerwowało mnie to, że łgała mi w żywe oczy, tak kiepsko i bezcelowo. Przez moment zastanawiałem się, czy mnie testowała, sprawdzała, czy uwierzę w jej historię. Jeśli tak, nie zamierzałem dać nic po sobie poznać.

Siedziałem i się nie odzywałem. O dziwo, to Alicia przemówiła jako pierwsza.

– Jestem zmęczona – oznajmiła. – Chcę przerwać.

Przytaknąłem. Nie mogłem się sprzeciwić.

– Będziemy kontynuować jutro – dodała.

– Jest coś jeszcze do powiedzenia?

– Owszem. Jedna ostatnia rzecz.

– Dobrze – zgodziłem się. – Zatem jutro.

Yuri czekał w korytarzu. Odprowadził Alicię do jej pokoju, a ja poszedłem do swojego gabinetu.

Jak już wspomniałem, od lat miałem w zwyczaju spisywać sesję zaraz po jej zakończeniu. Dokładne zapisanie tego, co zostało powiedziane w ciągu pięćdziesięciu minut, ma ogromne znaczenie

dla terapeuty – w przeciwnym razie zapomina się wiele szczegółów i traci intensywność emocji.

Siedziałem przy biurku i notowałem jak najszybciej wszystko, co wydarzyło się między nami. Gdy skończyłem, wyszedłem na korytarz, ściskając w rękach swoje zapiski.

Zapukałem do Diomedesa. Nie odpowiedział, więc zapukałem ponownie. Nadal nie odpowiadał. Uchyliłem drzwi i ujrzałem profesora śpiącego na wąskiej kanapie.

– Profesorze? Profesorze Diomedesie? – powtórzyłem głośniej.

Obudził się przestraszony i usiadł szybko. Patrzył na mnie, mrugając oczami.

– Co się dzieje? Co się stało?

– Muszę z tobą porozmawiać. Mam przyjść później?

Diomedes ściągnął brwi i pokręcił głową.

– Zrobiłem sobie małą sjestę. Zawsze drzemię po lunchu. Łatwiej mi przetrwać popołudnie. Z wiekiem staje się to niezbędne. – Ziewnął i wstał. – Wejdź, Theo. Siadaj. Widzę, że to coś pilnego.

– Tak sądzę.

– Chodzi o Alicię?

Przytaknąłem. Usiadłem przed biurkiem. On usiadł za nim. Włosy mu sterczały w jedną stronę i wydawał się jeszcze spać.

– Na pewno nie mam przyjść później?

Diomedes pokręcił głową. Nalał sobie wody z dzbanka do szklanki.

– Już się obudziłem. Mów. O co chodzi?

– Rozmawiałem z Alicią.… Potrzebuję superwizji.

Diomedes pokiwał potakująco głową. Z każdą sekundą budził się coraz bardziej i okazywał coraz większe zainteresowanie.

– Mów.

Usiadłem i zacząłem czytać swoje notatki. Omówiłem z nim całą sesję. Powtórzyłem słowa Alicii jak najwierniej i opowiedziałem historię, którą mi przedstawiła: o mężczyźnie, który ją śledził, a potem włamał się do domu, wziął ją na zakładniczkę i zastrzelił Gabriela.

Gdy skończyłem, Diomedes długo milczał. Jego twarz niczego nie wyrażała. Wyciągnął z biurka pudełko z cygarami. Wyjął małą

srebrną gilotynę. Wsunął w nią czubek cygara i odciął.

– Zacznijmy od przeciwprzeniesienia – rzekł. – Opowiedz mi o swoich emocjach. Zacznij od początku. Co czułeś, gdy opowiadała ci swoją historię?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Czułem się chyba podekscytowany… Zaniepokojony. I przestraszony.

– Przestraszony? To był twój strach czy jej?

– Chyba nas obojga.

– Czego się bałeś?

– Nie jestem pewien. Chyba porażki. Przecież wiele od tego zależy.

Diomedes przytaknął.

– Co jeszcze?

– Czułem też frustrację. Dość często mi towarzyszy w czasie naszych sesji.

– A złość?

– Tak. Przypuszczam, że tak.

– Czujesz się jak sfrustrowany ojciec rozmawiający z trudnym dzieckiem.

– Tak. Chcę jej pomóc, ale nie wiem, czy ona chce pomocy.

Skinął głową.

– Zostań przy złości. Powiedz o niej coś więcej. Jak się przejawia?

Zawahałem się.

– Często wychodzę z sesji z potwornym bólem głowy.

Diomedes znowu przytaknął.

– Zgadza się. Musi znaleźć jakieś ujście. „Stażysta, który się nie lęka, rozchoruje się”. Kto to powiedział?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Ja czuję się źle i się boję.

– I nie jesteś już stażystą, chociaż te uczucia nigdy nie znikają. – Wziął do ręki cygaro. – Chodźmy zapalić.

Wyszliśmy na schody ewakuacyjne. Diomedes przez chwilę palił cygaro i zastanawiał się. Wreszcie wyciągnął wnioski.

– Okłamuje cię – oznajmił.

– Co do tego, że to ten mężczyzna zabił Gabriela? Też tak myślę.

– Nie tylko.

– W czym jeszcze?

– We wszystkim. To jest niestworzona historia. Nie wierzę w ani jedno słowo.

Pewnie było po mnie widać zaskoczenie. Podejrzewałem, że nie uwierzy w niektóre elementy opowieści Alicii, ale nie spodziewałem się, że zaneguje całość.

– Nie wierzysz w istnienie tego mężczyzny?

– Nie wierzę. Ani trochę. To fantazja. Od początku do końca.

– Skąd ta pewność?

Diomedes posłał mi dziwny uśmiech.

– Nazwijmy to intuicją. Lata zawodowego doświadczenia.

Próbowałem coś powiedzieć, ale mnie uprzedził i dał mi znak ręką, żebym milczał.

– Nie oczekuję, że się ze mną zgodzisz, Theo. Zaangażowałeś się w Alicię i twoje uczucia są splecione z jej emocjami jak splątany kłębek wełny. Właśnie temu służy superwizja – ma ci pomóc rozplątać włóczkę i przyjrzeć się, co należy do ciebie, a co do niej. Podejrzewam, że kiedy złapiesz dystans, inaczej ocenisz swoje doznania z terapii z Alicią Berenson.

– Chyba nie wiem, o czym mówisz.

– Będę bezpośredni. Obawiam się, że dała niezłe przedstawienie. Manipuluje tobą. Uważam, że ten pokaz jest wyreżyserowany z myślą o tym, by pobudzić twoje rycerskie i, nazwijmy to po imieniu, romantyczne odruchy. Od samego początku było dla mnie jasne, że chciałeś ją uratować. I jestem pewien, że było to jasne również dla Alicii. Dlatego cię uwiodła.

– Mówisz jak Christian. Nie uwiodła mnie. Potrafię sobie poradzić z seksualnymi projekcjami pacjenta. Nie doceniasz mnie, profesorze.

– To ty nie doceniasz jej. Daje doskonałe przedstawienie. – Diomedes pokręcił głową i popatrzył na szare chmury. – Bezbronna kobieta, zaatakowana, samotna, potrzebująca opieki. Alicia obsadziła siebie w roli ofiary, a tajemniczego mężczyznę w roli złoczyńcy. Tymczasem Alicia i mężczyzna to jedna i ta sama osoba. To ona zabiła Gabriela. Była winna i wciąż odmawia przyjęcia winy

na siebie. Dlatego dochodzi u niej do rozdwojenia osobowości, dysocjacji, fantazjowania. Alicia staje się niewinną ofiarą, a ty jej wybawcą. Ulegając tej fantazji, pozwalasz na to, by zrzuciła z siebie odpowiedzialność.

– Nie zgadzam się z tym. Nie wierzę, że kłamie, przynajmniej nie na świadomym poziomie. Ona wierzy w prawdziwość swojej historii.

– Owszem, wierzy. Alicia została zaatakowana, ale przez własną psychikę, a nie świat zewnętrzny.

Wiedziałem, że to nieprawda, ale nie było sensu spierać się o to dłużej. Zgasiłem papierosa.

– Jak powinienem postępować dalej?

– Musisz ją zmusić do konfrontacji z prawdą. Dopiero wtedy będzie miała szansę na wyzdrowienie. Musisz wyraźnie zaznaczyć, że nie wierzysz w jej wersję. Sprzeciwić się jej. I zażądać, żeby powiedziała prawdę.

– Myślisz, że to zrobi?

Wzruszył ramionami.

– To – rzekł i zaciągnął się głęboko dymem z cygara – jest zagadką dla nas wszystkich.

– Dobrze. Porozmawiam z nią jutro. Doprowadzę do konfrontacji.

Diomedes wyglądał na lekko skrępowanego. Otworzył usta, jakby miał powiedzieć coś jeszcze. Ale zmienił zdanie. Przytaknął i zgasił cygaro dla podkreślenia, że skończyliśmy rozmowę.

– Jutro – powtórzył.

16

Po pracy znowu śledziłem Kathy idącą do parku. Kochanek czekał na nią oczywiście w tym samym miejscu co poprzednio. Całowali się i obściskiwali jak nastolatki.

Kathy zerknęła w moją stronę i przez moment wydawało mi się, że mnie zauważyła, ale nie. Widziała tylko jego. Tym razem spróbowałem mu się lepiej przyjrzeć. Wciąż nie widziałem dobrze jego twarzy, chociaż dostrzegałem coś znajomego w jego budowie ciała. Odnosiłem wrażenie, że już go kiedyś widziałem.

Poszli w stronę Camden i zniknęli w pubie The Rose and Crown, raczej obskurnym lokalu. Czekałem w kawiarni naprzeciwko. Wyszli mniej więcej po godzinie. Kathy obściskiwała go i całowała. Całowali się przez dłuższą chwilę przy ulicy. Obserwowałem ich, robiło mi się niedobrze, płonąłem z nienawiści.

W końcu się z nim pożegnała i się rozstali. Kathy zaczęła się oddalać. Mężczyzna udał się w przeciwnym kierunku. Nie śledziłem Kathy.

Poszedłem za nim.

Czekał na przystanku autobusowym. Stanąłem za nim. Patrzyłem mu na plecy, barki; wyobrażałem sobie, że się na niego rzucam i wpycham go pod nadjeżdżający autobus. Nie zrobiłem tego. Wsiadł do autobusu. Ja również.

Myślałem, że pojedzie prosto do domu, ale nie. Zmieniał autobusy kilkakrotnie. Śledziłem go z pewnej odległości. Pojechał do East Endu i tam zniknął na pół godziny w domu towarowym. Potem odbył kolejną przejażdżkę autobusem. Wykonał kilka telefonów, mówił przyciszonym głosem i często się śmiał. Zastanawiałem się, czy rozmawiał z Kathy. Czułem coraz silniejszą frustrację i traciłem zapał. Ale byłem uparty i nie chciałem się poddać.

Wreszcie udał się do domu – wysiadł z autobusu i skręcił w cichą uliczkę wysadzaną drzewami. Wciąż rozmawiał przez telefon.

Szedłem za nim, zachowując bezpieczną odległość. Ulica była pusta. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby mnie. Jednak tego nie zrobił.

Mijałem dom z ogródkiem skalnym. Zadziałałem bez zastanowienia – moje ciało poruszało się jakby samo. Ręka sięgnęła nad niskim murkiem i podniosła kamień. Czułem jego ciężar. Moje ręce wiedziały, co robić: postanowiły go zabić. Postanowiły rozłupać czaszkę tego bezwartościowego łajzy. Uległem im w bezmyślnym transie i skradałem się za nim, w ciszy zbliżając się do niego coraz bardziej. Po chwili znalazłem się dość blisko. Uniosłem kamień, szykując się do uderzenia z całej siły. Powalę go na ziemię i rozwalę mu mózg. Byłem tuż-tuż. Gdyby nie gadał przez telefon, usłyszałby mnie.

Uniosłem kamień i…

Tuż za mną, po lewej stronie, otworzyły się drzwi. Dotarły do nas dźwięki ożywionej rozmowy, głośne „dziękujemy” i „do widzenia”. Zamarłem. Kochanek Kathy zatrzymał się i odwrócił w kierunku źródła hałasu. Popatrzył na dom. Odsunąłem się i schowałem za drzewem. Nie zauważył mnie.

Znowu ruszył, ale nie poszedłem za nim. To zamieszanie wyrwało mnie z transu. Kamień z głośnym łupnięciem upadł na ziemię. Obserwowałem go zza drzewa. Podszedł do drzwi domu, otworzył je i wszedł do środka.

Kilka sekund później zapaliło się światło w kuchni. Stał zwrócony do mnie profilem, w pewnej odległości od okna. Z ulicy widać było tylko połowę pomieszczenia. Rozmawiał z kimś, kogo nie widziałem. Otworzył butelkę wina. Usiedli do stołu i zjedli razem posiłek. Udało mi się zobaczyć jego towarzysza. To była kobieta. Żona? Nie widziałem jej wyraźnie. Objął ją i pocałował.

A więc nie byłem jedynym zdradzonym. Wrócił do domu po tym, jak całował się z moją żoną, i jakby nigdy nic zjadł posiłek przyrządzony przez tę kobietę. Wiedziałem, że nie mogę tego tak zostawić, musiałem coś zrobić. Tylko co? Pomimo moich najśmielszych fantazji nie byłem mordercą. Nie mogłem go zabić.

Będę musiał wymyślić coś mądrzejszego.

17

Zamierzałem porozmawiać z Alicią z samego rana. Zamierzałem zmusić ją do tego, by przyznała, że mnie okłamała, mówiąc, że to tamten mężczyzna zabił Gabriela. Chciałem ją skonfrontować z prawdą.

Niestety, nie miałem na to szansy.

Yuri czekał na mnie w recepcji.

– Theo, muszę z tobą porozmawiać…

– O co chodzi?

Przyjrzałem mu się uważniej. Postarzał się przez noc; skurczył się, był blady. Coś się stało.

– Zdarzył się wypadek – powiedział. – Alicia… przedawkowała.

– Słucham? Czy ona…?

Yuri pokręcił głową.

– Żyje, ale…

– Dzięki Bogu…

– Jest w śpiączce. Kiepsko to wygląda.

– Gdzie leży?

Yuri przeprowadził mnie serią zamykanych korytarzy na oddział intensywnej terapii. Alicia leżała w prywatnej sali. Podłączona do elektrokardiografu i respiratora. Oczy miała zamknięte.

Był przy niej Christian w towarzystwie lekarki. Wyglądał blado – w przeciwieństwie do mocno opalonej lekarki z oddziału ratunkowego. Kobieta najwyraźniej wróciła niedawno z wakacji, ale nie wydawała się wypoczęta, raczej wyczerpana.

– Jak się czuje Alicia? – spytałem.

Lekarka pokręciła głową.

– Nie jest dobrze. Musieliśmy wywołać śpiączkę. Zawiódł układ oddechowy.

– Co zażyła?

– Jakieś opioidy. Być może hydrokodon.

Yuri przytaknął.

– Na biurku w jej pokoju stała pusta buteleczka.

– Kto ją znalazł?

– Ja – powiedział Yuri. – Leżała na podłodze, przy łóżku. Nie oddychała. W pierwszej chwili myślałem, że nie żyje.

– Macie pomysł, skąd wzięła tabletki?

Yuri zerknął na Christiana, a ten wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiemy, że na oddziale roi się od dealerów.

– Elif do nich należy – zauważyłem.

Christian przytaknął.

– Też tak myślę.

Weszła Indira. Była bliska łez. Stanęła obok Alicii i przez chwilę się jej przyglądała.

– To wywrze okropny wpływ na pozostałe – odezwała się. – Pacjenci zawsze cofają się o kilka miesięcy, gdy wydarzy się coś takiego. – Usiadła, ujęła dłoń Alicii i ją pogładziła.

Obserwowałem pracujący respirator. Przez jakiś czas milczeliśmy.

– Obwiniam o to siebie – oznajmiłem.

Indira pokręciła głową.

– To nie twoja wina, Theo.

– Powinienem się nią bardziej opiekować.

– Starałeś się z całych sił. Pomogłeś jej. Nikt z nas tyle dla niej nie zrobił.

– Czy ktoś poinformował Diomedesa?

Christian pokręcił głową.

– Nie udało nam się z nim skontaktować.

– Próbowaliście na komórkę?

– I numer domowy. Dzwoniłem kilkakrotnie.

Yuri ściągnął brwi.

– Ale… ja widziałem profesora Diomedesa. Był tutaj.

– Był?

– Tak. Dzisiaj rano. Widziałem go w drugim końcu korytarza. Spieszył się. Przynajmniej tak mi się wydaje, że to był on.

– Dziwne. Pewnie poszedł do domu. Spróbuj się z nim skontaktować, dobrze?

Yuri przytaknął. Patrzył w dal oszołomiony, zagubiony. Bardzo źle to znosił. Było mi go żal.

Zadzwonił pager Christiana, który się przestraszył i wyszedł szybko z sali. Yuri i lekarka wyszli za nim.

Indira zawahała się i odezwała cicho:

– Chcesz przez chwilę pobyć z Alicią sam?

Przytaknąłem. Bałem się odezwać. Indira wstała i ścisnęła mnie za ramię. Wyszła.

Zostaliśmy z Alicią sami.

Usiadłem przy jej łóżku i wziąłem ją za rękę. Delikatnie gładziłem wnętrze jej dłoni i nadgarstka. Musnąłem nadgarstek palcem, dotykałem żył pod skórą i wybrzuszonych grubych blizn po próbach samobójczych.

A więc to tak. W ten sposób to się skończy. Alicia znowu zamilkła i tym razem będzie milczała już zawsze.

Zastanawiałem się, co by powiedział Diomedes. Potrafiłem sobie wyobrazić, co by mu powiedział Christian – znalazłby sposób zrzucenia winy na mnie: Alicia nie potrafiła sobie poradzić z emocjami, które obudziłem w czasie terapii, sięgnęła po hydrokodon, żeby się jakoś uspokoić, wyleczyć. Wyobraziłem sobie, jak Diomedes mówi, że mogła przedawkować przypadkiem, niemniej było to zachowanie samobójcze. To wszystko.

To jednak nie było wszystko.

Coś przeoczono. Coś ważnego, czego nikt nie zauważył – nawet Yuri, w chwili gdy znalazł Alicię nieprzytomną przy jej łóżku. Na biurku stała pusta buteleczka po lekach, owszem, i kilka tabletek leżało na podłodze, dlatego przyjęto, że przedawkowała.

Ja jednak pod opuszkiem palca poczułem po wewnętrznej stronie nadgarstka Alicii lekkie wybrzuszenie i ślad, który opowiedział zupełnie inną historię.

Wkłucie dożylne – igła zostawiła niewielką dziurkę, która wyjawiła prawdę: Alicia nie połknęła pigułek, żeby się zabić. Podano jej ogromną dawkę morfiny. To nie było przedawkowanie.

To była próba zabójstwa.

18

Diomedes pojawił się pół godziny później. Twierdził, że był na spotkaniu z Funduszem, a potem utknął w metrze z powodu uszkodzenia sygnalizacji. Poprosił Yuriego, żeby mnie poszukał.

Yuri znalazł mnie w moim gabinecie.

– Profesor Diomedes wrócił. Jest ze Stephanie. Czekają na ciebie.

– Dzięki. Zaraz przyjdę.

Szedłem do gabinetu Diomedesa, spodziewając się najgorszego. Potrzebny będzie jakiś kozioł ofiarny, który weźmie winę na siebie. Widywałem już coś takiego w Broadmoor, gdy dochodziło do samobójstwa – odpowiedzialnością obarczano tego członka personelu, który był z ofiarą najbardziej zżyty, a mógł to być terapeuta, lekarz czy pielęgniarka. Stephanie niewątpliwie była żądna mojej krwi.

Zapukałem i wszedłem. Stephanie i Diomedes stali przy biurku naprzeciwko siebie. Z ich milczenia wnosiłem, że przerwałem im sprzeczkę.

Diomedes odezwał się jako pierwszy. Był poruszony i wymachiwał rękami na wszystkie strony.

– Potworna sprawa, potworna. I trudno o gorszy moment. Fundusz będzie miał teraz powód, żeby nas zamknąć.

– Nie sądzę, żeby to było naszym największym zmartwieniem – zaoponowała Stephanie. – Liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo pacjentek. Musimy się dowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło. – Odwróciła się w moją stronę. – Indira wspomniała, że podejrzewasz Elif o rozprowadzanie leków? To stąd Alicia wzięła hydrokodon?

Zawahałem się.

– Nie mam dowodów. Słyszałem tylko, jak kilka pielęgniarek tak mówiło. Jest coś jeszcze, o czym powinniście wiedzieć…

Stephanie przerwała mi i pokręciła głową.

– Wiemy, co się stało. To nie była Elif.

– Nie?

– Christian przypadkiem przechodził obok pokoju pielęgniarek i zobaczył, że szafkę z lekami zostawiono szeroko otwartą. W pokoju nie było nikogo. Yuri zostawił otwarte drzwi. Mógł tam wejść każdy i wziąć, co chciał. Christian widział też Alicię kręcącą się w okolicy. Zastanawiał się, co ona tam robiła o tej porze. Teraz to ma sens, naturalnie.

– Co za szczęście, że Christian to wszystko widział.

Stephanie postanowiła nie dostrzec sarkastycznej nuty w moim głosie.

– Christian nie jest jedyną osobą, która zwróciła uwagę na beztroskę Yuriego – ciągnęła. – Często odnosiłam wrażenie, że Yuri miał zbyt lekceważący stosunek do kwestii bezpieczeństwa. Za bardzo się zaprzyjaźniał z pacjentkami. Za bardzo zależało mu na popularności. Dziwię się, że wcześniej nie doszło do czegoś takiego.

– Rozumiem – odparłem.

Teraz już wiedziałem, skąd się wzięła serdeczność Stephanie do mnie. Wyglądało na to, że mi darowała; do roli kozła ofiarnego wybrała Yuriego.

– Yuri zawsze wydawał się taki skrupulatny – zauważyłem i zerknąłem na Diomedesa, zastanawiając się, czy interweniuje. – Naprawdę nie wydaje mi się…

Diomedes wzruszył ramionami.

– Osobiście uważam, że Alicia zawsze miała silne skłonności samobójcze. Jak wszyscy wiemy, jeśli ktoś chce umrzeć, to możemy się starać z całych sił, by go ochronić, a często nie da się temu zapobiec.

– Czy to nie do was należy? – Przerwała mu ostro Stephanie. – Zapobiegać czemuś takiemu?

– Nie. – Diomedes pokręcił głową. – Naszym zadaniem jest pomagać komuś wyzdrowieć. Nikt z nas nie jest Bogiem. Nie decydujemy o życiu i śmierci. Alicia Berenson chciała umrzeć. Musiało się jej to udać w którymś momencie. A przynajmniej udać częściowo.

Zawahałem się. Teraz albo nigdy, pomyślałem.

– Nie jestem pewien, czy to prawda – wtrąciłem. – Według mnie to nie była próba samobójcza.

– Według ciebie to był wypadek?

– Nie. Nie wypadek.

Diomedes spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Co próbujesz powiedzieć, Theo? Jaką inną możliwość dostrzegasz?

– Po pierwsze, nie uważam, żeby to Yuri dał Alicii lekarstwa.

– Christian się według ciebie pomylił?

– Nie. Christian kłamie.

Diomedes i Stephanie patrzyli na mnie zszokowani. Kontynuowałem, zanim odzyskali zdolność mowy.

Opowiedziałem im szybko o wszystkim, co przeczytałem w pamiętniku Alicii, o tym, że Christian leczył ją prywatnie przed zabójstwem Gabriela, że zaliczała się do kilku prywatnych pacjentów, których przyjmował nieoficjalnie; nie dość, że nie ujawnił się w czasie procesu, to na dodatek udawał, że nie znał Alicii, gdy przyjęto ją do The Grove.

– Nic dziwnego, że tak bardzo sprzeciwiał się wszelkim próbom doprowadzenia do tego, by znowu mówiła – stwierdziłem. – Gdyby zaczęła z nami rozmawiać, mogłaby go zdemaskować.

Stephanie patrzyła na mnie w osłupieniu.

– Ale… co też ty mówisz? Chyba nie sugerujesz, że…

– Owszem, sugeruję. To nie było przedawkowanie, tylko próba zabójstwa.

– Gdzie jest pamiętnik Alicii? – spytał Diomedes. – Masz go?

Pokręciłem głową.

– Nie. Oddałem go Alicii. Pewnie jest w jej pokoju.

– To musimy go odzyskać. – Diomedes popatrzył na Stephanie. – Ale najpierw powinniśmy wezwać policję. Nie sądzisz?

19

Od tego momentu akcja nabrała tempa.

W The Grove zaroiło się od policjantów, którzy zadawali pytania, robili zdjęcia, zabezpieczyli pokój Alicii i jej pracownię. Dochodzenie prowadził nadinspektor Steven Allen – zwalisty mężczyzna z łysą głową i dużymi okularami, które zniekształcały jego oczy, powiększały je, sprawiały, że zdawały się z zainteresowania wychodzić mu z orbit.

Allen wysłuchał mojej opowieści z zaciekawieniem. A powiedziałem mu to wszystko co wcześniej Diomedesowi. Pokazałem mu notatki.

– Bardzo panu dziękujemy, panie Faber – rzekł.

– Proszę mi mówić Theo.

– Proszę złożyć oficjalne oświadczenie. Niebawem znowu porozmawiamy.

– Oczywiście.

Nadinspektor Allen odprowadził mnie do drzwi gabinetu Diomedesa, który tymczasowo zajął. Po złożeniu oświadczenia spisanego przez niższego rangą funkcjonariusza zostałem w korytarzu i czekałem. Wkrótce potem policjant przyprowadził pod gabinet Christiana. Wyglądał na skrępowanego, przerażonego i winnego. Czułem satysfakcję, że niebawem usłyszy zarzuty.

Teraz mogłem tylko czekać. W drodze do wyjścia ze szpitala minąłem akwarium złotej rybki. Zajrzałem do środka – i zamarłem na widok tego, co zobaczyłem.

Yuri dawał Elif lekarstwa i chował do kieszeni gotówkę. Elif wypadła z pokoju i przeszyła mnie spojrzeniem swojego jedynego oka. Pełnym pogardy i nienawiści.

– Elif – odezwałem się.

– Pierdol się.

Elif oddaliła się i zniknęła za rogiem. Z akwarium wyłonił się Yuri. Gdy mnie zobaczył, prawie oniemiał.

– Nie… nie widziałem cię – wyjąkał.

– Najwyraźniej.

– Elif… zapomniała lekarstw. Właśnie jej dałem.

A więc to Yuri był dealerem i zaopatrywał Elif. Zastanawiałem się, co jeszcze miał na sumieniu. Chyba zbyt pochopnie broniłem go tak zaciekle przed Stephanie. Lepiej go mieć na oku.

– Chciałem cię zapytać – powiedział, gdy oddalaliśmy się od akwarium. – Co zrobimy z panem Martinem?

– Nie rozumiem. – Popatrzyłem na niego zaskoczony. – Mówisz o Jeanie-Felixie Martinie? O co chodzi?

– Siedzi tu od kilku godzin. Przyszedł dziś rano spotkać się z Alicią. I czeka od tamtej pory.

– Słucham? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Siedzi tu cały ten czas?

– Przepraszam, umknęło mi to w obliczu tych wszystkich wydarzeń. Jest w poczekalni.

– Rozumiem. Powinienem iść z nim porozmawiać.

Popędziłem do recepcji, myśląc o tym, co właśnie usłyszałem. Co Jean-Felix tutaj robił? Zastanawiałem się, czego chciał. Co to wszystko miało znaczyć?

Wpadłem do poczekalni i się rozejrzałem.

Nikogo nie było.

20

Wyszedłem z The Grove i przypaliłem papierosa. Usłyszałem męski głos, który mnie wołał. Podniosłem wzrok, spodziewając się ujrzeć Jeana-Felixa, ale to nie był on.

Max Berenson wysiadł z samochodu i rzucił się w moją stronę.

– Co jest, kurwa? – wrzasnął. – Co się stało? – Twarz miał czerwoną, wykrzywioną z wściekłości. – Właśnie dzwonili i powiedzieli mi o Alicii. Co jej się stało?

Cofnąłem się o krok.

– Powinien się pan uspokoić, panie Berenson.

– Uspokoić? Moja szwagierka leży w śpiączce przez pańskie zaniedbania…

Max zacisnął pięść. Uniósł ją. Myślałem, że mnie uderzy. Przeszkodziła mu w tym Tanya. Wybiegła z auta, równie wściekła jak on – tylko że na niego, nie na mnie.

– Przestań, Max! – rzuciła. – Na Boga! Czy sytuacja nie jest już dość trudna? To nie wina Theo!

Max ją zignorował i odwrócił się z powrotem do mnie. Patrzył na mnie z wściekłością.

– Opiekował się pan Alicią – krzyknął. – Jak mógł pan do tego dopuścić? Jak?

W jego oczach błysnęły łzy złości. Nie starał się nawet ukryć swoich emocji. Stał tam i płakał. Zerknąłem na Tanyę – było jasne, że wiedziała o jego uczuciach do Alicii. Wyglądała na skonsternowaną i przygnębioną. Odwróciła się bez słowa i poszła do samochodu.

Chciałem się jak najszybciej oddalić od Maxa. Zacząłem iść.

Rzucał za mną obelgi. Wydawało mi się, że pójdzie za mną, ale tego nie zrobił – stał w miejscu, wrak człowieka, i darł się za mną żałośnie:

– Odpowiesz mi za to! Moja biedna Alicia, moja dziewczynka… Biedna Alicia. Zapłacisz za to! Słyszysz?

Max krzyczał, a ja go ignorowałem. Wkrótce potem jego głos ucichł. Byłem sam.

Szedłem dalej.

21

Poszedłem do domu, w którym mieszkał kochanek Kathy. Stałem tam przez godzinę. Wreszcie drzwi się otworzyły i stanął w nich on. Patrzyłem za nim. Dokąd szedł? Na spotkanie z Kathy? Zawahałem się, ale postanowiłem za nim nie iść. Zostałem i obserwowałem dom.

Przyglądałem się przez okna jego żonie. Zyskiwałem coraz większą pewność, że muszę jej jakoś pomóc. Była mną, a ja nią – dwie niewinne ofiary, oszukane i zdradzone. Wierzyła, że ten człowiek ją kochał – ja nie.

Może się myliłem, że nie wiedziała nic o romansie? Może wiedziała. Może lubiła seksualnie otwarty związek i była tak samo rozwiązła? Jakoś w to wątpiłem. Wyglądała niewinnie, zupełnie jak ja kiedyś. Było moim obowiązkiem ją oświecić. Mogłem odsłonić prawdę dotyczącą mężczyzny, z którym żyła, z którym dzieliła łóżko. Nie miałem wyboru. Musiałem jej pomóc.

Wracałem tam przez kilka dni. Pewnego dnia wyszła z domu i udała się na spacer. Śledziłem ją, zachowując oczywiście dystans. W pewnym momencie zmartwiłem się, że mnie zobaczyła; ale nawet jeśli, to mnie nie znała. Na razie.

Oddaliłem się i kupiłem kilka rzeczy. Wróciłem. Stałem po drugiej stronie ulicy i przyglądałem się domowi. Znowu ją zobaczyłem, jak stanęła przy oknie.

Nie miałem planu, jedynie słabo zarysowaną koncepcję tego, co chciałem osiągnąć. Niczym niedoświadczony artysta znałem rezultat – a nie wiedziałem, jak go uzyskać. Odczekałem chwilę i podszedłem do domu. Sprawdziłem furtkę – nie była zamknięta. Otworzyłem ją szeroko i wszedłem do ogrodu. Poczułem nagły przypływ adrenaliny. Dreszczyk emocji związany z wtargnięciem na czyjś teren.

Wtedy zobaczyłem, że otwierają się tylne drzwi domu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu schronienia. Zauważyłem małą

altanę. Przebiegłem w ciszy przez trawnik i wszedłem do środka. Stałem tam przez chwilę i łapałem dech. Serce mi waliło. Widziała mnie? Usłyszałem jej zbliżające się kroki. Za późno, żeby się wycofać. Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyciągnąłem czarną kominiarkę. Naciągnąłem ją na głowę. Włożyłem rękawiczki.

Weszła do altany. Rozmawiała przez telefon.

– Dobrze, kochanie – powiedziała. – Do zobaczenia o dwudziestej. Tak… Też cię kocham.

Zakończyła rozmowę i włączyła wiatrak. Stanęła przed nim, a podmuch powietrza rozwiewał jej włosy. Ujęła pędzel i podeszła do płótna na sztaludze. Stała do mnie plecami. Wtem dostrzegła moje odbicie w szybie. Chyba najpierw zobaczyła mój nóż. Zesztywniała i odwróciła się powoli. Otworzyła szeroko oczy ze strachu. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Wtedy po raz pierwszy stanąłem twarzą w twarz z Alicią Berenson.

Reszta jest, jak to się mówi, historią.

Część V

Nie znam sam siebie, potępiam swe własne życie.
Księga Hioba, 9,21, *Biblia Tysiąclecia*

1. Pamiętnik Alicii Berenson

23 lutego

Theo właśnie wyszedł. Jestem sama. Piszę te słowa tak szybko, jak tylko mogę. Mam mało czasu. Muszę to napisać, póki jeszcze mam siłę.

Na początku myślałam, że zwariowałam. Łatwiej mi było tak myśleć, niż wierzyć, że to prawda. Ale ja nie zwariowałam. Nie jestem szalona.

Podczas naszego pierwszego spotkania w gabinecie psychoterapii nie miałam pewności – było w nim coś znajomego, ale innego – rozpoznałam jego oczy, nie tylko kolor, ale też kształt. No i ten sam zapach papierosów i wody kolońskiej. I sposób formułowania słów, rytm mowy – tylko że ton jego głosu wydawał się inny. Dlatego nie byłam pewna. Zdradził się podczas drugiego spotkania. Powiedział te same słowa – użył tej samej frazy jak wtedy w domu. Wryła mi się w pamięć:

– Chcę ci pomóc, Alicio. Chcę ci naprawdę pomóc wszystko jasno widzieć.

Gdy tylko to usłyszałam, coś zaskoczyło w moim mózgu i układanka była kompletna.

To był on.

Coś mnie opętało, jakiś zwierzęcy instynkt. Chciałam go zabić, zabić albo sama zginąć – rzuciłam się na niego i próbowałam go udusić, wydrapać mu oczy, rozbić czaszkę o podłogę. Nie udało mi się go zabić, obezwładnili mnie i naćpali, zamknęli. Straciłam odwagę. Zaczęłam znowu w siebie wątpić – może się pomyliłam, może to sobie wyobraziłam, może to nie był on.

No bo jak to możliwe, żeby to był Theo? W jakim celu wróciłby tu, żeby mnie tak nękać? I wtedy zrozumiałam.

Wszystkie te bzdury, że chce mi pomóc – to była najbardziej chora część. Jego to kręciło, on się tym podniecał – dlatego tu wrócił, żeby triumfować.

– Chcę ci pomóc, Alicio. Chcę ci naprawdę pomóc wszystko jasno widzieć.

Teraz już widziałam. Jasno. Chciałam, żeby się dowiedział, że wiem. Dlatego skłamałam co do śmierci Gabriela. I gdy mówiłam, dostrzegłam, że się zorientował, że kłamię. Popatrzyliśmy po sobie i dostrzegł to – że go rozpoznałam. A w jego oczach pojawiło się coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Strach. On się mnie bał – tego, co mogłabym powiedzieć. Przerażał go dźwięk mojego głosu.

To dlatego wrócił kilka minut temu. Tym razem nic nie powiedział. Żadnego słowa więcej. Chwycił mnie za nadgarstek i wbił igłę w żyłę. Nie opierałam się. Nie walczyłam. Pozwoliłam mu. Zasługuję na to – zasłużyłam sobie na karę. Jestem winna – ale on również. I dlatego to piszę – żeby mu to nie uszło na sucho. Żeby został ukarany.

Muszę się streszczać. Czuję to – coś, co mi wstrzyknął, działa. Jestem taka skołowana. Mam ochotę się położyć. Zasnąć… Jeszcze nie teraz. Muszę zachować przytomność. Dokończyć historię. Tym razem wyznam prawdę.

Tamtego wieczoru Theo włamał się do domu i związał mnie, a gdy Gabriel wrócił, Theo go ogłuszył. Na początku myślałam, że go zabił, ale zobaczyłam, że Gabriel oddychał. Theo podniósł go i przywiązał do krzesła. Ustawił krzesła tak, żebyśmy byli do siebie odwróceni plecami i nie mogli wiedzieć swoich twarzy.

– Proszę – odezwałam się. – Proszę, nie krzywdź go. Błagam, zrobię wszystko, co zechcesz.

Theo się zaśmiał. Znienawidziłam ten śmiech – taki zimny, pusty. Bezduszny.

– Skrzywdzić go? – Pokręcił głową. – Zamierzam go zabić.

Nie żartował. Poczułam lęk, przestałam panować nad łzami. Łkałam i błagałam.

– Zrobię wszystko, co zechcesz, wszystko… Proszę, proszę, pozwól mu żyć. Zasługuje na to. To najlepszy człowiek, jakiego znam. Kocham go, tak bardzo go kocham.

– Alicio, opowiedz mi o swojej miłości do niego. Myślisz, że on ciebie kocha?

– Kocha.

Usłyszałam tykanie zegara w tle. Wydawało mi się, że minęło sto lat, zanim odpowiedział:

– Zobaczymy – rzucił.

Jego czarne oczy przyglądały mi się przez sekundę i poczułam, że pochłania mnie mrok. Znajdowałam się w obecności stworzenia, które nie było nawet człowiekiem. To było zło.

Obszedł krzesło i stanął przed Gabrielem. Odwróciłam głowę, na ile mogłam, ale nie widziałam ich. Usłyszałam tępe uderzenie – wzdrygnęłam się, kiedy uderzył Gabriela w twarz. Uderzał go raz po raz, aż Gabriel się ocknął i zaczął bełkotać.

– Witaj, Gabrielu – powiedział.

– Kim ty jesteś, do cholery?

– Żonatym mężczyzną – odparł Theo. – Dlatego wiem, jak to jest kogoś kochać. I wiem, jak to jest, kiedy ktoś cię zawiedzie.

– O czym ty mówisz?

– Tylko tchórze zdradzają ludzi, których kochają. Czy jesteś tchórzem, Gabrielu?

– Pierdol się.

– Zamierzałem cię zabić, ale Alicia błagała, żebym cię oszczędził. W takim razie dam ci wybór. Albo zginiesz ty, albo Alicia. Decyduj.

Mówił tak chłodno, spokojnie, opanowanie. Bez emocji. Gabriel nie odpowiadał przez chwilę. Wydawało się, że zaparło mu dech, jakby go ktoś uderzył.

– Nie…

– Tak. Któreś z was zginie, Alicia albo ty. Wybór należy do ciebie, Gabrielu. Dowiedzmy się, jak bardzo ją kochasz.

Zginiesz za nią? Masz dziesięć sekund na decyzję. Dziesięć… dziewięć…

– Nie wierz mu – odezwałam się. – Zabije nas oboje. Kocham cię.

– Osiem… siedem…

– Wiem, że mnie kochasz, Gabrielu…

– Sześć… pięć…

– Kochasz mnie…

– Cztery, trzy…

– Gabrielu, powiedz, że mnie kochasz…

– Dwa…

I wtedy Gabriel się odezwał. W pierwszej chwili nie rozpoznałam jego głosu. Był taki nikły, oddalony – przypominał chłopięcy głosik. Małe dziecko, które mogło decydować o życiu i śmierci.

– Nie chcę umierać – rzucił.

Cisza. Wszystko zamarło. Zapadły się wszystkie komórki w moim ciele. Więdły, niczym martwe płatki opadające z kwiatu. Płatki jaśminu spadające na ziemię. Czy czuję woń jaśminu? Tak, słodkiego jaśminu – pewnie rośnie za oknem…

Theo odsunął się od Gabriela i zaczął do mnie mówić. Z trudem koncentrowałam się na jego słowach.

– Widzisz, Alicio? Gabriel stchórzył. I pieprzył moją żonę za moimi plecami. Zniszczył jedyne szczęście, jakiego kiedykolwiek zaznałem… – Theo przysunął się do mojej twarzy. – Przepraszam, że to robię. Ale szczerze mówiąc, skoro znasz już prawdę… lepiej będzie, jeśli umrzesz.

Uniósł broń i przystawił mi lufę do głowy. Zamknęłam oczy. Usłyszałam, jak Gabriel krzyczał:

– NIE STRZELAJ! NIE STRZELAJ! NIE…

Kliknięcie. I wystrzał – tak głośny, że zagłuszył inne dźwięki. Na kilka sekund zrobiło się cicho. Myślałam, że nie żyję.

Nie miałam tyle szczęścia.

Otworzyłam oczy. Theo nadal tam był – z pistoletem skierowanym w stronę sufitu. Uśmiechał się. Przysunął palec

do ust i dał mi do zrozumienia, że mam milczeć.

– Alicia? – krzyknął Gabriel. – Alicia?

Słyszałam, że Gabriel rzuca się na krześle, próbując się odwrócić i zobaczyć, co się stało.

– Co ty jej zrobiłeś, ty draniu? Ty pieprzony draniu. Jezu…

Theo rozwiązał mi nadgarstki. Rzucił pistolet na podłogę i pocałował mnie bardzo delikatnie w policzek. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostałam sama z Gabrielem. Szlochał, płakał, nie mógł sformułować słów. Powtarzał tylko moje imię, zawodził:

– Alicia, Alicia…

Milczałam.

– Alicia? Kurwa, kurwa, o kurwa…

Milczałam.

– Alicia, odezwij się. Alicia, Boże…

Milczałam. Jak mogłabym się odezwać? Gabriel skazał mnie na śmierć.

Umarli nie mówią.

Odwinęłam drut pętający mi nogi. Wstałam z krzesła. Schyliłam się do podłogi. Moje palce zacisnęły się na pistolecie. Był gorący i ciężki. Obeszłam krzesło i stanęłam naprzeciwko Gabriela. Po jego policzkach spływały łzy. Otworzył szeroko oczy.

– Alicia? Ty żyjesz… Dzięki Bogu…

Chciałabym móc powiedzieć, że stanęłam w obronie pokrzywdzonych – w obronie zdradzonych, którym złamano serca – i że Gabriel miał oczy tyrana, mojego ojca. Nie będę kłamać. Prawda jest taka, że Gabriel miał moje oczy, tak nagle – a ja jego. W międzyczasie zamieniliśmy się miejscami.

Widziałam to teraz. Nigdy nie będę bezpieczna. Kochana. Wszystkie moje nadzieje runęły… marzenia roztrzaskały się… nie zostało nic, nic… ojciec miał rację… nie zasługiwałam, by żyć. Byłam… niczym. I to Gabriel mi to zrobił.

Taka jest prawda. To nie ja zabiłam Gabriela. Tylko on mnie.

Ja tylko pociągnęłam za spust.

2

– Nie ma nic bardziej żałosnego – odezwała się Indira – od widoku czyjegoś dobytku mieszczącego się w kartonie.

Przytaknąłem. Smutno rozejrzałem się po pokoju.

– Zaskakujące – ciągnęła Indira – jak mało rzeczy Alicia miała. Jeśli się pomyśli o tych wszystkich śmieciach gromadzonych przez pozostałe pacjentki… A ona miała tylko kilka książek, rysunków, ubrania.

Zgodnie z poleceniem Stephanie sprzątaliśmy pokój Alicii. „Mało prawdopodobne, by się kiedykolwiek obudziła", stwierdziła. „Przyda nam się to łóżko". Pracowaliśmy głównie w milczeniu i podejmowaliśmy decyzje, co umieścić w magazynie, a co wyrzucić. Uważnie przeglądałem jej rzeczy. Chciałem mieć pewność, że nie ma tu nic obciążającego mnie, nic, co mogłoby mnie wydać.

Zastanawiałem się, jak Alicia zdołała prowadzić pamiętnik w tajemnicy przez tak długi czas. Każdy z pacjentów mógł przybyć do The Grove z niewielką liczbą osobistych przedmiotów. Alicia przyjechała tu z teczką ze szkicami i pewnie tak udało jej się przeszmuglować pamiętnik. Otworzyłem teczkę i przekartkowałem rysunki – najczęściej były to niedokończone szkice ołówkiem i studia postaci. Kilka kresek postawionych na kartce natychmiast ożywało i sugestywnie oddawało niekwestionowane podobieństwo.

Pokazałem Indirze szkic.

– To ty – powiedziałem.

– Słucham? Ależ skąd.

– Owszem.

– Tak?

Indira wydawała się zachwycona i przyjrzała się pracy uważniej.

– Tak myślisz? Nie zauważyłam, że mnie rysowała. Ciekawe, kiedy to zrobiła. Jest dobry, prawda?

– Zgadza się. Powinnaś go zatrzymać.

Indira skrzywiła się i oddała mi rysunek.

– Nie mogłabym.

– Oczywiście, że możesz. Nie miałaby nic przeciwko temu. – Uśmiechnąłem się. – Nikt się nigdy nie dowie.

– Przypuszczam, że nie.

Przyjrzała się obrazowi stojącemu na podłodze, opartemu o ścianę, temu przedstawiającemu mnie i Alicię uciekających z płonącego budynku, a pozbawionych twarzy przez Elif.

– Co z tym? – spytała. – Weźmiesz go?

Pokręciłem głową.

– Zadzwonię do Jeana-Felixa. Może go wycenić.

Indira przytaknęła.

– Szkoda, że nie możesz go zatrzymać.

Przyglądałem mu się przez chwilę. Nie podobał mi się. Ze wszystkich obrazów Alicii ten jeden mi się nie podobał. Dziwne, zważywszy na fakt, że umieściła na nim mnie.

Muszę coś wyraźnie zaznaczyć – nie sądziłem wtedy, że Alicia zastrzeli Gabriela. To bardzo ważne. Nie chciałem ani nie spodziewałem się, że go zabije. Chciałem tylko uzmysłowić Alicii prawdę na temat jej małżeństwa, tak jak mnie ją uzmysłowiono. Pragnąłem jej pokazać, że Gabriel jej nie kochał, że jej życie było kłamstwem, ich małżeństwo fikcją. Dopiero wtedy miałaby szansę, podobnie jak ja, zbudować nowe życie. Życie na fundamencie prawdy, a nie kłamstw.

Nie miałem pojęcia o historii niestabilności Alicii. Gdybym o tym wiedział, nie posunąłbym się tak daleko. Nie wiedziałem, że zareaguje w ten sposób. A kiedy historia trafiła do gazet i Alicię oskarżono o zabójstwo, poczułem się za to osobiście odpowiedzialny. Poczułem też pragnienie odkupienia winy i udowodnienia, że nie byłem odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Dlatego zgłosiłem się do pracy w The Grove. Chciałem pomóc jej poradzić sobie z następstwami morderstwa, zrozumieć, co się stało, przepracować to, by była wolna. Cynik naturalnie mógłby stwierdzić, że wróciłem w pewnym sensie na miejsce zbrodni, żeby zatuszować ślady. To nieprawda. Mimo że znałem zagrożenia związane z tym przedsięwzięciem – ogromne prawdopodobieństwo, że zostanę schwytany i skończy się to tragedią – nie miałem wyboru

ze względu na to, kim jestem. Pamiętaj, że jestem psychoterapeutą. Alicia potrzebowała pomocy i tylko ja wiedziałem, jak jej pomóc.

Obawiałem się, że mogłaby mnie rozpoznać, mimo że włożyłem wówczas maskę i zmieniłem głos. Alicia jednak zdawała się mnie nie rozpoznawać, dlatego mogłem odegrać w jej życiu nową rolę. I wtedy, tamtego wieczoru w Cambridge, zrozumiałem wreszcie, do odtworzenia czego nieumyślnie doprowadziłem. Na jaką dawno zapomnianą minę nadepnąłem. Gabriel był drugim człowiekiem, który skazał Alicię na śmierć. Nie potrafiła znieść powrotu tej oryginalnej traumy i dlatego wzięła pistolet i zemściła się po tak długim czasie – tylko że na mężu, a nie ojcu. Tak jak podejrzewałem, to zabójstwo miało o wiele starsze i głębsze korzenie.

Kiedy Alicia skłamała co do tego, jak zginął Gabriel, jasne się stało, że mnie rozpoznała i testuje. Zmusiła mnie do działania, do tego, bym ją uciszył na zawsze. Winę zrzuciłem na Christiana – uznałem, że będzie to poetycka sprawiedliwość. Wrobiłem go bez najmniejszych skrupułów. Christian zawiódł Alicię, gdy potrzebowała go najbardziej. Zasługiwał na karę.

Nie było łatwo uciszyć Alicię. Wstrzyknięcie jej morfiny było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiłem. Nawet lepiej, że nie umarła, tylko zasnęła – dzięki temu mogę ją nadal codziennie odwiedzać, siadać przy jej łóżku i głaskać ją po dłoni. Nie straciłem jej.

– Skończyliśmy? – spytała Indira, wyrywając mnie z zadumy.

– Tak myślę.

– To dobrze. Muszę już iść. O dwunastej mam pacjentkę.

– To idź – zaproponowałem.

– Zjemy razem lunch?

– Tak.

Indira ścisnęła mnie serdecznie za rękę i wyszła.

Zerknąłem na zegarek. Zamierzałem wyjść wcześniej i udać się do domu. Czułem się wykończony. Chciałem właśnie zgasić światło, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl i poczułem, że całe ciało mi tężeje.

Pamiętnik. Gdzie on się podział?

Rozejrzałem się po pokoju i schludnie spakowanych rzeczach. Wszystko przejrzeliśmy. Wziąłem do ręki każdą jej osobistą rzecz. A pamiętnika nie było.

Jak mogłem być tak nieroztropny? To przez Indirę i tę jej ciągłą paplaninę. Przez nią się zdekoncentrowałem.

Gdzie on był? Musiał tu być. Bez pamiętnika nie będzie realnych szans na skazanie Christiana. Musiałem go znaleźć.

Z coraz większą gorączkowością przeszukiwałem pokój. Wywróciłem zawartość kartonów do góry nogami, wyrzuciłem wszystko na podłogę. Grzebałem pośród rzeczy Alicii, ale go tam nie było. Porwałem ubrania i niczego nie znalazłem. Rozerwałem teczkę i wysypałem szkice na podłogę, lecz pamiętnika nie było. Podszedłem do szafek i powyciągałem z nich szuflady, by stwierdzić, że są puste. Odrzuciłem je na bok.

Pamiętnik zniknął.

3

W recepcji czekał na mnie Julian McMahon z Funduszu. Był solidnej budowy, miał kręcone ryże włosy i lubił wyrażenia w rodzaju „tak między nami”, „w rezultacie”, „podsumowując”, które często pojawiały się w jego wypowiedzi, nierzadko w tym samym zdaniu. Był łagodną postacią – przyjazną twarzą Funduszu. Chciał ze mną zamienić słowo, zanim udam się do domu.

– Widziałem się właśnie z profesorem Diomedesem – poinformował mnie. – Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć… o jego rezygnacji.

– Rozumiem.

– Przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Tak między nami, mógł wybierać między tym albo wyjaśnianiem tego bałaganu… – Wzruszył ramionami. – Żal mi go. Nie jest to zbyt efektowne zakończenie długiej i doniosłej kariery. Dzięki temu przynajmniej nie przyciągniemy prasy i szumu. Przypadkiem wspomniał o panu.

– Diomedes?

– Tak. Zaproponował, żebyśmy panu powierzyli jego stanowisko. – Julian puścił do mnie oko. – Podobno idealnie się pan do tego nadaje.

Uśmiechnąłem się.

– To bardzo miłe.

– Niestety, w rezultacie tego, co się stało z Alicią i aresztowaniem Christiana, The Grove trzeba będzie zamknąć. Na stałe.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło. Zatem nie proponuje mi pan pracy.

– Podsumowując, zamierzamy otworzyć nowy, bardziej efektywny finansowo oddział za kilka miesięcy. I chcielibyśmy, żeby się pan zastanowił nad poprowadzeniem go, Theo.

Z trudem ukryłem ekscytację. Zgodziłem się z przyjemnością.

– Tak między nami – powiedziałem, zapożyczając jedno z jego powiedzonek – marzyłem o takiej szansie.

Bo właśnie tym to było, szansą na pomaganie ludziom, a nie szprycowanie ich lekami. Pomaganie w sposób, w jaki powinno się to robić. Właśnie tak Ruth pomogła mnie, a ja próbowałem pomóc Alicii.

Wszystko się dobrze ułożyło – byłbym niewdzięcznikiem, gdybym tego nie dostrzegał. Zdaje się, że osiągnąłem wszystko, co chciałem. No, prawie.

W ubiegłym roku wyprowadziliśmy się z Kathy z centrum Londynu do Surrey – tam, gdzie dojrzewałem. Ojciec zostawił mi po śmierci dom. I chociaż miał należeć do matki do czasu jej śmierci, postanowiła nam go oddać, a sama przeprowadziła się do domu opieki.

Uznaliśmy z Kathy, że dla większej przestrzeni i ogrodu warto będzie dojeżdżać do Londynu. Stwierdziłem, że dobrze nam to zrobi. Obiecaliśmy sobie przebudować dom i zaplanowaliśmy zmianę aranżacji wnętrz. Minął już prawie rok od przeprowadzki, a dom pozostaje niedokończony, na poły urządzony. Obrazy i wypukłe lustro, które kupiliśmy na Portobello Market, wciąż stoją oparte o niepomalowane ściany. Dom w zasadzie nie zmienił się od czasów, kiedy w nim dorastałem. Nie przeszkadza mi to jednak tak, jak się obawiałem. Wręcz, o ironio, czuję się tu u siebie.

Dotarłem do domu i wszedłem do środka. Szybko zdjąłem płaszcz – było tu gorąco jak w szklarni. Przykręciłem termostat w przedpokoju. Kathy uwielbia, kiedy jest upalnie, ale ja wolę chłód – temperatura jest jednym z punktów zapalnych naszych sprzeczek. Usłyszałem telewizor. Kathy ogląda ostatnio sporo telewizji. Niemający końca bełkot z telewizora dostarcza tło dźwiękowe dla śmieci wypełniających nasze życie w tym domu.

Zastałem ją w salonie, skuloną na kanapie. Trzymała na kolanach gigantyczną torbę prażynek krewetkowych, wyciągała je czerwonymi lepkimi palcami i pakowała do ust. Wiecznie je takie gówno, nic dziwnego, że przytyła. Od kilku lat nie pracuje zbyt wiele – wycofała się, wręcz popadła w depresję. Jej lekarz sugerował przeciwdepresanty, ale odradziłem je. Optowałem za

znalezieniem terapeuty, żeby mogła porozmawiać o swoich uczuciach. Nawet zaproponowałem, że sam kogoś poszukam. Wygląda jednak na to, że Kathy nie chce rozmawiać.

Czasami przyłapuję ją na tym, jak patrzy na mnie dziwnie – zastanawiam się, co myśli. Czy zbiera się na odwagę, żeby mi powiedzieć o Gabrielu i romansie? Nie odzywa się słowem. Siedzi w milczeniu, zupełnie jak Alicia. Chciałbym jej pomóc, ale nie potrafię do niej dotrzeć. Co za potworna ironia: zrobiłem to wszystko, by zatrzymać Kathy, a i tak ją straciłem.

Przysiadłem na podłokietniku i przyglądałem się jej przez chwilę.

– Moja pacjentka przedawkowała – powiedziałem. – Jest w śpiączce.

Zero reakcji.

– Wygląda na to, że ktoś z personelu celowo podał jej za dużą dawkę leku. Mój kolega.

Zero reakcji.

– Słuchasz mnie?

Kathy wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Mogłabyś okazać trochę współczucia.

– Komu? Tobie?

– Jej. Od pewnego czasu prowadziłem jej terapię indywidualną. Nazywa się Alicia Berenson.

Zerknąłem na nią, gdy wypowiedziałem nazwisko. Kathy nie zareagowała. Nie okazała nawet cienia emocji. Ciągnąłem:

– Jest sławna. W zasadzie ciągnie się za nią zła sława. Kilka lat temu wszyscy o niej mówili. Zabiła męża… Pamiętasz?

– Raczej nie. – Wzruszyła ramionami i zmieniła kanał.

Kontynuujemy naszą zabawę w udawanie.

Wygląda na to, że ostatnimi czasy sporo udaję – przed wieloma ludźmi, włącznie ze sobą. Pewnie dlatego to piszę. Próbuję ominąć swoje monstrualne ego i dotrzeć do prawdy na swój temat – jeśli to możliwe.

Poczułem, że muszę się napić. Poszedłem do kuchni i nalałem sobie kieliszek wódki z zamrażalnika. Trunek palił mi gardło, gdy go przełknąłem. Nalałem drugi kieliszek.

Zastanawiałem się, co by powiedziała Ruth, gdybym znowu do niej poszedł, jak przed sześcioma laty, i wyznał jej to wszystko? Wiedziałem, że to niemożliwe. Byłem teraz zupełnie innym człowiekiem, bardziej winnym, mniej zdolnym do szczerości. Jak mógłbym usiąść naprzeciwko tej kruchej staruszki, spojrzeć w jej jasnobłękitne oczy, które tak długo dawały mi poczucie bezpieczeństwa, przyzwoitość, dobroć, prawdę, i wyznać, jaki jestem ohydny, okrutny, mściwy i perwersyjny, jak bardzo nie zasługuję na Ruth i wszystko, co próbowała dla mnie zrobić. Jak mógłbym jej powiedzieć, że zniszczyłem życie trzech osób? Że nie mam zasad moralnych, jestem zdolny do najgorszych czynów przy braku odczuwania skruchy, i że dbam tylko o siebie.

Gorsze od szoku, odrazy, a nawet strachu, które mogłyby pojawić się w oczach Ruth, byłyby smutek, rozczarowanie i samooskarżanie. Zawiodłem ją, ale wiem również, że i ona by pomyślała, że mnie zawiodła – nie tylko mnie, również terapię słowem. Żaden terapeuta nie wykazał się nigdy lepszym podejściem; owszem, pracowała latami z kimś, kogo zniszczono, ale on był takim młodym chłopcem, tak bardzo chciał się zmienić, stać się lepszy, uleczyć się. A tymczasem pomimo setek godzin psychoterapii, mówienia, słuchania i analizowania nie zdołała uratować jego duszy.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach, który wyrwał mnie z zadumy. Wieczorni goście rzadko do nas zaglądali, odkąd przeprowadziliśmy się do Surrey. Nie pamiętam, kiedy odwiedzili nas ostatnio przyjaciele.

– Spodziewasz się kogoś? – krzyknąłem do Kathy, ale nie odpowiedziała. Zagłuszał mnie telewizor.

Podszedłem do drzwi wejściowych i otworzyłem je. Ze zdziwieniem zobaczyłem nadinspektora Allena otulonego szalem i płaszczem. Miał czerwone od mrozu policzki.

– Dobry wieczór, panie Faber – powiedział.

– Nadinspektor Allen? Co pan tu robi?

– Byłem w okolicy i postanowiłem do pana zajrzeć. Chciałbym opowiedzieć o kilku odkryciach. Mogę?

Zawahałem się.

– Miałem właśnie szykować kolację…

– To nie potrwa długo.

Uśmiechał się. Najwyraźniej nie chciał przyjąć odmowy, więc się odsunąłem i go wpuściłem. Ucieszył się, że się znalazł w środku. Zdjął rękawiczki i płaszcz.

– Robi się potwornie zimno – stwierdził. – Założę się, że spadnie śnieg.

Okulary zaszły mu parą. Zdjął je i przetarł chusteczką.

– Trochę tu za gorąco – zauważyłem.

– Nie za gorąco. Dla mnie nigdy nie jest za gorąco.

– Dogadałby się pan z moją żoną.

Jak na zawołanie Kathy stanęła w przedpokoju. Patrzyła pytająco to na mnie, to na inspektora.

– Co się dzieje?

– Kathy, to jest nadinspektor Allen. Prowadzi dochodzenie w sprawie pacjentki, o której ci mówiłem.

– Dobry wieczór, pani Faber.

– Nadinspektor chce ze mną o czymś porozmawiać. To zajmie chwilę. Idź na górę i się wykąp. Zawołam cię, gdy kolacja będzie gotowa. – Zaprosiłem nadinspektora do kuchni. – Pan przodem – powiedziałem.

Inspektor Allen zerknął jeszcze raz na Kathy, po czym wszedł do kuchni, a ja za nim. Kathy pokręciła się chwilę w przedpokoju, zanim usłyszałem kroki na schodach.

– Napije się pan czegoś? – zapytałem.

– Dziękuję. Bardzo pan uprzejmy. Chętnie napiję się herbaty.

Spostrzegłem, że jego wzrok spoczął na butelce wódki na blacie. Uśmiechnąłem się.

– Może wolałby pan coś mocniejszego?

– Nie, dziękuję. Wystarczy mi herbata.

– Jaką pan lubi?

– Mocną. Z kropelką mleka. Bez cukru. Staram się z niego zrezygnować.

Gdy mówił, odpłynąłem myślami – zastanawiałem się, co on tu robił i czy powinienem się denerwować. Zachowywał się tak miło, że trudno było nie czuć się przy nim bezpiecznie. Poza tym nic nie mogło mnie zdradzić, prawda?

Wstawiłem wodę i odwróciłem się w jego stronę.

– O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

– Głównie o panu Martinie.

– Jeanie-Felixie? Naprawdę? – Zaskoczył mnie. – O co chodzi?

– Przyjechał do The Grove po materiały Alicii i porozmawialiśmy o tym i owym. Interesujący z niego człowiek. Pan Martin planuje wystawę retrospektywną prac Alicii. Uważa, że to dobry moment na ponowną ocenę jej jako artystki. Zważywszy na rozgłos, ośmielę się stwierdzić, że ma rację. – Allen przeszył mnie wzrokiem. – Mógłby pan napisać o niej książkę. Na pewno wzbudzi zainteresowanie.

– Nie brałem tego pod uwagę. A co retrospektywa Jeana-Felixa ma wspólnego ze mną?

– Szczególną ekscytację pana Martina wzbudził nowy obraz Alicii. I nie przejął się tym, co zrobiła z nim Elif. Powiedział, że nadaje mu to szczególną wartość. Nie pamiętam, jakich dokładnie słów użył. Nie znam się na sztuce. A pan?

– Nie najlepiej. – Byłem ciekaw, kiedy przejdzie do rzeczy i dlaczego czułem się coraz mniej komfortowo.

– W każdym razie – ciągnął nadinspektor – pan Martin podziwiał obraz. Podniósł go, by przyjrzeć mu się uważniej, i coś zauważył.

– Co takiego?

– To.

Wyciągnął coś z kieszeni. Od razu to rozpoznałem.

Pamiętnik.

Woda się zagotowała i rozległ się gwizd. Wyłączyłem czajnik, nalałem trochę wrzątku do kubka. Wymieszałem zawartość. Zauważyłem, że ręka lekko mi drży.

– Świetnie – odezwałem się. – Zastanawiałem się, gdzie się podział.

– Był z tyłu obrazu – poinformował mnie. – W lewym górnym rogu pod blejtramem. Zaklinowany.

A więc tam go ukryła, pomyślałem. Z tyłu obrazu, którego nie znosiłem. W jedynym miejscu, którym się nie zainteresowałem.

Nadinspektor pogładził pofałdowaną, wytartą czarną okładkę i się uśmiechnął. Otworzył notatnik i przekartkował strony.

– Fascynujące. Te strzałki, ten chaos.

Przytaknąłem.

– Portret chorego umysłu.

Nadinspektor Allen doszedł do końca i wtedy zaczął czytać na głos:

– „Przerażał go… dźwięk mojego głosu… Chwycił mnie za nadgarstek… i wbił igłę w żyłę”.

Poczułem nagle przypływ paniki. Nie znałem tych słów. Nie czytałem ich. To były obciążające dowody, których szukałem – i trafiły w niewłaściwe ręce. Miałem ochotę wydrzeć pamiętnik z rąk Allena i wyrwać te kartki. Ale nie mogłem się ruszyć. Znalazłem się w pułapce. Zacząłem się jąkać.

– L-lepiej b-będzie, jeśli…

Mówiłem zbyt nerwowo i usłyszał to w moim głosie.

– Tak?

– Nie, nic.

Zrezygnowałem z próby powstrzymywania go. Wszelkie moje działania i tak zostałyby użyte przeciwko mnie. Nie było wyjścia. I, co najdziwniejsze, poczułem ulgę.

– Nie wierzę, że znalazł się pan przypadkiem w mojej okolicy – oznajmiłem i podałem mu herbatę.

– Ma pan rację. Pomyślałem, że lepiej będzie nie informować o celu mojej wizyty w progu. Faktem jest, że pamiętnik rzuca na sprawę zupełnie nowe światło.

– Chętnie posłucham – usłyszałem siebie. – Przeczyta pan to?

– Proszę.

Czułem się dziwnie spokojny, gdy siedziałem na krześle przy oknie. Allen odchrząknął i zaczął czytać:

– „Theo właśnie wyszedł. Jestem sama. Piszę te słowa tak szybko, jak tylko mogę…”.

Słuchając go, popatrzyłem na białe chmury dryfujące po niebie. Wreszcie sypnęły śniegiem. Otworzyłem okno i wyciągnąłem rękę. Schwytałem płatek śniegu. Patrzyłem, jak znika na czubku palca. Uśmiechnąłem się.

Wychyliłem się po następny.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik
Redakcja: Katarzyna Tez
Korekta: Beata Wójcik, Agnieszka Mąka

Projekt okładki: Orion Books
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © L J Hopkinson/Stone/Getty Images; © Tim Flach/Stone/Getty Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6737-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.